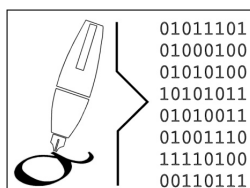


Agatha Christie

Przyjdź i zgiń

Tłumaczyła: Krystyna Bockenheim



Tytuł oryginału: The clocks

Wydanie polskie: 1994

Wydanie oryginalne: 1963

Prolog

Popołudnie owego dziewiątego września było podobne do innych. Nic nie zapowiadało katastrofy. (Z wyjątkiem pani Packer, mieszkającej pod numerem 47 na Wilbraham Crescent, specjalizującej się w przepowiedniach, która zwykle po fakcie opisywała dręczące ją przecucia i lęki. Jednak pani Packer i dom numer 47 były tak daleko od numeru 19, że nie wydało się jej konieczne, aby przeczuwać cokolwiek.)

W Biurze Stenografii i Maszynopisania Cavendish, którego szefem była panna Catherine Martindale, dziewiąty września upływał nudno i zwyczajnie. Telefon dzwonił, maszyny stukały, wydajność była średnia, nie niższa i nie wyższa niż zwykle. Nie działo się nic ciekawego. Do godziny 14.35 dziewiąty września był dniem jak inne.

O 14.35 odezwał się brzęczyk z gabinetu panny Martindale i Edna Brent, jedna z maszynistek odezwała się głosem trochę zdyszany i nosowym, z powodu cukierka w ustach.

— Słucham, panno Martindale?

— Ależ Edno, nie tak miałaś odbierać telefon. Prosiłam, żebyś mówiła wyraźnie i na wydechu.

— Przepraszam, panno Martindale.

— Już lepiej. Potrafisz, jak się starasz. Przyślij mi Sheilę Webb.

— Jeszcze nie wróciła z lunchu.

— Ach! — panna Martindale rzuciła okiem na stojący na biurku zegar. 14.36. Dokładnie sześć minut spóźnienia. Sheila Webb zaniedbuje się ostatnio. — Przyślij ją, jak tylko przyjdzie.

— Tak, panno Martindale.

Edna ponownie zaczęła ssać cukierek, cmokając głośno i powróciła do przepisywania *Nagiej miłości* Armanda Levine’a. Szczegółowy erotyzm tej książki nie interesował jej wcale, podobnie zresztą jak i większości czytelników pana Levine’a. Nie ma nic nudniejszego nad ograna do mdłości pornografię. Mimo krzykliwych okładek i prowokacyjnych tytułów sprzedaż spadała z każdym rokiem, a ostatni rachunek za przepisywa-

nie pan Levine płacił w trzech ratach.

Drzwi otwarły się i weszła Sheila Webb, lekko zdyszana.

— Ruda Kocica pytała o ciebie — powiedziała Edna.

Sheila skrzywiła się.

— Mam szczęście. Właśnie tego dnia, kiedy się spóźniłam.

Przygładziła włosy, wzięła notatnik, ołówek i zapukała do drzwi szefowej.

Panna Martindale popatrzyła na wchodzącą z biurka. Była kobietą czterdziesto-
paroletnią, tryskającą sprawnością i kompetencją. Rudawe włosy upięte w kok i imię
Catherine stały się źródłem przezwiska Ruda Kocica*.

— Spóźnia się pani, panno Webb.

— Przepraszam, panno Martindale. Był straszny korek.

— O tej porze jest zawsze straszny korek. Powinna pani być na to przygotowana.

— Spojrzała na notes. — Dzwoniła panna Pebmarsh. Potrzebuje stenografki na trzecią.
Życzyła sobie właśnie pani. Była już pani u niej?

— Nie przypominam sobie. W każdym razie nie ostatnio.

— Adres brzmi Wilbraham Crescent 19 — spojrzała pytająco, ale dziewczyna po-
trząsnęła głową.

— Nie pamiętam, żeby tam chodziła.

Panna Martindale rzuciła okiem na zegarek.

— Zdąży pani bez trudu na trzecią. Ma pani jeszcze coś dzisiaj po południu? Ach
tak — zajrzała do terminarza. — Profesor Purdy w hotelu „Curlew”. Godzina piąta.
Powinna pani do tej pory wrócić. Jeśli nie, wyślę Janet.

Odprawiła dziewczynę skinieniem głowy i Sheila wycofała się do biura.

— Coś ciekawego, Sheilo?

— Jeszcze jeden nudny dzień. Jakaś stara panna na Wilbraham Crescent. A o piątej
profesor Purdy — te okropne archeologiczne nazwy! Chciałabym, żeby czasem zda-
rzyło się coś ekscytującego.

Drzwi gabinetu panny Martindale otworzyły się.

— Mam tu jeszcze notatkę, Sheilo. Jeśli panna Pebmarsh nie wróci do czasu twego
przyjścia, masz wejść do pokoju po prawej stronie hallu i tam czekać; drzwi nie będą za-
mknięte. Zapamiętasz, czy mam ci zapisać?

— Zapamiętam, panno Martindale.

Ruda Kocica wróciła do swego sanktuarium.

Edna Brent sięgnęła pod krzesło i wyciągnęła dyskretnie elegancki pantofel, z ode-
rwanym cieniutkim obcasem.

— Jak ja się dostanę do domu — jęknęła.

— Och, przestań lamentować, pomyślimy o tym — odparła jedna z pozostałych

*ang. cat – kot

dziewcząt, nie przerywając pracy.

Edna westchnęła i wkręciła do maszyny nową kartkę:

„Desire trzymała go w ramionach. Drżącymi palcami rozdarł delikatny szyfon na jej piersiach i pchnął ją na sofę”.

— Do licha — mruknęła Edna i sięgnęła po gumkę.

Sheila wzięła torebkę i wyszła.

Wilbraham Crescent była fantazją stworzoną przez wiktoriańskiego budowniczego około roku 1880. Ulica zataczała pętlę wokół domków i ogrodów, stykających się tyłami. Ten pomysł stał się źródłem licznych trudności dla osób nie znających tej części miasta. Przybywający od strony zewnętrznej nie mogli znaleźć niskich numerów, ci zaś, którzy trafiali od wewnątrz pętli, byli zbici z tropu brakiem numerów wysokich. Domy były schludne, wymuskane, ozdobione artystycznie kutymi kratami balkonów, niezmiernie nobliwe. Na razie modernizacja dotknęła je bardzo powierzchownie. Tylko kuchnie i łazienki odczuły powiew zmian.

Numer 19 nie różnił się od innych przy tej ulicy. Miał ładne zasłony w oknach i wypucowaną mosiężną klamkę. Standardowe krzaki róż rosły po obu stronach ścieżki prowadzącej do drzwi wejściowych.

Sheila Webb otworzyła furtkę, zbliżyła się do domu i zadzwoniła. Nie było odpowiedzi, więc zrobiła jak polecono i nacisnęła klamkę. Ustąpiła i dziewczyna weszła. Po prawej stronie małego hallu drzwi były uchylone. Zapukała, odczekała moment i przekroczyła próg. Znalazła się w zwyczajnej bawialni, jak na dzisiejsze upodobania nieco nadmiernie zatłoczonej meblami. Jediną uderzającą rzeczą była ilość zegarów — w kącie tykał wielki szafkowy, porcelanowy miśnieński stał na kominku, na biurku — srebrny karetowy, na etażerze w pobliżu kominka ozdobny, złożony, a na stole przy oknie sfatygowany podróżny, obciążony wytartą skórą, z wyciśniętym złożonymi literami napisem ROSEMARY w rogu.

Sheila popatrzyła na zegar na biurku z pewnym zdziwieniem. Wskazywał godzinę kilkanaście minut po czwartej. Przeniosła spojrzenie na kominek. Dzieło miśnieńskiego rękodziela wskazywało ten sam czas.

Dziewczyna drgnęła, gdy nad jej głową rozległ się zgrzyt, trzask i z drewnianego zegara na ścianie wyskoczyła przez malutkie drzwiczki kukułka, krzyząc głośno i wyraźnie: kuku, kuku, kuku! Głos miała niemiły, ostry, jakby groziła. Kiedy zniknęła, drzwiczki trzasnęły powtórnie.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko i powędrowała naokoło sofy. Zatrzymała się gwałtownie.

Na podłodze leżał mężczyzna. Jego oczy były półotwarte i niewidzące. Na przodzie ciemnoszarego ubrania widniała ciemna, wilgotna plama. Sheila nachyliła się nieomal mechanicznie. Dotknęła policzka leżącego — poczuła chłód. Ręka też była zimna...

Przesunęła dłonią po wilgotnej plamie i cofnęła ją z przerażeniem.

W tej samej chwili usłyszała skrzypnięcie furtki i odruchowo spojrzała w okno. Zobaczyła kobietę idącą spiesznie ścieżką. Przełknęła ślinę: gardło miała suche. Stała jak przykuta, nie będąc w stanie poruszyć się, ani krzyknąć... Patrzyła tylko przed siebie.

Drzwi otwarły się i weszła starsza, wysoka kobieta, niosąca torbę na zakupy. Miała falistę, siwe włosy zaczesane od czoła i szeroko otwarte piękne, niebieskie oczy. Ich spojrzenie przesunęło się niewidząco po Sheili.

Dziewczyna wydała słaby głos, nie więcej niż chrząknięcie. Szeroko otwarte, błękitne oczy zwróciły się ku niej i kobieta spytała ostro:

— Czy ktoś tu jest?

— Ja... to jest... — przerwała, widząc że kobieta zbliża się do niej szybko, obchodząc sofę z tyłu.

Zaczęła krzyczeć.

— Nie... nie... Nadepnie pani na niego... On nie żyje...

Rozdział pierwszy

Relacja Colina Lamba

I

Używając języka policyjnego: dziewiątego września o godzinie 14.59 szedłem Wilbraham Crescent w kierunku zachodnim. Była to moja pierwsza bytność na tej uliczce i, szczerze mówiąc, czułem się rozczarowany.

Udałem się tam wiedziony jakimś przeczuciem, które wydawało mi się coraz bardziej absurdalne. Ale szedłem, bo taki już jestem.

Szukałem numeru 61, ale czy mogłem go znaleźć? Nie. Uważnie przeszedłem wzdłuż domów z tabliczkami od 1 do 35, czyli do końca Wilbraham Crescent. Dalej już była Albany Road. Zawróciłem. Po północnej stronie nie było domów, tylko mur, a za nim pięły się w górę nowoczesne bloki mieszkalne, które miały wejścia od innej ulicy. Stamtąd nie spodziewałem się niczego.

Idąc z powrotem ponownie mijałem numery 24, 23, 22, 21, i Diana Lodge z rudym kotem, myjącym pyszczek na skrzynce pocztowej, 19...

Drzwi domu numer 19 otworzyły się i wypadła z nich dziewczyna, pędząc ścieżką jak pocisk. Podobieństwo było tym większe, że jej biegowi towarzyszył krzyk, przeraźliwy, piskliwy i dziwnie nieludzki. Dziewczyna dopadła furtki i zderzyła się ze mną z siłą, która nieomal przewróciła mnie na chodnik. W dodatku chwyciła moje ramię szalonym, rozpaczliwym uściskiem.

— Uwaga — powiedziałem, złapawszy równowagę. Potrząsnąłem nią delikatnie.
— Proszę się uspokoić.

Dziewczyna odzyskała panowanie nad sobą. Nadal trzymała mnie kurczowo, ale przestała krzyczeć. Chwytała powietrze, ciężko dysząc.

Nie mogę powiedzieć, żebym zareagował na tę sytuację błyskotliwie. Zapytałem, czy

coś się stało. Stwierdziwszy, że moje pytanie jest bez sensu, poprawiłem się.

— Co się stało?

Dziewczyna zaczerpnęła tchu.

— Tam! — wskazała za siebie.

— Co?

— Na podłodze leży mężczyzna... martwy... Mogła na niego nadepnąć.

— Kto mógł? Dlaczego?

— Chyba... dlatego, że ona jest ślepa. I na nim jest krew — rozluźniła chwyt jednej ręki. — I na mnie. Krew jest na mnie.

— Więc o to chodzi — powiedziałem. Zobaczyłem plamy na rękawie płaszcza. — Teraz i na mnie również — pokazałem. Westchnąłem i zastanowiłem się nad sytuacją. — Lepiej niech mnie pani tam zaprowadzi i pokaże wszystko.

Zaczęła gwałtownie drżeć.

— Nie mogę... nie potrafię... Nie wejdę tam.

— Może ma pani rację — rozejrzałem się dookoła. Nie było nic odpowiedniego, aby umieścić na pół omdlałą osobę. Opuściłem ją więc delikatnie na chodnik i posadziłem, opierając o żelazne ogrodzenie.

— Proszę tu zostać, aż wrócę. To nie potrwa długo. Wszystko będzie dobrze. Gdyby było pani słabo, proszę pochylić się i oprzeć głowę na kolanach.

— Ja... myślę, że już mi lepiej.

Nie brzmiało to przekonująco, ale nie miałem ochoty na pertraktacje. Poklepałem ją uspokajająco po ramieniu i dziarsko poszedłem ścieżką. Wkroczyłem do środka, zawałałem się przez moment w hallu, zajrzałem do pokoju po lewej, który okazał się jadalnią, wreszcie wszedłem do bawialni, po przeciwnej stronie.

Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegłem, była starsza siwowłosa kobieta siedząca w fotelu. Kiedy zjawiłem się, odwróciła gwałtownie głowę i spytała:

— Kto to?

Zrozumiałem natychmiast, że jest niewidoma. Jej oczy, zwrócone w moją stronę, pa-trzyły gdzieś za moim lewym uchem.

Powiedziałem szorstko i bez ogródek:

— Młoda kobieta wybiegła na ulicę, mówiąc, że jest tu martwy mężczyzna.

Wypowiadając te słowa miałem poczucie niedorzeczności. Wydawało się niemożliwe, aby w tym schludnym pokoju, razem ze spokojnie siedzącą w fotelu, ze złożonymi rękami kobietą, mógł się znajdować martwy człowiek.

Odpowiedziała natychmiast:

— Z tyłu, za sofą.

Obróciłem się w tym kierunku i wówczas zobaczyłem: rozrzucone ramiona, szklane oczy, plamę krzepnącej krwi.

— Jak to się stało? — spytałem ostro.

— Nie wiem.

— Ale... kto to jest?

— Nie mam pojęcia.

— Musimy wezwać policję — rozejrzałem się. — Gdzie jest telefon?

— Nie mam telefonu.

— Mieszka pani tutaj? To pani dom?

— Tak.

— Czy może mi pani powiedzieć, co się stało?

— Naturalnie. Wróciłam z zakupów... — zauważyłem torbę ze sprawunkami rzuconą na fotel obok drzwi. — Weszłam tutaj. Stwierdziłam, że ktoś jest w pokoju. To łatwe, gdy się jest niewidomym. Zapytałam, kto to. Nie było odpowiedzi, tylko odgłos czyjegoś szybkiego oddechu. Poszłam w tym kierunku i wtedy ta osoba zaczęła krzyczeć, że ktoś jest martwy i że nadepnę na niego. A potem wybiegła za moimi plecami z pokoju, wciąż krzycząc.

Skinałem głową. Relacje obu kobiet zgadzały się.

— I co pani zrobiła?

— Badałam drogę bardzo starannie, aż moje stopy wyczuły przeszkodę.

— A potem?

— Uklęknęłam. Dotknęłam czegoś — była to ręka mężczyzny. Zimna, nie czułam tętna... Podniosłam się, poszłam tu i usiadłam, żeby poczekać. We właściwym czasie ktoś musiał przyjść. Młoda kobieta, kimkolwiek była, podniosła alarm. Pomyślałam, że lepiej nie opuszczać domu.

Spokój tej kobiety wywarł na mnie wrażenie. Nie krzyczała, nie wybiegła w panice z domu. Usiadła spokojnie i czekała. Było to rozsądne, ale ja musiałem coś z tym zrobić.

— Kim pan właściwie jest? — zapytała.

— Nazywam się Colin Lamb. Przypadkiem przechodziłem obok.

— Gdzie jest ta młoda kobieta?

— Zostawiłem ją opartą koło furtki. Jest w szoku. Gdzie znajduje się najbliższy telefon?

— Pięćdziesiąt jardów dalej, zanim pan dojdzie do rogu, jest budka telefoniczna.

— Rzeczywiście. Pamiętam, że mijalem ją. Zadzwoń na policję. Czy pani... — zawałem się.

Nie wiedziałem, o co zapytać: „Zostanie pani tutaj?” lub „czy czuje się pani dobrze?” Oszczędziła mi wyboru.

— Niech pan lepiej przyprowadzi dziewczynę do domu. — powiedziała stanowczo.

— Nie wiem, czy zechce przyjść.

— Naturalnie nie do tego pokoju. Niech ją pan wprowadzi do jadalni, po drugiej stronie hallu. Proszę jej powiedzieć, że robię herbatę.

Wstała i poszła w moim kierunku.

— Ale... czy zdoła pani...

Słaby uśmiezek pojawił się na jej twarzy.

— Mój drogi młody człowieku. Przygotowuję dla siebie posiłki w mojej kuchni, od kiedy mieszkam w tym domu, od czternastu lat. Być niewidomym, to nie znaczy być bezradnym.

— Przepraszam. To było głupie z mojej strony. Może powinienem poznać pani nazwisko?

— Panna Millicent Pebmarsh.

Wyszedłem na ścieżkę. Zobaczywszy mnie, dziewczyna zaczęła się dźwigać na nogi. Pomogłem jej, mówiąc spokojnie:

— Dobrze. Już dobrze.

— Tam... Tam jest martwy człowiek, prawda?

Zgodziłem się natychmiast.

— Jasne, że jest. Idę właśnie do budki telefonicznej zawiadomić policję. Na pani miejscu, poczekałbym w domu. — Podniosłem głos, aby zagłuszyć jej protest. — Proszę iść do jadalni, na lewo od wejścia. Panna Pebmarsh robi pani herbatę.

— Więc to jest panna Pebmarsh? Jest niewidoma?

— Tak. Dla niej to był również szok, ale zachowuje się bardzo rozsądnie. Chodźmy, zaprowadzę panią do środka. Filiżanka herbaty dobrze pani zrobi, zanim zjawi się policja.

Objąłem ją ramieniem i poprowadziłem do domu.

Usadowiłem wygodnie przy jadalnym stole i pośpieszyłem do telefonu.

II

Obojętny głos powiedział: — Posterunek policji w Crowdean.

— Czy mogę mówić z inspektorem Hardcastle?

Odpowiedź brzmiała ostrożnie:

— Nie wiem, czy jest. A kto mówi?

— Proszę mu powiedzieć, że Colin Lamb.

— Chwileczkę.

Czekałem. Wreszcie odezwał się głos Dicka Hardcastle'a.

— Colin? Nie spodziewałem się ciebie tak prędko, gdzie jesteś?

— W Crowdean. W tej chwili jestem na Wilbraham Crescent. Jest tu martwy facet leżący na podłodze pod numerem 19, wydaje mi się, że zasztyletowany. Nie żyje w przy-

bliżeniu od pół godziny.

— Kto go znalazł? Ty?

— Nie, ja jestem niewinnym przechodniem. Z domu wypadła dziewczyna, jak kamień z procy. Omal mnie nie przewróciła. Powiedziała, że na podłodze leży martwy facet, a niewidoma kobieta po nim depta.

— Nie nabierasz mnie chyba, co? — zapytał Dick podejrzliwie.

— Zgadza się, że to brzmi dziwnie. Tak jednak przedstawiają się fakty. Niewidomą kobietą jest panna Millicent Pebmarsh, właścicielka domu.

— I to ona deptała po zwłokach?

— Nie w tym sensie, jak to rozumiesz. Z powodu swego kalectwa nie wiedziała, że on tam leży.

— Puszczę wszystko w ruch. Czeka tam na mnie. Co zrobiłeś z dziewczyną?

— Panna Pebmarsh częstuje ją herbatą.

Dick uznał, że to bardzo miło.

Rozdział drugi

Prawo objęło w posiadanie Wilbraham Crescent 19. Był tam lekarz sądowy, fotograf, specjaliści od daktyloskopii. Działali sprawnie, każdy zgodnie z właściwą procedurą.

Na koniec pojawił się inspektor Hardcastle, wysoki mężczyzna z twarzą pokerzysty, aby sprawdzić, że wszystko co zarządził, zostało zrobione i to zrobione dobrze. Dokonał ostatecznych oględzin zwłok, zamienił parę słów z lekarzem i przeszedł do jadalni, gdzie nad pustymi filiżankami po herbacie siedziały trzy osoby: panna Pebmarsh, Colin Lamb i wysoka dziewczyna z brązowymi lokami i szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami. — Niebrzydka — zauważył inspektor w duchu.

Przedstawił się panie Pebmarsh:

— Inspektor Hardcastle.

Wiedział o niej coś niecoś, choć nigdy nie spotkali się na gruncie zawodowym. Poinformowano go, że kiedyś była nauczycielką, i że obecnie uczy pisma brajlowskiego w Instytucie Aaronberga dla niewidomych dzieci. Wydawało się nieprawdopodobne, aby jakiś mężczyzna mógł zostać zamordowany w jej skromnym, ale zadbanym domu, jednak nieprawdopodobieństwa zdarzają się częściej, niż się na ogół sądzi.

— Zdarzyła się okropna rzecz, panno Pebmarsh — rzekł inspektor. — To musiał być dla pani ogromny szok. Wszyscy państwo muszą złożyć dokładne zeznania. O ile mi wiadomo, to właśnie panna... — zerknął szybko do notatnika, podanego mu przez policjanta — Sheila Webb odkryła ciało. Jeśli pozwoli mi pani skorzystać z kuchni, zabiorę tam pannę Webb, żeby spokojnie porozmawiać.

Otworzył drzwi prowadzące do kuchni i poczekał, aż dziewczyna wejdzie. Młody detektyw w cywilu już się ulokował przy pokrytym laminatem stoliku, gotowy do protokolowania.

— To wydaje się wygodne — powiedział inspektor, wysuwając współczesną wersję krzesła w stylu Windsor.

Sheila przysiadła nerwowo, patrząc na niego wielkimi, przerażonymi oczami.

Hardcastle o mało nie wypalił: „Nie zjem pani, drogie dziecko”, ale powstrzymał się i zaczął urzędowo:

— Nie ma się czego bać. Chcemy po prostu mieć jasny obraz. Nazywa się pani Sheila Webb, a adres?

— Palmerston Road 14, za gazownią.

— Tak, oczywiście. Pracuje pani?

— Tak. Jestem stenotypistką zatrudnioną w biurze panny Martindale.

— Pełna nazwa brzmi Biuro Stenografii i Maszynopisania Cavendish?

— Tak.

— Jak długo pani tam pracuje?

— Około roku. Dokładnie dziesięć miesięcy.

— Aha. Teraz proszę opowiedzieć mi swoimi słowami, jak doszło do pani wizyty w tym domu.

— To było tak — Sheila mówiła śmieiej. — Panna Pebmarsh zadzwoniła do biura i zamówiła stenografkę na trzecią. Kiedy wróciłam po lunchu, panna Martindale zleciła mi tę robotę.

— To była sprawa rutynowa? To znaczy, czy była to pani kolej, czy jak tam ustalacie te sprawy?

— Właściwie nie. Panna Pebmarsh życzyła sobie specjalnie mnie.

— Prosiła o panią — Hardcastle podniósł brwi. — Pracowała pani już dla niej?

— Nie — odparła natychmiast Sheila.

— Nie? Jest pani zupełnie pewna?

— Absolutnie. Ona nie należy do osób, które się zapomina. I jej życzenie wydaje mi się teraz zastanawiające.

— Rzeczywiście. Na razie nie wnikajmy w to. O której dotarła pani na miejsce?

— Musiało być tuż przed trzecią, ponieważ kukulka... — przerwała nagle. Jej oczy rozszerzyły się. — To dziwne. Bardzo dziwne. Nie zwróciłam uwagi na czas.

— Na co pani nie zwróciła uwagi?

— Na zegary.

— Co się z nimi działo?

— Zegar z kukulką wybił trzecią, ale pozostałe „śpieszyły się o więcej niż godzinę. To dziwne!

— Istotnie bardzo dziwne — zgodził się inspektor. — Kiedy zauważyła pani zwłoki?

— Dopiero jak obesłam sofę. Leżał tam... To było okropne, naprawdę okropne...

— Okropne, zgadzam się. Czy rozpoznała pani tego człowieka? Widziała go pani już przedtem?

— Och nie!

— Jest pani zupełnie pewna? Mógł wyglądać inaczej niż zwykle. Proszę się zastano-

wić. Jest pani przekonana, że to ktoś, kogo pani nigdy nie widziała?

— Zdecydowanie tak.

— Dobrze. Ustalono. I co pani zrobiła?

— Co zrobiłam?

— Właśnie.

— Ależ... nic... zupełnie nic... Nie mogłam nic zrobić.

— Rozumiem. Nie dotknęła go pani?

— Dotknęłam... żeby przekonać się... To znaczy, tylko zobaczyć... Ale on był... całkiem zimny... i... zobaczyłam na mojej ręce krew. Była straszna... Gęsta i lepka.

Zaczęła się trząść.

— No, no — powiedział Hardcastle dobrotliwie. — Już minęło. Proszę zapomnieć o krwi. Idźmy dalej. Co działo się potem?

— Nie wiem... Ach, tak. Ona weszła do domu.

— Ma pani na myśli pannę Pebmarsh?

— Tak. Ale wtedy nie myślałam o niej jako o pannie Pebmarsh. Weszła z koszem zakupów. — Ton dziewczyny zdawał się podkreślać, że koszyk zakupów był w tej sytuacji czymś niestosownym i bez sensu.

— I co pani powiedziała?

— Wydaje mi się, że nic... Próbowałam, ale nie byłam w stanie. Zupełnie mnie zaskoczyło — wskazała gardło.

Inspektor skinął głową.

— Wtedy... wtedy ona spytała, czy tu ktoś jest, i obeszła sofę i pomyślałam, że... że nadejść na niego. I zaczęłam krzyczeć... Nie mogłam przestać i wybiegłam przez frontowe drzwi...

— Jak kamień z procy — inspektor wspomniął opis Colina.

Sheila Webb popatrzyła na niego przerażonymi oczami i powiedziała nieoczekiwanie:

— Przykro mi.

— Nie ma powodu. Opowiedziała pani całą historię bardzo dobrze. Nie trzeba o tym więcej myśleć. Ach, jeszcze jedno. Dlaczego weszła pani do pokoju?

— Jak to? — dziewczyna była zaskoczona.

— No tak. Przybyła pani tu może parę minut za wcześnie i zadzwoniła do drzwi. Jeżeli nikt nie zareagował na dzwonek, to dlaczego pani weszła?

— Ach, o to chodzi. Ponieważ ona mi kazała.

— Kto?

— Panna Pebmarsh.

— Sądziłem, że pani nie rozmawiała z nią.

— Istotnie. To panna Martindale przekazała mi, że mam wejść i czekać w bawialni,

na prawo od hallu.

— Naprawdę? — zdziwił się inspektor.

Dziewczyna zapytała nieśmiało:

— Czy... czy to wszystko?

— Myślę, że tak. Chciałbym, żeby poczekała pani jeszcze z dziesięć minut, na wypadek, gdybym musiał zapytać o coś więcej. Potem odeślę panią do domu naszym samochodem. Ma pani jakąś rodzinę?

— Matka i ojciec nie żyją. Mieszkam z ciotką.

— Nazwisko ciotki?

— Pani Lawton.

Inspektor wstał i wyciągnął dłoń.

— Dziękuję bardzo, panno Webb — powiedział. — Proszę w nocy dobrze wypocząć. Potrzebuje pani tego po dzisiejszych przyjemnościach.

Uśmiechnęła się do niego słabo, przechodząc do jadalni.

— Colin, zajmij się panną Webb — poprosił inspektor. — Panno Pebmarsh, zechce pani pofatygować się tutaj?

Wyciągnął rękę, aby pomóc niewidomej, ale zdecydowanie przeszła za nim, końcami palców odnalazła krzesło pod ścianą, odsunęła je i usiadła.

Inspektor zamknął drzwi. Zanim zdążył powiedzieć cokolwiek, Millicent Pebmarsh spytała szorstko:

— Kim jest ten młody człowiek?

— Nazywa się Colin Lamb.

— Poinformował mnie o tym. Ale kim jest? Skąd się tu wziął?

Hardcastle spojrział na nią z lekkim zdziwieniem.

— Przechodził przypadkiem ulicą, kiedy panna Webb wybiegła z domu, krzycząc o morderstwie. Po wejściu tutaj i stwierdzeniu co się stało, zadzwonił do nas, a ja poprosiłem go, aby wrócił i poczekał.

— Zwracał się pan do niego po imieniu.

— Jest pani bystrą obserwatorką — (obserwatorką? trudno użyć tego słowa, ale żadne właściwe w tej sytuacji nie przyszło mu do głowy). — Colin Lamb jest moim przyjacielem, choć już dawno nie widzieliśmy się. Jest biologiem, specjalistą od flory morskiej.

— Rozumiem.

— A teraz, panno Pebmarsh, byłbym rad, gdyby opowiedziała mi pani coś o tej dziwiającej sprawie.

— Bardzo chętnie, ale niewiele mam do opowiadania.

— Mieszka tu pani już jakiś czas?

— Od 1950 roku. Jestem, byłam, nauczycielką. Kiedy powiedziano mi, że nic się nie

da zrobić z moim słabym wzrokiem i że wkrótce będę ślepa, wyspecjalizowałam się w piśmie Braille'a i różnych technik pomocy niewidomym. Pracuję w Instytucie Aaronberga dla Dzieci Niewidomych i Upośledzonych.

— Dziękuję. A teraz, co się tyczy wydarzeń dzisiejszego popołudnia. Spodziewała się pani gościa?

— Nie.

— Przeczytam pani rysopis zmarłego, żeby przekonać się, czy kojarzy się pani z konkretną osobą. Wzrost pięć stóp, dziewięć do dziesięciu cali, wiek — około sześćdziesięciu lat, ciemne, siwiejące włosy, brązowe oczy, gładko ogolony, twarz szczupła, szczęka mocno zarysowana. Dobrze odżywiony, ale nie otyły. Ubranie ciemnoszare, ręce dobrze utrzymane. Mógł być urzędnikiem bankowym, księgowym, człowiekiem wolnego zawodu. Czy ten opis przypomina pani kogoś znajomego?

Panna Pebmarsh zastanowiła się.

— Raczej nie, choć to bardzo ogólnikowy wizerunek. Pasowałby do wielu ludzi. Mógłby to być ktoś, kogo spotkałam, ale na pewno nikt dobrze znany.

— Nie dostała pani ostatnio listu z propozycją odwiedzin?

— Nie.

— Więc jedźmy dalej. Zadzwoiła pani do Biura Cavendish i poprosiła o stenografkę...

Przerwała mu.

— Przepraszam. Nie zrobiłam nic takiego.

— Nie dzwoniła pani do biura... — Hardcastle wytrzeszczył na nią oczy.

— Nie mam w domu telefonu.

— Na końcu ulicy jest budka telefoniczna — zwrócił jej uwagę inspektor.

— Tak, oczywiście. Mogę jednak zapewnić pana, że nie potrzebowałam stenografki i nie dzwoniłam, powtarzam, nie dzwoniłam do tego biura z żadną prośbą.

— I nie zamówiła pani specjalnie panny Sheili Webb?

— Nigdy nie słyszałam nawet tego nazwiska.

Hardcastle patrzył na nią zdumiony.

— Zostawiła pani frontowe drzwi nie zamknięte — podkreślił.

— Często tak robię w ciągu dnia.

— Każdy mógł wejść.

— Wydaje się, że dzisiaj właśnie tak się stało — zauważyła sucho panna Pebmarsh.

— Według opinii lekarza ten mężczyzna zmarł między 13.30 a 14.45. Gdzie pani była w tym czasie?

Panna Pebmarsh zastanowiła się.

— O 13.30 albo właśnie wychodziłam, albo przygotowywałam się do wyjścia z domu. Miałam do zrobienia trochę zakupów.

— Potrafi mi pani powiedzieć, gdzie pani była?

— Muszę pomyśleć. Najpierw poszłam na pocztę, tę przy Albany Road, wysłałam paczkę, kupiłam kilka znaczków, potem wstąpiłam do sklepu z produktami żywnościowymi, i do bławatnego magazynu Fielda i Wrena po paczkę agrafek i zatrzasek. Stamtąd wróciłam. Mogę podać dokładny czas, ponieważ mój zegar z kukułką odezwał się trzy razy, gdy dochodziłam do furtki. Słysząc go z ulicy.

— A co z innymi zegarami?

— Słucham?

— Inne pani zegary śpieszą o ponad godzinę.

— Śpieszą? Ma pan na myśli zegar szafkowy w kącie?

— Nie tylko ten. Wszystkie inne zegary w bawialni wskazują ten sam czas.

— Nie pojmuję, co pan chce powiedzieć przez „inne zegary”. W bawialni nie ma innych zegarów.

Rozdział trzeci

Hardcastle wytrzeszczył oczy:

— Chwileczkę, panno Pebmarsh. A co z pięknym miśnieńskim, porcelanowym zegarem na kominku? A mały, francuski, z pozłacanego brązu? I srebrny, karetowy i jeszcze... tak, zegar z napisem „Rosemary” w rogu?

Z kolei osłupiała panna Pebmarsh:

— Ktoś z nas musiał zwariować. Zapewniam pana, że nie mam miśnieńskiego porcelanowego zegara, ani — jak pan powiedział? — zegara z napisem „Rosemary”, ani francuskiego z pozłacanego brązu, ani — jaki był ten kolejny?

— Srebrny karetowy — odparł inspektor mechanicznie.

— Ani takiego. Jeśli nie wierzy pan, może pan zapytać kobiety, która przychodzi sprzątać. Nazywa się pani Curtin.

Inspektor Hardcastle zapomniał języka w gębie. Stwierdzenie było stanowcze, ożywienie w głosie panny Pebmarsh — przekonywające. Pomyślał chwilę, potem wstał.

— Czy nie ma pani nic przeciw pójściu ze mną do bawialni?

— Oczywiście że nie. Szczerze mówiąc, chciałabym osobiście zobaczyć te zegary.

— Zobaczyć?

— „Zbadać” jest trafniejszym określeniem — zgodziła się panna Pebmarsh — ale nawet niewidomi używają konwencjonalnych zwrotów, które niekoniecznie odpowiadają ich możliwościom. Kiedy powiadam, że chciałabym zobaczyć te zegary, mam na myśli, że chciałabym je zbadać, dotknąć palcami.

Wyszli z kuchni przez mały hali do bawialni. Spec od daktyloskopii spojrział na inspektora.

— Właściwie skończyłem, sir. Można dotykać wszystkiego.

Hardcastle skinął głową i wręczył pannie Pebmarsh podróżny zegarek, z napisem „Rosemary” w rogu. Wodziła po nim starannie palcami.

— To chyba zwykły, podróżny zegarek — stwierdziła. — Składany, obciągnięty skórą.

Nie należy do mnie i jestem zupełnie pewna, że kiedy wychodziłam o pół do drugiej, nie było go w tym pokoju.

— Dziękuję.

Odebrawszy zegarek inspektor zdjął z kominka miśnieński zegar.

— Proszę uważać — rzekł podając go jej. — Może się stłuc.

Kobieta zbadała porcelanowe cacko delikatnymi ruchami. Potrząsnęła głową:

— Musi być śliczny, ale nie jest mój. Gdzie stał?

— Na kominku, po prawej.

— Powinien tam znajdować się jeden z pary porcelanowych chińskich świeczników.

— Tak — odparł inspektor. — Jest świecznik, ale przesunięty na bok.

— Powiedział pan, że jest jeszcze jeden zegar?

— Jeszcze dwa.

Odebrał porcelanowy i wręczył francuski, połączany. Obejrzała go szybko i zwróciła.

— Nie. Ten również nie jest mój.

Podał więc srebrny, który został oddany z tym samym komentarzem.

— Jedyne zegary, które są zwykle w tym pokoju, to szafkowy, w tym kącie przy oknie...

— Tak jest.

— ... i zegar z kukułką, na ścianie przy drzwiach.

Hardcastle nie bardzo wiedział, co począć dalej. Przyglądał się badawczo stojącej przed nim kobiecie, mając pewność, że nie może go obserwować. Na jej twarzy malowało się zakłopotanie. Powiedziała gwałtownie:

— Nie mogę tego zrozumieć. Po prostu nie mogę.

Wyciągnęła rękę ze świetną znajomością miejsca, w którym się znajdowała i usiadła. Hardcastle spojrzął na specja od daktyloskopii, stojącego przy drzwiach.

— Sprawdziłeś te zegary?

— Sprawdziłem wszystko, sir. Nie ma odcisków na tym połączanym, ale nie może być. Powierzchnia jest nieodpowiednia. Tak jak na srebrnym. Ale nie ma również na skórzanym, ani na porcelanowym, a tam powinny były się znaleźć. Nawiasem mówiąc, mechanizm żadnego z zegarów nie jest uszkodzony, a wszystkie wskazują ten sam czas — trzynaście minut po czwartej.

— A co z resztą pokoju?

— Znalazłem trzy czy cztery komplety odcisków, chyba wszystkie kobiece. Zawartość kieszeni denata leży na stole.

Ruchem głowy wskazał stosik rzeczy. Inspektor podszedł i przyjrzał się im. Był tam portfel zawierający siedem funtów i dziesięć szylingów, trochę bilonu, jedwabna chustka

do nosa bez monogramu, pudełko tabletek na trawienie i wizytówka, Hardcastle pochylił się nad nią.

R.H. Curry

Stołeczne i Terenowe Towarzystwo Ubezpieczeń

Denvers Street 7

Londyn 2

Inspektor wrócił do siedzącej na sofie panny Pebmarsh.

— Może spodziewała się pani wizyty kogoś z towarzystwa ubezpieczeniowego?

— Z towarzystwa ubezpieczeniowego? Na pewno nie.

— Stołeczne i Terenowe Towarzystwo Ubezpieczeń — powiedział inspektor.

Panna Pebmarsh potrząsnęła głową.

— Nigdy o nim nie słyszałam.

— Nie zastanawiała się pani nad ubezpieczeniem?

— Nie. Jestem ubezpieczona od ognia i włamań w Towarzystwie Ubezpieczeniowym „Jowisz”, które ma tu oddział. Nie interesuje mnie ubezpieczenie na życie. Nie mam rodziny ani bliskich krewnych, więc nie mam powodu ubezpieczać się.

— Rozumiem — rzekł Hardcastle. — A czy mówi pani coś nazwisko Curry? Pan R.H. Curry? — obserwował ją ze skupieniem. Na twarzy kobiety nie było reakcji.

— Curry — powtórzyła, potrząsając głową. — Nie, nie sędzę żebym słyszała to nazwisko, albo znała kogoś takiego. Czy tak nazywał się zmarły?

— To możliwe.

Panna Pebmarsh wahała się chwilę.

— Czy pan chciałby... żebym... żebym dotknęła...

Pojął natychmiast.

— Zechciałaby pani? Czy nie żądam zbyt wiele? Nie znam się dobrze na tych sprawach, ale palce powiedzą pani więcej, niż jakikolwiek opis.

— Właśnie — potwierdziła panna Pebmarsh. — Zgadza się, że to niezbyt przyjemny obowiązek, ale jestem gotowa, jeśli może to panu pomóc.

Poprowadził ją naokoło sofy, wskazał, gdzie ma uklęknąć i delikatnie nakierował jej rękę na twarz martwego człowieka. Kobieta była bardzo spokojna, nie okazywała emocji. Jej palce przesunęły się po włosach, uszach, zatrzymały się na moment za lewym uchem, badały linię nosa, ust i podbródka. Potrząsnęła głową i wstała.

— Wiem dokładnie, jak on wygląda, ale jestem pewna, że nie znałam go, ani nigdy nie widziałam.

Facet od odcisków palców zwinął swój kram i wyszedł z pokoju. Zajrzał ponownie.

— Przyszli po niego — zawiadomił, wskazując ciało. — Można go zabrać?

— Tak, — odparł inspektor. — Proszę usiąść tutaj, panno Pebmarsh — ulokował ją w fotelu w kącie.

Dwaj mężczyźni weszli do pokoju. Usunięto zmarłego pana Curry szybko i sprawnie. Hardcastle odprowadził ich do furtki, potem wrócił do pokoju. Usiadł obok panny Pebmarsh.

— To jakaś niesamowita historia, proszę pani. Chciałbym zebrać z pani pomocą główne jej punkty. Proszę mnie poprawić, jeśli się pomylę. Nie spodziewała się pani dziś wizyty, nie zasięgała pani informacji w sprawie ubezpieczenia jakiegokolwiek rodzaju, nie otrzymała pani żadnego listu, zapowiadającego odwiedziną przedstawiciela towarzystwa ubezpieczeniowego właśnie dzisiaj. Zgadza się?

— Dokładnie.

— Nie potrzebowała pani usług maszynistki, ani stenografki, nie dzwoniła pani do Biura Cavendish i nie prosiła pani nikogo, aby był tu o trzeciej?

— Znowu się zgadza.

— Kiedy wychodziła pani z domu około pół do drugiej, w tym pokoju znajdowały się tylko dwa zegary: szafkowy i z kukułką. Żadnego innego nie było.

Panna Pebmarsh zawahała się:

— Jeżeli odpowiedź ma być absolutnie ścisła, to nie mogłabym na to przysiąc. Nie widzę, więc mogłabym nie zauważyć obecności w pokoju czegoś, co nie znajduje się tu zazwyczaj. Ostatni moment, co do którego, jestem pewna, to chwila, kiedy go wcześniej rano odkurzałam. Wszystko było na miejscu. Robię to zwykle sama, ponieważ sprzątaczkę nie uważają na bibeloty.

— Wychodziła pani dziś rano?

— Tak. O dziesiątej poszłam, jak zazwyczaj, do Instytutu. Miałam lekcje do dwunastej piętnaście. Wróciłam za kwadrans pierwsza, zrobiłam sobie w kuchni jajecznicę i filiżankę herbaty i opuściłam dom znowu o pół do drugiej. Nawiasem mówiąc, jadłam w kuchni i nie wchodziłam do tego pokoju.

— Rozumiem. Więc może pani zdecydowanie stwierdzić, że o dziesiątej rano nie było tu żadnych obcych zegarów, i że prawdopodobnie zostały wniesione w ciągu dzisiejszego przedpołudnia.

— O to może pan zapytać moją sprzątaczkę, panią Curtin. Przychodzi tu około dziesiątej i zwykle kończy o dwunastej. Mieszka przy Dipper Street 17.

— Dziękuję, panno Pebmarsh. Zostawmy to na razie, chciałbym natomiast, aby przekazała mi pani swoje sugestie. W jakimś momencie dzisiaj przyniesiono tu cztery zegary. Wskazówki ich zostały ustawione na godzinę czwartą trzynaście. Czy ta pora kojarzy się pani z czymś?

— Trzynaście po czwartej — panna Pebmarsh potrząsnęła głową. — Nie.

— Przejdźmy zatem od zegarów do zmarłego. Wydaje się nieprawdopodobne, żeby wpuściła go sprzątaczkę i zostawiła w domu bez pani polecenia, ale tego musimy dowiedzieć się od niej. Ten człowiek przyszedł tu przypuszczalnie, żeby zobaczyć się z panią,

w interesie albo prywatnie. Między trzynastą trzydzieści a czternastą czterdzieści pięć został zasztyletowany. Nic pani nie wiadomo, jakoby był umówiony. Przypuszczalnie miał coś wspólnego z ubezpieczeniami — ale tu nie może nam pani pomóc. Drzwi nie były zamknięte, wobec tego mógł wejść, usiąść i czekać na panią, ale w jakim celu?

— Cała ta sprawa jest idiotyczna — powiedziała panna Pebmarsh ze zniecierpliwieniem. — Więc uważa pan, że ten, jak mu tam. Curry, przyniósł te zegary ze sobą?

— Trudno przypuszczać by przyniósł je w kieszeniach, a nigdzie nie widać żadnego pojemnika. Proszę się dobrze zastanowić. Czy ma pani jakiś pomysł, jakieś skojarzenie związane z tymi zegarami, a jeśli nie, to może z godziną 4.13. Trzydzieści minut po czwartej.

Znowu potrząsnęła głową.

— Próbowалам powiedzieć sobie, że to robota szaleńca albo kogoś, kto pomylił domy. Jednak nawet to niczego nie wyjaśnia. Nie, inspektorze, nie potrafię panu pomóc.

Młody policjant zajrzał do pokoju. Hardcastle wyszedł do niego i podeszli do furtki. Inspektor rozmawiał chwilę ze swoimi ludźmi.

— Możecie teraz zawieźć młodą damę do domu. Palmerston Road 14.

Wrócił do jadalni. Drzwi od kuchni były otwarte i słyszał, jak panna Pebmarsh krząta się przy zlewozmywaku. Stał w progu.

— Chciałbym zabrać te zegary. Zostawię pani pokwitowanie.

— W porządku, inspektorze. Nie należą przecież do mnie...

Hardcastle zwrócił się do Sheili Webb.

— Może pani iść do domu. Policyjny samochód zawiezie panią.

Sheila i Colin wstali.

— Ulokuj panią w samochodzie, Colin — poprosił Hardcastle, przysuwając krzesło do stołu i zaczął pisać pokwitowanie.

Colin i Sheila ruszyli ścieżką. Nagle dziewczyna stanęła.

— Moje rękawiczki... Zostawiłam je...

— Zaraz przyniosę.

— Nie. Wiem, gdzie je położyłam. Nie mam nic przeciw wejściu tam — teraz, kiedy to zostało zabrane.

Pobiegła z powrotem i wróciła po chwili.

— Przykro mi, że byłam taką idiotką.

— Każdy byłby — odparł Colin.

Kiedy samochód z Sheila odjechał, nadszedł Hardcastle i zwrócił się do młodego policjanta:

— Chcę, żeby zegary z bawialni zapakować starannie. Wszystkie oprócz wielkiego, szafkowego i tego z kukułką.

Wydał jeszcze kilka poleceń i spojrzał na przyjaciela.

— Zamierzam pojechać w kilka miejsc. Jedziesz ze mną?

— Chętnie — odparł Colin.

Rozdział czwarty

Relacja Colina Lamba

— Dokąd się wybieramy? — spytałem Dicka.

Zwrócił się do kierowcy.

— Do Biura Maszynopisania Cavendish. Na Palace Street, w stronę Esplanady, po prawej.

— Tak jest, sir.

Samochód ruszył. Przy furtce stała mała grupka ludzi, gapiących się z ciekawością. Rudy kot wciąż siedział na skrzynce pocztowej sąsiedniej posesji Diana Lodge. Przestał się myć i wyprostowany wymachiwał lekko ogonem, patrząc ponad głowami gapiów z tą kompletną pogardą dla rasy ludzkiej, która cechuje koty i wielbłądy.

— Najpierw do biura, a potem do sprzątaczk, w takiej kolejności, ponieważ czas upływa. — Spojrzał na zegarek. — Już po czwartej. — Potem zauważył: Niebrzydka dziewczyna.

— Owszem — zgodziłem się.

Rzucił mi rozbawione spojrzenie.

— Opowiedziała jednak bardzo dziwną historię. Im wcześniej ją sprawdzimy, tym lepiej.

— Nie myślisz chyba, że ona...

Przerwał mi.

— Zawsze interesują mnie ludzie znajdujący zwłoki.

— Ależ ta dziewczyna oszalała prawie z przerażenia! Gdybyś słyszał, jak wrzeszczała...

Znowu popatrzył na mnie z kpiną w oczach i powtórzył, że ona jest bardzo ładna.

— A jak to się stało, że zawędrowałeś na Wilbraham Crescent? Podziwiałeś naszą wykwintną, wiktoriańską architekturę? A może przyświecał ci jakiś cel?

— Miałem cel. Szukałem numeru 61 i nie byłem w stanie go znaleźć. A może nie ist-

nieje?

— Owszem, jest. Numery dochodzą do, chyba, 88.

— Ależ Dick, kiedy doszedłem do numeru 28, Wilbraham Crescent skończył się.

— To zawsze zaskakuje obcych. Gdybyś skręcił w prawo, w Albany Road i potem jeszcze raz w prawo, trafiłbyś na drugą połowę Wilbraham Crescent. Ta ulica, czy raczej zaułek, tworzy rodzaj pętli. Ogrody stykają się tylnymi częściami.

— Rozumiem — powiedziałem, kiedy wreszcie wyjaśnił mi szczegółowo topografię tego miejsca. — Zupełnie jak te ogrody i skwery w Londynie. Onslow Square albo Cadogan. Wyruszasz skwerem, który nagle staje się placem lub ogrodem. Nawet tak-sówkarze są często w kłopotcie. Tak czy owak, numer 61 istnieje. Nie wiesz, kto tam mieszka?

— Pod 61? Zaraz... Tak, Bland, przedsiębiorca budowlany.

— To fatalnie.

— Nie tęsknisz do budowniczego?

— Nie, nie odpowiada mi. Chyba... Może sprowadził się tutaj niedawno?

— Sądzę, że Bland urodził się tu. To miejscowy człowiek, prowadzi interes od lat.

— Jestem rozczarowany.

— To bardzo znany przedsiębiorca — dodał mi otuchy Hardcastle. — Używa nędznych materiałów. Buduje domy, które wyglądają jako tako, dopóki się w nich nie zamieszka, potem wszystko się wali, albo przestaje działać. Po prostu oszustwo, ale uchodzi mu płazem.

— To mnie nie nęci, Dick. Facet, którego szukam, jest na pewno filarem uczciwości.

— Bland dostał w zeszłym roku kupę pieniędzy, a raczej jego żona. Jest Kanadyjką, przyjechała tu podczas wojny i spotkała Blanda. Jej rodzina nie życzyła sobie tego małżeństwa i wydziedziczyła ją, kiedy się pobrali. W ubiegłym roku zmarł jej stryjeczny dziadek, którego jedyny syn zginął w katastrofie lotniczej, inni członkowie rodziny padli ofiarą wojny i jedynie pani Bland ostała się z całej rodziny. Wobec tego pieniądze dostały się jej. Sądzę, że ocaliły Blanda przed bankructwem.

— Widzę, że wiesz sporo o panu Blandzie.

— Ach, Skarb Państwa jest zawsze zainteresowany, kiedy ktoś bogaci się z dnia na dzień. Chcą wiedzieć czy kombinuje coś i naciąga rachunki, więc sprawdzają. Skontrolowali go i wszystko okazało się w porządku.

— W każdym razie nie interesuje mnie facet, który nagle doszedł do pieniędzy. To nie ten układ, za jakim się rozglądam.

— Nie? Ale podobno już ci się udało?

Przytaknąłem.

— I skończyłeś tę sprawę?

— Tak się mówi — odparłem wymijająco. — Czy zjemy dziś razem obiad, jak mieli-

śmy zamiar, czy to odpada?

— Nie, wciąż jest aktualne. W tej chwili przede wszystkim trzeba puścić w ruch cały mechanizm śledczy. Musimy dowiedzieć się wszystkiego o panu Currym. Chyba wiemy teraz, kim był i co robił, i będziemy mogli dojść, kto chciał go usunąć. — Wyjrzał przez okno.

— Jesteśmy.

Biuro Maszynopisania i Stenografii Cavendish mieściło się przy dużej, handlowej ulicy, nazwanej nieco pompatycznie Palace Street. Jak wiele innych tamtejszych przedsiębiorstw, znajdowało się w zaadaptowanym, wiktoriańskim budynku. Podobny dom na prawo mieścił atelier znakomitego Edwina Glena, artysty fotografa, specjalisty od zdjęć dzieci, fotografii ślubnych itd. Na dowód tego witryna była wypełniona dużymi fotogramami dzieci wszelkich rozmiarów i wieku, od niemowląt poczynając. Przymuszczałnie takie właśnie zdjęcia przywabiłyby czule mamusie. Zaprezentowano również kilka świeżych par małżeńskich. Zakłopotani młodzi ludzie z roześmianymi dziewczynami. Po drugiej stronie Biura Cavendish znajdowały się pomieszczenia staroświeckiej hurtowni węgla. Dalej kilka starych domów zostało wyburzonych i na ich miejscu stał lśniący, trzykondygnacyjny budynek reklamujący się jako restauracja i kawiarnia „Orient”.

Weszliśmy po czterech stopniach przez otwarte drzwi frontowe i skręciliśmy na prawo, gdzie widniała tabliczka „Proszę wejść”. Był to spory pokój, w którym trzy młode kobiety stukały zawzięcie na maszynach. Dwie z nich kontynuowały pracę, nie zwracając uwagi na zjawienie się obcych. Trzecia, siedząca przy stoliku z telefonem, naprzeciw drzwi, przerwała i spojrzała na nas pytająco. Wydawało mi się, że ssie cukierek. Umieściwszy go wygodnie pod policzkiem spytała trochę nosowym głosem:

— W czym mogę pomóc?

— Panna Martindale? — zapytał Hardcastle.

— Wydaje mi się, że rozmawia teraz przez telefon... — w tej chwili rozległ się brzęk, dziewczyna podniosła słuchawkę, nacisnęła guzik i zaanonsowała: — Dwaj dżentelmeni chcą się widzieć z panią, panno Martindale.

Spojrzała na nas i spytała:

— Mogę prosić o nazwiska panów?

— Hardcastle — odparł Dick.

— Pan Hardcastle, panno Martindale — odłożyła słuchawkę i wstała. — Proszę tędy — powiedziała kierując się do drzwi z mosiężną tabliczką z napisem PANNA MARTINDALE. Otworzywszy odsunęła się, aby nas przepuścić, zaanonsowała i zamknęła drzwi.

Panna Martindale podniosła głowę znad wielkiego biurka, za którym siedziała. Była to kobieta około pięćdziesiątki, z upiętymi w kok jasnorudymi włosami i bystrym, czuj-

nym spojrzeniem.

Popatrzyła na nas, od jednego do drugiego.

— Pan Hardcastle?

Dick wręczył jej jedną ze swoich służbowych wizytówek. Ja usiadłem z tyłu, na krześle przy wejściu.

Płowe brwi panny Martindale uniosły się ze zdziwieniem i pewną irytacją.

— Inspektor Hardcastle? Czym mogę służyć?

— Jestem zmuszony prosić panią o małą informację. Myślę, że będzie pani w stanie mi pomóc.

Z jego tonu wywnioskowałem, że zamierza rozegrać to — jakby nie było — przesłuchanie drogą okrężną, posługując się wdziękiem, jaki niewątpliwie posiadał. Wątpiłem jednak, czy panna Martindale jest osobą podatną na męski urok. Należała chyba do kobiet tego typu, który Francuzi określają tak trafnie mianem *femme formidable*, strasznej baby.

Tymczasem rozglądałem się wokoło. Na ścianie za biurkiem panny Martindale wisiała kolekcja fotografii z dedykacjami. Rozpoznałem Ariadnę Oliver, autorkę powieści kryminalnych, z którą się kiedyś zetknąłem. *Szczerze oddana Ariadna Oliver* — było napisane pochyłym, energicznym pismem. *Wdzięczny Garry Gregson*, zdobiło fotografię zmarłego przed szesnastu laty autora thrillerów. *Zawsze twoja Miriam* głosił podpis na zdjęciu Miriam Hogg, autorki romansów. Literaturę seksu reprezentowała fotografia łysiejącego mężczyzny, podpisana drobnymi literkami: *Wielce zobowiązany Armand Levine*. Trofea te cechowała pewna jednostajność. Mężczyźni przeważnie trzymali fajki i byli ubrani w tweedy, kobiety wyglądały poważnie, otulone futrami.

Kiedy ja się przyglądałem, Hardcastle przystąpił do pytań.

— Jak mi wiadomo, zatrudnia pani dziewczynę, która nazywa się Sheila Webb.

— Zgadza się. Obawiam się, że nie ma jej w tej chwili... przynajmniej...

Nacisnęła guzik i spytała:

— Edno, czy Sheila Webb już wróciła?

— Nie, panno Martindale, jeszcze nie.

Panna Martindale wyłączyła się.

— Wyszła na umówione spotkanie po południu — wyjaśniła. — Myślałam, że już wróciła. Możliwe, że poszła do hotelu „Curlew”, na końcu Esplanady, gdzie ma następne zlecenie na piątą.

— Rozumiem — rzekł Hardcastle. — Czy może mi pani powiedzieć coś o paninie Webb?

— Niezbyt wiele. Jest u mnie od — zaraz — od około roku. Pracuje zadowolająco.

— Wie pani, gdzie pracowała przedtem?

— Jeśli koniecznie pan tego potrzebuje, mogłabym poszukać. Jej referencje są gdzieś

tutaj. O ile sobie przypominam, pracowała poprzednio w Londynie i miała dobrą opinię. Wydaje mi się, choć nie jestem pewna, że było to jakieś przedsiębiorstwo, może handel nieruchomościami.

— Powiada pani, że pracuje dobrze?

— Przyzwóicie — odparła panna Martindale, która najwyraźniej nie szafowała pochwałami.

— Nie jest pracownikiem wysoko kwalifikowanym?

— Nie mogłabym tego powiedzieć. Ma dobrą przeciętną szybkość stenografowania i znośne wykształcenie. Jest uważną i dokładną maszynistką.

— Zna ją pani osobiście, poza kontaktami zawodowymi?

— Nie. Wydaje mi się, że mieszka z ciotką — tu panna Martindale zaniepokoiła się lekko. — Mogę zapytać o powód tych indagacji? Czy dziewczyna znalazła się w tarapatkach?

— Niezupełnie. Zna pani pannę Millicent Pebmarsh?

— Pebmarsh — zastanowiła się panna Martindale, marszcząc rudawe brwi. — Zaraz... no, naturalnie. To właśnie do domu panny Pebmarsh poszła dzisiaj Sheila. Spotkanie wyznaczono na trzecią.

— W jaki sposób doszło do zlecenia?

— Telefonicznie. Panna Pebmarsh zadzwoniła i powiedziała, że potrzebuje stenotypistki i żebym zechciała przysłać jej pannę Webb.

— Prosiła specjalnie o Sheilę Webb?

— Tak.

— O której odbyła się ta rozmowa?

Panna Martindale zastanowiła się chwilę.

— Odebrałam telefon osobiście. To znaczy, że była to pora lunchu. Była mniej więcej za dziesięć drugą. W każdym razie przed drugą... Ach, tak, widzę że zrobiłam notatkę w moim bloku. Dokładnie o 13.49.

— Rozmawiała z panią sama panna Pebmarsh?

— Przypuszczam, że tak.

— Nie rozpoznała pani jej głosu? Nie zna jej pani osobiście?

— Nie. Przedstawiła się jako panna Pebmarsh, dała mi adres i numer domu na Wilbraham Crescent. Potem poprosiła, aby Sheila Webb, jeśli jest wolna, przyszła do niej o trzeciej.

Było to jasne, stanowcze zeznanie. Pomyślałem, że panna Martindale byłaby znakomitym świadkiem.

— Czy zechciałby pan powiedzieć mi, o co chodzi? — spytała z lekkim zniecierpliwieniem.

— Widzi pani, panna Pebmarsh zaprzecza, jakoby do pani telefonowała.

Panna Martindale wytrzeszczyła oczy.

— Coś podobnego! Dziwna sprawa.

— A pani utrzymuje, że taka rozmowa została przeprowadzona, ale nie może pani stwierdzić jednoznacznie, że dzwoniła sama panna Pebmarsh.

— Oczywiście, nie mogę przysiąc. Nie znam tej kobiety. Ale naprawdę nie mogę pojąć powodu robienia takich rzeczy. Czy to miał być dowcip?

— Raczej coś więcej — odparł Hardcastle. — Czy ta panna Pebmarsh, lub ktokolwiek to był, podała powód, dla którego życzy sobie właśnie pannę Webb?

Panna Martindale zastanowiła się chwilkę.

— Powiedziała, zdaje się, że Sheila pracowała już dla niej.

— I tak było istotnie?

— Sheila oświadczyła, że nie przypomina sobie, aby robiła coś dla tej osoby. Ale to nie jest rozstrzygające. Ostatecznie dziewczęta chodzą często do różnych ludzi, w rozmaite miejsca, więc mogą nie pamiętać, jeśli działo się to przed miesiącami. Sheila nie była zbyt pewna. Powiedziała tylko, że nie pamięta, czy tam kiedyś była. Ale, inspektorze, nawet jeśli to był kawał, nie rozumiem skąd bierze się pańskie zainteresowanie tą sprawą?

— Właśnie dochodzę do tego. Kiedy panna Webb przybyła na Wilbraham Crescent, weszła do domu, a następnie do bawialni. Twierdzi, że otrzymała takie polecenie. Tak było?

— Dokładnie tak — odparła panna Martindale. — Panna Pebmarsh oświadczyła, że może się trochę spóźnić, i że Sheila ma wejść i poczekać.

— Kiedy panna Webb weszła do bawialni — kontynuował Hardcastle — znalazła martwego człowieka leżącego na podłodze.

Panna Martindale wpatrywała się w niego. Przez chwilę nie mogła wydobyć głosu.

— Powiedział pan o martwego człowieka, inspektorze?

— Zamordowanego mężczyznę. Konkretnie zasztyletowanego.

— Mój Boże — rzekła panna Martindale. — Dziewczyna musi być bardzo zdenerwowana.

Było to bagatelizowanie cudzych uczuć, charakterystyczne dla tej kobiety.

— Czy nazwisko Curry mówi coś pani? Pan R.H. Curry?

— Chyba nie.

— Ze Stołecznego i Terenowego Towarzystwa Ubezpieczeń?

Panna Martindale w dalszym ciągu zaprzeczała.

— Rozumie pani mój dylemat — tłumaczył inspektor. — Pani mówi, że zadzwoniła panna Pebmarsh, prosząc by Sheila Webb przyszła do jej domu o trzeciej. Panna Pebmarsh przeczy temu. Sheila Webb idzie tam i znajduje jakiegoś martwego mężczyznę — czekał z nadzieją.

Panna Martindale patrzyła na niego obojętnie.

— To wszystko wydaje mi się całkiem nieprawdopodobne — oświadczyła z naganą w głosie.

Dick westchnął i podniósł się.

— Ma pani przyjemne biuro — zauważył grzecznie. — Prowadzi je pani już dłuższy czas?

— Piętnaście lat. Wyrobiliśmy sobie markę. Zaczynając skromnie, rozwinęliśmy interes tak, że ledwie nadążamy z robotą. Zatrudniam teraz osiem dziewcząt i są cały czas zajęte.

— Macie sporo pracy literackiej — zauważył Hardcastle, przyglądając się zdjęciom na ścianach.

— Tak, zaczęłam specjalizować się w pracy z pisarzami. Przez wiele lat byłam sekretarką znanego autora thrillerów, pana Garry'ego Gregsona. Znałam wielu jego kolegów po piórze i oni mnie rekomendowali w środowisku. Moja specjalistyczna wiedza o potrzebach literatów bardzo mi się przydała. Oferuję niezmiernie pożyteczne usługi, polegające na wyszukiwaniu dat i cytatów, informacji na temat zagadnień prawnych i procedury policyjnej czy listy trucizn. Oprócz tego służę obcojęzycznymi nazwiskami, adresami i nazwami restauracji dla umieszczających akcję swoich powieści za granicą. Dawniej publiczność nie przywiązywała wagi do ścisłości szczegółów, ale teraz czytelnicy pisują przy każdej okazji do autorów, wytykając im błędy.

Panna Martindale przerwała, a Hardcastle powiedział uprzejmie:

— Jestem pewien, że może pani sobie pogratulować.

Ruszył do drzwi. Otworzyłem je przed nim szeroko.

W biurze trzy dziewczyny przygotowywały się właśnie do wyjścia. Maszyny do pisania były schowane. Recepcjonistka Edna stała markotnie, trzymając w jednej ręce obcas, a w drugiej pantofel.

— Mam je zaledwie miesiąc — lamentowała. — I były naprawdę drogie. To ta piekielna krata, ta na rogu, koło cukierni obok nas. Obcas wpadł w otwór, no i stało się. Nie mogłam iść na lunch, musiałam zdjąć oba pantofle i wrócić tutaj z paroma bułeczkami i nie mam pojęcia, jak dostanę się do domu, czy wsiądę do autobusu...

W tej chwili zostaliśmy dostrzeżeni i Edna spieszenie ukryła uszkodzony bucik, rzucając lękliwie spojrzenie w kierunku panny Martindale, którą uznałem za osobę nie pochwalającą szpilek. Ona sama nosiła praktyczne, skórzane buty na płaskich obcasach.

— Dziękuję, panno Martindale — powiedział Dick. — Gdyby coś przyszło pani na myśl...

— Oczywiście — przerwała mu obcesowo.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, zauważyłem:

— A więc, wbrew twoim podejrzeniom, historia Sheili Webb okazała się prawdziwa.

— W porządku — odparł Dick. — Wygrałeś.

Rozdział piąty

— Mamusiu! — zawołał Ernie Curtin, przestając na chwilę turlać po szybie mały, metalowy model samolotu, co w połączeniu z pół jęczącym, pół warczącym dźwiękiem miało wyobrażać lot pojazdu kosmicznego na Wenus. — Mamusiu, możesz sobie wyobrazić?

Pani Curtin, kobieta o surowej twarzy, zajęta zmywaniem naczyń, nie odpowiedziała.

— Mamusiu, pod nasz dom podjechał samochód policyjny.

— Przestań kłamać, Ernie — powiedziała pani Curtin, trzaskając talerzami na suzarce. — Wiesz, co ci mówiłam na ten temat.

— Słowo! — upierał się Ernie. — Jest wóz policyjny i wysiada z niego dwóch ludzi. Pani Curtin zwróciła się nagle do swego potomka.

— No i co znowu narozrabiałeś? — zapytała. — Wstyd nam przynosisz i tyle!

— Jasne, że nic — odparł Ernie. — Nic nie zrobiłem.

— To mi pasuje do tego Alfa — oświadczyła pani Curtin. — Do niego i jego gangu. Gangi, coś podobnego! Mówiłam ci i tatuś też ci mówił, że gangi to nic przyzwoitego. Najpierw będzie sąd dla nieletnich, a potem wyślą cię do więzienia, jasne jak słońce. Nie pozwolę na to, słyszysz?

— Idą do frontowych drzwi — zaanonsował Ernie.

Pani Curtin opuściła zlewozmywak i przyłączyła się do syna przy oknie.

— No, no — mruknęła.

W tej chwili rozległo się pukanie. Wycierając spiesznie ręce w ścierkę, pani Curtin wyszła na korytarz i otworzyła drzwi. Spojrzała z niechęcią na dwóch mężczyzn na klatce schodowej.

— Pani Curtin? — zapytał uprzejmie wyższy.

— Tak jest.

— Mogę wejść? Jestem inspektor Hardcastle.

Pani Curtin cofnęła się bez entuzjazmu. Otworzyła drzwi i wpuściła przybyłych do ładnego, czystego pokoiku, sprawiającego wrażenie rzadko używanego, co odpowiadało rzeczywistości.

Ernie, pchany ciekawością, wśliznął się za nimi.

— To pani syn?

— Tak — powiedziała pani Curtin, dodając wojowniczo: — dobry chłopiec, cokolwiek by pan nie powiedział.

— Jestem tego pewien — odparł grzecznie Hardcastle.

Wyraz wyzwania na twarzy pani Curtin przygasł.

— Przychodzę, żeby zadać pani kilka pytań na temat domu przy Wilbraham Crescent 19. Jak wiem, pracuje pani tam.

— Nigdy nie zaprzeczałam — oświadczyła pani Curtin, nie będąc w stanie pozbyć się nieufności.

— Pracuje pani dla panny Pebmarsh.

— Tak. Bardzo miła pani.

— Niewidoma.

— Tak, biedaczka. Ale nigdy by pan nie poznał. Cudowne, jak potrafi wszystko znaleźć i poruszać się bez pomocy. Nie robi zamieszania, jak wiele osób, które znam,

— Pracuje pani tam rano?

— Tak. Przychodzę między pół do dziesiątej a dziesiątą, wychodzę o dwunastej albo jak skończę. — Nagle zapytała zaczepnie:

— Nie mówi pan chyba, że coś zostało skradzione?

— Wprost przeciwnie — rzekł inspektor, mając na myśli cztery zegary.

Pani Curtin patrzyła na niego nie pojmując.

— O co chodzi? — spytała.

— Dziś po południu, na Wilbraham Crescent 19, znaleziono w bawialni martwego mężczyznę.

Pani Curtin gapiła się na nas. Ernie w ekstazie otworzył usta, by powiedzieć „Jeeee...”, lecz pomyślał, że nie byłoby mądrze zwrócić uwagę na swoją obecność i zamknął je czym prędzej.

— Martwego? — powtórzyła pani Curtin z niedowierzaniem. — W bawialni?

— Tak. Został zasztyletowany.

— Chce pan powiedzieć, że to było morderstwo?

— Tak, morderstwo.

— Kto go zamordował? — dopytywała się sprzątaczką.

— Niestety, tego na razie nie wiemy. Sądzimy, że pani będzie mogła nam pomóc.

— Nie wiem nic o morderstwie — odparła stanowczo.

— Oczywiście, ale są pewne punkty do wyjaśnienia. Czy tego ranka przyszedł tam

jakikolwiek mężczyzna?

— Nie przypominam sobie. Dzisiaj nie. Co to był za człowiek?

— Starszy, około sześćdziesiątki, dobrze ubrany, w ciemnym garniturze. Mógł się przedstawić jako agent ubezpieczeniowy.

— Nie pozwoliłabym mu wejść — oświadczyła pani Curtin. — Żadnych agentów od ubezpieczeń, sprzedawców odkurzaczy czy encyklopedii. Nikogo takiego. Panna Pebmarsh nie pochwała kupowania w drzwiach i ja również.

— Według wizytówki, którą ten człowiek miał przy sobie, nazywał się Curry. Słyszała pani kiedyś to nazwisko?

— Curry? Curry? — pani Curtin potrząsnęła głową.

— Brzmi jakoś po hindusku — powiedziała podejrzliwie.

— O nie — rzekł inspektor. — Nie był Hindusem.

— Kto go znalazł? Panna Pebmarsh?

— Młoda dama, stenotypistka, która przyszła w wyniku nieporozumienia, myśląc, że ma wykonać pewną pracę dla panny Pebmarsh. Panna Pebmarsh wróciła prawie w tej samej chwili.

Pani Curtin westchnęła głęboko.

— Co za historia — powiedziała. — Co za historia!

— Może się zdarzyć, że poprosimy panią o zobaczenie ciała i stwierdzenie, czy widziała już pani kiedyś tego człowieka na Wilbraham Crescent, lub wchodzącego pod numer 19. Panna Pebmarsh twierdzi stanowczo, że nigdy tam nie przychodził. Są jeszcze inne drobiazgi, które chciałbym wyjaśnić. Potrafi pani przypomnieć sobie, ile zegarów jest w bawialni?

Pani Curtin nawet nie zawahała się.

— Jest wielki zegar w kącie, nazywają go dziadek i na ścianie zegar z kukułką. Wyskakuje i woła „kuku”. Czasem człowiek niemal podskoczy. — Pośpiesznie dodała:

— Nie dotykam żadnego z nich. Panna Pebmarsh lubi odkurzać je sama.

— Nic się im nie stało — zapewnił ją inspektor.

— Jest pani pewna, że dziś rano były tam tylko dwa zegary?

— Oczywiście. Jakie jeszcze miałyby być?

— Nie było, na przykład, małego srebrnego, prostokątnego, który nazywają kareto-
wym, albo też niedużego, połączanego — na półce nad kominkiem, albo porcelano-
wego w kwiatki, czy też zegarka obciążanego skórą, z imieniem Rosemary wypisanym
w rogu?

— Jasne, że nie było. Nic podobnego.

— Zauważyłaby pani, gdyby znalazły się tam?

— Oczywiście.

— Każdy z tych zegarów pokazywał czas ponad godzinę późniejszy niż szafkowy

i ten z kukułką.

— Musiały być zagraniczne — stwierdziła pani Curtin. — Pojechaliśmy kiedyś z moim starym na wycieczkę autokarową do Szwajcarii i Włoch i tam było o całą godzinę później. To musi być związane ze Wspólnym Rynkiem. Nie popieram Wspólnego Rynku i pan Curtin też nie. Anglia mi wystarcza.

Inspektor nie dał się wciągnąć w politykę.

— Może mi pani powiedzieć dokładnie, o której opuściła pani dom panny Pebmarsh dziś rano?

— Jak nic, piętnaście po dwunastej.

— Panna Pebmarsh była już w domu?

— Nie, jeszcze nie wróciła. Przychodzi zwykle między dwunastą a pół do pierwszej, ale to bywa różnie.

— A wyszła — o której?

— Zanim przyszłam. Zawsze jestem o dziesiątej.

— Cóż, dziękuję, pani Curtin.

— To dziwne z tymi zegarami. Może panna Pebmarsh była na wyprzedaży? To pewnie antyki? Tak wygląda z tego, co pan mówi.

— Panna Pebmarsh chodzi często na wyprzedaże?

— Cztery miesiące temu kupiła chodnik w zupełnie dobrym stanie. Mówiła mi, że bardzo tanio. Dostała też aksamitne zasłony. Trzeba było je skrócić, ale są jak nowe.

— Zwykle jednak nie kupuje na wyprzedaży bibelotów, obrazów czy porcelany?

Pani Curtin potrząsnęła głową.

— Nigdy tego nie widziałam, ale rzecz jasna, o takich sprawach się nie mówi. Chcę powiedzieć, że człowiek często daje się ponieść. Kiedy znajdzie się w domu, powiada „na co mi to potrzebne?” Kupiłam kiedyś sześć słoików dżemu. Zastanowiłam się i wyszło mi, że mogłabym dostać je taniej, tak samo filiżanki i spodeczki na targu w środę.

Pokiwała ponuro głową. Czując, że w tej chwili nic z niej już nie wydobędzie, inspektor wyszedł. Ernie nareszcie mógł wypowiedzieć się na aktualny temat.

— Morderstwo! Jeee!

Natychmiast nowe zdarzenie zastąpiło w jego umyśle zdobywanie przestrzeni kosmicznej.

— Panna Pebmarsh nie mogła tego zrobić? — powiedział marzycielsko.

— Nie gadaj głupio — odparła matka. Przemknęła jej przez głowę pewna myśl.
— Ciekawa jestem, czy powinnam mu powiedzieć...

— O czym, mamusiu?

— Mniejsza z tym. To naprawdę nic ważnego.

Rozdział szósty

Relacja Colina Lamba

Kiedy uporaliśmy się z dwoma słabo wysmażonymi stekami, popłukanymi beczkowym piwem, Dick westchnął na znak, że czuje się znacznie lepiej i powiedział:

— Do diabła z agentami ubezpieczeniowymi, ozdobnymi zegarami i wrzeszczącymi dziewczynami! Chcę posłuchać o tobie Colin. Myślałem, że skończyłeś robotę w tych stronach. A tymczasem włączysz się po bocznych uliczkach Crowdean. Mogę cię zapewnić, że specjalista od flory i fauny morskiej nie ma tutaj nic do roboty.

— Nie wyśmiewaj się z biologii morskiej, Dick. To bardzo użyteczna dziedzina. Samo wspomnienie o niej nudzi wszystkich serdecznie i tak obawiają się rozmowy na ten temat, że nigdy nie musisz nic wyjaśniać ani odpowiadać na pytania.

— Nie ma możliwości wygadać się, co?

— Zapominasz — odparłem chłodno — że ja jestem biologiem morskim. Uzyskałem stopień naukowy w Cambridge. Może z niezbyt dobrym wynikiem, ale jednak. To bardzo interesująca dziedzina i pewnego dnia do niej wrócę.

— Oczywiście wiem, nad czym pracujesz. Moje gratulacje. Proces Larkina zacznie się w przyszłym miesiącu, prawda?

— Tak.

— Zdumiewające, że tak długo mu się udawało. Ktoś powinien był nabrać podejrzeń.

— Trudno było. Kiedy wbijesz sobie do głowy, że jakiś gość jest z gruntu uczciwym facetem, z trudem przyjdzie ci na myśl, że może być inaczej.

— Musiał być bystry — zauważył Dick. Potrząsnąłem głową.

— Nie sądzę. Uważam, że robił, co mu kazano. Miał dostęp do bardzo ważnych dokumentów. Wynosił je więc, papiery były fotografowane i wracały na miejsce tego samego dnia. Sprawna organizacja. Miał zwyczaj jadać lunch każdego dnia gdzie indziej. Wydaje się nam, że wieszał swój płaszcz obok takiego samego, choć człowiek, który go nosił,

zmieniał się chyba codziennie. Zamieniano płaszcze, ale człowiek, który to robił, nigdy nie rozmawiał z Larkinem. Chcielibyśmy poznać lepiej tę technikę. Wszystko było bardzo dobrze zaplanowane i zsynchronizowane. Ktoś tu miał rozum.

— I dlatego wciąż jeszcze pętasz się koło bazy floty wojennej w Portlebury?

— Tak, ponieważ znamy powiązania ich siatki z flotą i z Londynem. Wiemy, kiedy i gdzie Larkin dostawał forszę. Jest jednak luka. Gdzieś w tej okolicy działa jeszcze część organizacji. O niej chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej, bo tam właśnie siedzą ci, którzy myślą, kwatera główna, opracowująca plany. Jej ślad zatarto nie raz, lecz prawdopodobnie siedem czy osiem razy.

— Po co Larkin to robił? Dla idei? Żeby się dowartościować? A może po prostu dla pieniędzy?

— Nie był idealistą — odparłem. — Myślę, że zwyczajnie, dla forsy.

— Nie mogliście go dopaść wcześniej? Pewnie wydawał pieniądze? Nie dusił ich w każdym razie.

— Och nie. Rzucał forszą. Istotnie, można go było przyłapać prędzej niż sądziliśmy. Hardcastle skinął głową ze zrozumieniem.

— Wiem. Natknęliście się na niego przypadkiem i wykorzystaliście. Tak było?

— Mniej więcej. Zanim go przyłapaliśmy, zdobył kilka dość ważnych informacji, więc pozwoliliśmy mu uzyskać jeszcze parę innych, pozornie równie istotnych. W firmie musimy godzić się z tym, że czasem trzeba dać robić z siebie durniów.

— Twoja praca chyba mi nie odpowiadała — rzekł Hardcastle w zamyśleniu.

— Nie jest to zajęcie tak ekscytujące, jak ludzie sądzą. Prawdę mówiąc, jest zwykle bardzo nudne. A jednak jest w tym coś, co przyciąga. Dzisiaj odnosi się wrażenie, że nie ma prawdziwych sekretów. My znamy ich tajemnice, oni znają nasze. Ich agenci są naszymi i odwrotnie. W końcu myśl, kto kogo przechytrzy, staje się zmorą. Czasem wydaje mi się, że każda strona zna tajniki drugiej, i że zawiązują rodzaj spisku, aby robić wrażenie, że tak nie jest.

— Wiem, co masz na myśli — rzekł Dick.

Potem spojrzał na mnie ciekawie.

— Pojmuję, czemu wciąż tkwisz w Portlebury. Crowdean jednak leży od niego dobre dziesięć mil.

— To, czego szukam, to zaułki.

— Zaułki? — Dick wydawał się zaintrygowany.

— Albo, dla odmiany księżyc. Nów, księżyc wschodzący i tak dalej. Rozpocząłem poszukiwania w samym Portlebury. Jest tam pub, który nazywa się „Crescent Moon”. Straciłem w nim masę czasu. Pasowało doskonale. Jest jeszcze „The Moon and Stars”, „The Rising Moon”, „The Jolly Sickle”, „The Cross and the Crescent”*, w małej miejsco-

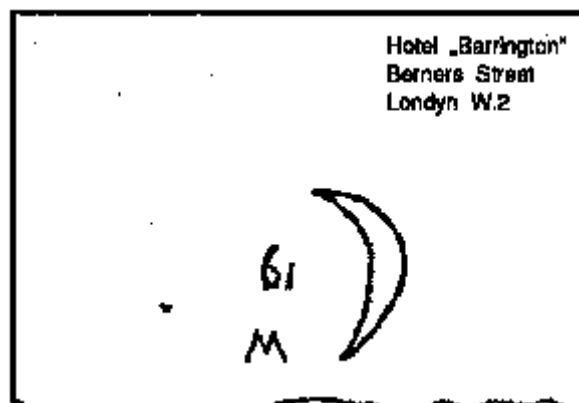
*ang. crescent – nów, półksiężyc, półkolisty zaułek. Crescent Moon – nów; Moon and Stars – księżyc i gwiazdy; Rising Moon – wschodzący księżyc; Jolly Sickle – wesoły sierp; The Cross and the Crescent – krzyż i półksiężyc (przyp. tłum.)

wości, nazywającej się Seamede. Nic z tego. Zostawiłem więc w spokoju księżycę i zacząłem się zaułkami. Jest ich kilka w Portlebury. Lansbury Crescent, Aldridge Crescent, Livermead Crescent, Victoria Crescent.

Pochwyciłem oszołomione spojrzenie Dicka i zacząłem się śmiać.

— Nie bądź taki ogłupiały, Dick. Zacząłem od czegoś konkretnego.

Wyjąłem portfel, wydobylem kartkę papieru i podałem mu. Był to arkusik hotelowego papieru listowego, na którym nabazgrano prymitywny rysunek.



Miał to w portfelu facet od nas nazwiskiem Hanbury. Był bardzo aktywny w sprawie Larkina. Niezły, całkiem niezły. Został potrącony przez samochód w Londynie. Sprawca uciekł. Nikt nie zanotował numeru. Nie wiem, co to znaczy, ale Hanbury sądził, że to coś ważnego i zanotował czy przerysował. Czy przyszło mu coś do głowy? Może zobaczył coś, albo usłyszał? Jakaś rzecz dotyczącą księżycy lub zaułka, nowiu, numeru 61 i litery W? Po jego śmierci zabrałem to. Nie wiem jeszcze, czego szukam, ale jestem pewny, że coś znajdę. Nie mam pojęcia, co oznacza cyfra 61, ani litera W. Zacząłem działać w okolicy Portlebury. Trzy tygodnie nieprzerwanej i bezowocnej harówki. Na mojej trasie znalazło się Crowdean. I to wszystko. Szczerze mówiąc, nie spodziewam się po tym miasteczku zbyt wiele. Jest tu tylko jeden Zaułek. Właśnie Wilbraham Crescent. Litera W pasuje, prawda? Szedłem przez tę uliczkę i szukałem numeru 61, ale zanim spytałem ciebie, nie trafiłem na żadnego durnia, który potrafiłby mi pomóc. Właśnie tym byłem zajęty — nie umiałem znaleźć numeru 61.

— Jak ci mówiłem, mieszka tam miejscowy przedsiębiorca budowlany.

— Więc to nie ten, którego szukam. Może mają zagraniczną służącą?

— Możliwe. Jeżeli tak, musi być zameldowana. Sprawdzę ci to jutro.

— Dzięki.

— Również jutro będę przeprowadzał rutynowe śledztwo w obu domach sąsiadujących z numerem 19. Czy zauważyli kogoś wchodzącego i takie tam rzeczy. Mógłbym włączyć domy za dziewiętnastką te, których ogrody stykają się. Mogę cię zabrać, jeśli

masz ochotę.

Przyjąłem ofertę z wdzięcznością.

— Zostanę twoim sierżantem Lambem i będę stenografował.

Uzgodniliśmy, że następnego ranka, o dziewiątej trzydzieści, przyjdę na posterunek.

Nazajutrz przybyłem punktualnie i zastałem mego przyjaciela dosłownie dygoczącego z furii.

Kiedy odprawił nieszczęsnego podwładnego, spytałem delikatnie, co się stało.

Przez chwilę Hardcastle nie mógł wypowiedzieć słowa. Wreszcie wykrztusił: — Te przeklęte zegary!

— Znowu zegary? Co się zdarzyło?

— Jeden zniknął.

— Zniknął? Który?

— Podróżny, obciążony skórą. Ten z napisem Rosemary w rogu.

Gwizdnałem.

— To bardzo dziwne. Jak to się stało?

— Ci cholerni idioci... jednym z nich jestem ja sam... — (Dick jest bardzo uczciwym człowiekiem). — Trzeba pamiętać o każdej kropce nad i, w przeciwnym razie wszystko się gmatwa. No więc wczoraj zegary były w bawialni. Skłoniłem pannę Pebmarsh, aby obejrzała je, czy jej czegoś nie przypominają. Nie umiała nam pomóc. Potem zabrano ciało.

— No i?

— Wszedłem do furtki, żeby tego dopilnować, następnie wróciłem do domu, rozmawiałem w kuchni z panną Pebmarsh, powiedziałem, że muszę wziąć zegary i wręczyłem jej pokwitowanie.

— Pamiętam. Słyszałem to.

— Potem zawiadomiłem dziewczynę, że odeślę ją do domu jednym z naszych wozów i poprosiłem ciebie, abys się tym zajął.

— Dałem pannie Pebmarsh kwit, choć ona twierdziła, że nie jest to konieczne, ponieważ zegary nie należą do niej. Potem dołączyłem do ciebie. Kazałem Edwardsowi, by spakował zegary i przyniósł tutaj. Oczywiście oprócz szafkowego i tego z kukułką. I tu popełniłem błąd. Powinienem był wymienić wszystkie cztery zegary. Edwards mówi, że wszedł do bawialni zaraz po tym, jak mu wydałem polecenie. Utrzymuje, że poza domowymi, znajdowały się tam jedynie trzy.

— A więc margines czasu był niewielki. To oznacza...

— Że mogła zrobić to ta Pebmarsh. Zdażyłaby po moim wyjściu chwycie zegar i pójść z nim prosto do kuchni.

— To prawda. Ale po co?

— Musimy się dowiedzieć wielu rzeczy. Czy jeszcze ktoś wchodzi w rachubę? Dziewczyna?

— Chyba nie. Ja... — przerwałem, przypomniawszy sobie o czymś.

— To znaczy, że zrobiła to. Dalej. Kiedy to się stało?

— Szliśmy właśnie do samochodu — powiedziałem przygnębiony. — Okazało się, że zostawiła rękawiczki. Zaproponowałem, że przyniosę, ale oświadczyła, że wie, gdzie je rzuciła, a nie ma już oporów przed wejściem do bawialni, skoro zwłoki zostały zabrane. Pobieгла do domu. Była tam tylko moment...

— A kiedy wróciła, miała na rękach rękawiczki?

Zawahałem się.

— Tak, myślę, że miała.

— Jasne, że nie — rzekł Dick. — W przeciwnym razie nie zastanawiałbyś się.

— Pewnie włożyła je do torebki.

— Problem w tym — oświadczył Dick oskarżycielskim tonem — że zakochałeś się w tej dziewczynie.

— Nie bądź idiotą — zaprotestowałem. — Zobaczyłem ją pierwszy raz wczoraj po południu i nie było to romantyczne zawarcie znajomości.

— Nie byłbym taki pewny — odparł Hardcastle. — Nie co dzień zdarza się młodemu człowiekowi, że dziewczyna rzuca mu się w ramiona, wzywając pomocy w klasyczny, wiktoriański sposób. To sprawia, że mężczyzna czuje się jak bohater i rycerski obrońca. Ale musisz przestać ją ochraniać. To wszystko. Ona może tkwić po szyję w sprawie morderstwa.

— Chcesz powiedzieć, że to dziewczątka dźgnęło nożem mężczyznę, wsadziło gdzieś nóż tak dobrze, że żaden z twoich łapsów nie był w stanie go znaleźć i rozmyślnie wypadło z domu, żeby odegrać dla mnie tę scenę?

— Gdybyś widział to co ja w swoim czasie, byłbyś zdumiony — rzekł ponuro Dick.

— Czy nie zdajesz sobie sprawy — dopytywałem się z oburzeniem — że w moim życiu jest mnóstwo pięknych kobiet-spiegów wszelkiej narodowości? A wszystkie z takim biustem, że amerykański detektyw prywatny zapomniałby o swoim zapasie żytniówki w szufladzie na bieliznę. Jestem uodporniony na wdzięki kobiece.

— Każdy ma w końcu swoje Waterloo — odparł Dick. — To zależy od modelu. Sheila Webb wydaje się być w twoim typie.

— W każdym razie nie rozumiem, dlaczego tak uparcie usiłujesz się do niej przyczepić.

Hardcastle westchnął.

— Nie przyczepiam się do niej, ale muszę od czegoś zacząć. Zwłoki były w domu panny Pebmarsh. To łączy ją ze sprawą. Znalazła je ta Webb i nie muszę ci mówić, jak

często osoba znajdująca zwłoki jest ostatnią, która widziała denata żywego. Do czasu uzyskania nowych faktów w rachubę wchodzi te dwie kobiety.

— Kiedy wszedłem do pokoju, tuż po trzeciej, facet był martwy od pół godziny, prawdopodobnie nieco dłużej. Co powiesz na to?

— Sheila Webb jadła lunch między 13.30 a 14.30.

Popatrzyłem na niego z rozdrażnieniem.

— Czego dowiedziałeś się o Currym?

Hardcastle odpowiedział z niespodziewaną goryczą: — Niczego!

— Co to znaczy — niczego?

— To znaczy, że on nie istnieje. Nie ma takiego człowieka.

— Co mówi to biuro ubezpieczeniowe?

— Nic nie mówi, ponieważ nie istnieje. Stołeczne i Terenowe Towarzystwo Ubezpieczeń nie istnieje. Podobnie jak pan Curry z Denvers Street. Nie ma pana Curry, ulicy Denvers, numeru 7 i jakiegokolwiek innego.

— Ciekawe. Chcesz powiedzieć, że miał wizytówki, z lipnym nazwiskiem, adresem i lipną nazwą towarzystwa ubezpieczeniowego?

— Przypuszczalnie.

— To gruba historia, nie sądzisz?

Hardcastle wzruszył ramionami.

— Na razie to domysły. Może pobierał fałszywe opłaty ubezpieczeniowe. Może przedstawiał się w ten sposób i naciągał ludzi. Mógł być oszustem lub hochsztaplerem, kawalarzem albo prywatnym detektywem. Nie wiemy.

— Ale odkryjecie to.

— Och tak, w końcu dowiemy się. Posłaliśmy jego odciski palców, żeby sprawdzić czy był kiedykolwiek karany. Jeśli tak, będzie to wielki krok naprzód, jeśli nie, będą trudności.

— Prywatny kapuś — zastanowiłem się. — To mi się podoba. Otwiera pewne możliwości.

— Na razie mamy właśnie tylko możliwości.

— Kiedy odbędzie się rozprawa?

— Pojutrze. Zwykła formalność, po której nastąpi odroczenie.

— Co mówi lekarz?

— Zakłuty ostrym narzędziem. Coś w rodzaju kuchennego noża do jarzyn.

— To raczej wyklucza pannę Pebmarsh, co? Wątpliwe, by niewidoma kobieta była w stanie zasztyletować mężczyznę. Ona naprawdę jest niewidoma?

— Och tak, nie widzi. Sprawdziliśmy. Jest tą osobą, za którą się podaje. Pracowała jako nauczycielka matematyki w North Country School, straciła wzrok szesnaście lat temu, zaczęła się wprawiać w piśmie brajlowskim i ostatecznie dostała posadę w Insty-

tucie Aaronberga.

— Może jest chora psychicznie?

— I ma bzika na punkcie zegarów i agentów ubezpieczeniowych?

— To zbyt fantastyczne, by uwierzyć — nie mogłem powstrzymać pewnego entuzjazmu w moich słowach. — Zupełnie jak u Ariadny Oliver w jej najgorszych powieściach, albo u Garry’ego Gregsona w szczytowej formie...

— Dalej, baw się dobrze. Nie jesteś nieszczęsnym inspektorem policji na służbie. Nie musisz zadowolić nadintendenta czy komisarza i całej reszty tych facetów.

— No dobrze! Może wydostaniemy coś pożytecznego z sąsiadów.

— Wątpię — powiedział gorzko Hardcastle. — Nawet gdyby ten człowiek został zabity we frontowym ogródku i dwaj zamaskowani mężczyźni wnieśli go do domu i tak nikt nie wyrząłby przez okno. Niestety, to nie jest wieś. Wilbraham Crescent jest uliczką eleganckich rezydencji. Około godziny pierwszej sprzątaczk, które mogłyby coś zauważyć, udają się do domów. Nie przyjeżdża nawet wózek mleczarza...

— Nie ma starszej inwalidki, siedzącej cały dzień przy oknie?

— Tego właśnie nam trzeba, ale nie mamy.

— A co z numerami 18 i 20?

— Pod osiemnastką mieszka pan Waterhouse, kierownik kancelarii adwokackiej Gainsford i Swettenham z siostrą, która spędza czas na dyrygowaniu bratem. O dwudziestce wiem tylko, że kobieta mieszkająca tam trzyma około dwudziestu kotów. Nie lubię kotów...

Powiedziałem mu, że życie policjanta jest ciężkie i wyruszyliśmy.

Rozdział siódmy

Schodząc ze schodów swego domu przy Wilbraham Crescent 18, pan Waterhouse obejrzał się niespokojnie na siostrę.

— Jesteś zupełnie pewna, że nic ci się nie stanie? Panna Waterhouse parsknęła oburzona.

— Nie wiem, o co ci chodzi, James.

Pan Waterhouse wyglądał na skruszonego. Tak często wyglądał przepraszająco, że był to praktycznie główny rys jego fizjonomii.

— Cóż, miałem na myśli, że trzeba brać pod uwagę to, co zdarzyło się zaledwie wczoraj w sąsiednim domu...

Pan Waterhouse wychodził właśnie do kancelarii adwokackiej, gdzie pracował. Był to sympatyczny, siwowłosy mężczyzna z pochylonymi ramionami i twarzą raczej szarą niż różową, ale nie tą szarością typową dla chorego.

Panna Waterhouse wysoka i koścista, należała do kobiet serio, nie znoszących głupiego zachowania u innych.

— Czy mam zostać zamordowana dlatego, że wczoraj przydarzyło się to komuś w sąsiedztwie?

— No cóż Edith, zależy, kto popełnił to morderstwo.

— Wyobrażasz sobie, że ktoś przechadza się po Wilbraham Crescent, wybierając ofiarę z każdego domu? Doprawdy, James, to po prostu bluźnierstwo.

— Bluźnierstwo? — zdziwił się pan Waterhouse. Ten aspekt nie przyszedł mu na myśl. — Wydaje mi się, że to zbyt naciągnięte, Edith.

— Chciałabym zobaczyć tego, kto przychodzi tu, aby mnie zabić — oświadczyła energicznie panna Waterhouse.

Jej bratu przyszło na myśl, że to jest mało prawdopodobne. Gdyby on sam szukał ofiary, nie wybrałby nigdy własnej siostry. Jeżeli ktoś pokusiłby się o taki niecny zamiar, najprawdopodobniej zostałby zdzielony siekierą lub ołowianą kulą do podpiera-

nia drzwi, a następnie, zakrwawiony i sponiewierany, odstawiony na policję.

— Miałem na myśli — powiedział z narastającym uczuciem skruchy — że płaczą się tutaj różne niepożądane typy.

— Niewiele wiemy o tym, co się zdarzyło — odparła siostra. — Krążą różne plotki. Pani Head opowiadała dziś rano niesamowite historie.

— Tak, tak — pan Waterhouse popatrzył na zegarek. Nie miał ochoty słuchać historyjek przyniesionych przez ich gadatliwą sprzątaczkę. Siostra nigdy nie traciła czasu na odbrazowanie tych fajerwerków wyobraźni, bo ją bawiły.

— Niektórzy powiadają, że to był skarbnik czy też powiernik Instytutu Aaronberga, że było coś nie w porządku z księgami rachunkowymi, i że przyszedł przesłuchać w tej sprawie pannę Pebmarsh.

— I zamordowała go? — pan Waterhouse wydawał się lekko ubawiony. — Niewidoma kobieta? Ależ na pewno...

— Zarzuciła mu kawałek drutu na szyję i udusiła. Nie pilnował się. Kto miałby się na bacności przy niewidomym? Oczywiście nie wierzę w to — dodała. — Jestem pewna, że panna Pebmarsh jest osobą o nieskazitelnym charakterze. Jeśli nie zgadzam się z nią pod wieloma względami, to nie oznacza, że imputuję jej cechy kryminalistki. Po prostu uważam, że ma poglądy zbyt bigoteryjne i ekstrawaganckie jednocześnie. Są ostatecznie inne sprawy oprócz edukacji. A te wszystkie dziwnie wyglądające szkoły średnie, zbudowane praktycznie ze szkła? Można by pomyśleć, że hoduje się w nich ogórki czy pomidory. Jestem pewna, że latem to jest bardzo szkodliwe dla dzieci. Pani Head powiedziała mi, że jej Susan nie podobają się te nowe klasy. Mówi, że nie może uważać na lekcjach, ponieważ trudno powstrzymać się od wyglądania przez te okna.

— No cóż — pan Waterhouse znowu spojrzął na zegarek. — Obawiam się, że jestem bardzo spóźniony. Do widzenia, moja droga. Uważaj na siebie. Najlepiej zamknij drzwi na łańcuch.

Panna Waterhouse parsknęła znowu. Zamknąwszy drzwi za bratem zamierzała udać się na górę, lecz zastanowiwszy się, wyjęła z worka kij do golfa i ustawiła go w pobliżu frontowych drzwi w pozycji strategicznej. — No — powiedziała do siebie. — Oczywiście James gada głupstwa. Zawsze jednak lepiej być przygotowanym. — Sposób, w jaki zwalniano z zakładów chorych psychicznie, nakłaniając ich do prowadzenia normalnego życia, stanowił jej zdaniem, zagrożenie dla wszystkich niewinnych ludzi.

Panna Waterhouse znajdowała się w sypialni, kiedy na górę weszła spieszenie pani Head. Była to kobieta mała i okrągła, bardzo podobna do gumowej piłki, wciąż ciesząca się wszystkim, co się zdarzało.

— Dwóch dżentelmenów chce się widzieć z panią — oświadczyła podekscytowana. — Zresztą nie są naprawdę dżentelmenami, to policjanci.

Podawała wizytówkę.

— Inspektor Hardcastle — przeczytała panna Waterhouse. — Zaprowadziła ich pani do salonu?

— Nie. Upchnęłam ich w jadalni. Sprzątnęłam już śniadanie i pomyślałam, że to będzie lepsze miejsce. Pomimo wszystko, to tylko policjanci.

Panna Waterhouse nie rozumiała tej argumentacji, ale nie dyskutowała.

— Pewnie będą wypytywać o pannę Pebmarsh — rzekła pani Head. — Zechcą wiedzieć, czy zauważyła pani coś niezwykłego w jej zachowaniu. Podobno obłąd objawia się czasem nagle, wcześniej nie widać zbyt wiele. Zwykle jednak coś jest, jakiś sposób mówienia, rozumie pani. Powiadają, że można to poznać po ich oczach. Ale to nie może dotyczyć niewidomej, prawda? Ach... — potrząsnęła głową.

Panna Waterhouse wkroczyła do jadalni z uczuciem przyjemnego zaciekawienia, maskowanym jej zwykłą wojowniczością.

— Inspektor Hardcastle?

— Dzień dobry, panno Waterhouse — Hardcastle podniósł się. Był z nim wysoki, ciemnowłosy młody człowiek, którego jednak nie powitała. Nie zwróciła uwagi na ciche słowa prezentacji: — Sierżant Lamb.

— Mam nadzieję, że nie przyszedłem za wcześnie, ale przypuszczam, że pani wie, o co chodzi. Słyszała pani, co się wczoraj stało w sąsiednim domu.

— Morderstwo tuż obok zwykle nie przechodzi niezauważone. Musiałam nawet odprawić paru reporterów, którzy przyszli dopytywać się, czy coś zauważyłam.

— Odesłała ich pani?

— Naturalnie.

— Bardzo słusznie. Oni, rzecz jasna, chcą się wkręcić wszędzie, ale jestem pewien, że pani potrafi uporać się z takimi natrętami.

Panna Waterhouse okazała niejaki zadowolenie z komplementu.

— Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciw temu, abyśmy zadali jej parę pytań — zaczął Hardcastle.

— Jeśli widziała pani coś, co mogłoby nam pomóc, byłibyśmy wdzięczni. Była pani w domu w tym czasie?

— Nie wiem, kiedy zostało popełnione morderstwo.

— Uważamy, że między pół do drugiej a pół do trzeciej.

— W takim razie na pewno byłam tutaj.

— A pani brat?

— Nie przychodzi do domu na lunch. Kto właściwie został zamordowany? Nie napisano tego w krótkiej notatce w porannej gazecie.

— Jeszcze nie wiemy, kim był.

— Obcy?

— Na to wygląda.

— Chce pan powiedzieć, że panna Pebmarsh też go nie znała?

— Zapewnia nas, że nie oczekiwała żadnego gościa i że nie ma pojęcia, kim jest ofiara.

— Nie może być pewna. Przecież nie widzi.

— Podaliśmy jej bardzo dokładny opis.

— Jaki to był człowiek?

Hardcastle wyjął z koperty fotografię:

— To właśnie on. Nie przychodzi pani do głowy, ktoś znany?

Panna Waterhouse przyjrzała się zdjęciu. — Nie. Nie... Jestem przekonana, że nigdy przedtem go nie widziałam. Mój Boże! Wygląda na przyzwoitego człowieka.

— Wydawał się bardzo nobliwy — zapewnił inspektor. — Wyglądał na prawnika czy biznesmena.

— Coś podobnego. Ta fotografia wcale nie jest denerwująca, wydaje się, jakby spał.

Hardcastle nie powiedział jej, że spośród wielu różnych zdjęć zwłok wybrano to jedno, jako najmniej niepokojące.

— Śmierć może być spokojna. Sądzę, że gdy nadeszła, ten człowiek nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje.

— Co mówi o tym panna Pebmarsh? — dopytywała się sąsiadka.

— Zupełnie nie wie, co o tym myśleć.

— Niebywałe — skomentowała panna Waterhouse.

— Może potrafi pani jakoś nam pomóc? Jeśli wspomni pani wczorajszy dzień, to czy między dwunastą a trzecią wyglądała pani przez okno, lub była w ogrodzie?

Panna Waterhouse zastanowiła się.

— Tak, byłam w ogrodzie... Zaraz, muszę pomyśleć. To chyba było przed pierwszą. Wróciłam mniej więcej za dziesięć pierwsza, umyłam ręce i siadłam do lunchu.

— Widziała pani pannę Pebmarsh wchodzącą do domu lub opuszczającą go?

— Wydaje mi się, że wchodziła... słyszałam skrzypnięcie furtki... tak, jakiś czas po dwunastej.

— Nie rozmawiała pani z nią?

— Och nie. To było tylko skrzypnięcie i dlatego spojrzałam. To pora jej powrotu. Chyba właśnie kończy lekcje. Jak pan wie, uczy kalekie dzieci.

— Według jej zeznania, wyszła ponownie około pół do drugiej. Zgodziłaby się pani z tym?

— Nie mogę podać dokładnego czasu, ale... tak, pamiętam ją mijającą tę furtkę.

— Przepraszam, powiedziała pani „mijającą tę furtkę”.

— Oczywiście. Byłam w salonie. Okna wychodzą na ulicę, natomiast jadalnia, w której siedzimy, ma okna od strony ogrodu. Po lunchu wzięłam swoją kawę do salonu i siedziałam na krześle przy oknie. Czytałam „Timesa” i wydaje mi się, że gdy przewracałam

kartkę, dostrzegłam pannę Pebmarsh przechodzącą obok mojej furtki. Czy jest w tym coś niezwykłego, inspektorze?

— Ależ nie — uśmiechnął się Hardcastle. — Zrozumiałem, że panna Pebmarsh wybrała się na małe zakupy i na pocztę, i przyszło mi do głowy, że najprostszą rzeczą, byłoby pójść w drugą stronę, wzdłuż zaułka.

— To zależy, do jakich sklepów pan się wybiera. Oczywiście do niektórych jest tamędy bliżej, no i jest poczta na Albany Road...

— A może panna Pebmarsh zwykle przechodzi obok pani furtki o tej porze?

— Doprawdy nie wiem, o której panna Pebmarsh zwykle wychodzi i w jakim kierunku idzie. Nie mam skłonności do obserwowania moich sąsiadów. Jestem kobietą zajętą i mam zbyt wiele własnych spraw. Wiem, że niektórzy ludzie spędzają czas wyglądając przez okno i obserwując, kto przechodzi i kogo odwiedza. Taki zwyczaj mają chorzy i osoby nie mające nic lepszego do roboty, jak interesowanie się innymi i plotkowanie na temat sąsiadów.

Ton panny Waterhouse był tak zgryźliwy, że inspektor czuł, iż ma na myśli konkretną osobę. Powiedział spieszenie: — Właśnie. Właśnie. Kiedy panna Pebmarsh mijała pani dom, mogła iść do telefonu, prawda? Tu stoi budka telefoniczna?

— Tak. Naprzeciw numeru 15.

— Najważniejsza rzecz, o którą muszę zapytać, to czy widziała pani przybycie tego człowieka — tajemniczego mężczyzny, jak go nazwały poranne gazety?

Panna Waterhouse potrząsnęła głową. — Nie, nie widziałam go, ani nikogo innego.

— A co robiła pani między pół do drugiej a trzecią?

— Spędziłam pół godziny rozwiązując krzyżówkę z „Timesa”, potem poszłam do kuchni i zmyłam naczynia. Zaraz. Napisałam parę listów i wystawiłam kilka czeków za przysłane rachunki, potem poszłam na górę i przygotowałam rzeczy do pralni chemicznej. Wydaje mi się, że byłam w sypialni, kiedy zauważyłam jakieś zamieszanie w sąsiedztwie. Usłyszałam wyraźnie, że ktoś krzyczy, więc naturalnie podeszłam do okna. Przy furtce stał młody mężczyzna z młodą dziewczyną. Wyglądało, jakby ją obejmował.

Sierżant Lamb zaszurał butami, ale panna Waterhouse nie patrzyła na niego i wyraźnie nie miała pojęcia, że był właśnie tym młodym człowiekiem, o którym mowa.

— Widziałam tylko tył głowy tego mężczyzny. Wydawało się, że perswaduje coś dziewczynie. Wreszcie posadził ją pod skrzynką pocztową, a sam pośpieszenie udał się do domu.

— Nie widziała pani panny Pebmarsh wracającej do domu krótko przed tym?

Jego rozmówczyni zaprzeczyła. — Nie. Nie patrzyłam przez okno do momentu, gdy usłyszałam niezwykły hałas. Zresztą nie poświęciłam temu większej uwagi. Młodzi ludzie robią dziwne rzeczy — krzyczą, popychają się, chichoczą i robią harmider — więc nie pomyślałam, że to mogło być coś poważnego. Do chwili, w której przyjechało parę

samochodów policyjnych, nie wiedziałam, że zdarzyło się coś niezwykłego.

— I co pani zrobiła wtedy?

— Wyszłam z domu i stanęłam na schodach, a potem zajrzałam do ogrodu z tyłu. Chciałam się dowiedzieć, co zaszło, ale z tej strony nic nie było widać. Kiedy wróciłam tutaj, zebrał się mały tłumek. Ktoś poinformował mnie, że w tamtym domu popełniono morderstwo. To wydało mi się niesłychane. Niesłychane! — oświadczyła panna Waterhouse z dezaprobatą.

— Niczego więcej pani sobie nie przypomina? Niczego, o czym mogłaby pani nam opowiedzieć?

— Obawiam się, że nie.

— Może ostatnio pisał do pani ktoś z propozycją ubezpieczenia, albo dzwonił w tej sprawie?

— Nie. Nic w tym rodzaju. James i ja mamy polisy w Mutual Help Assurance Society. Oczywiście stale przychodzą listy i reklamy, ale w ostatnim czasie nic takiego się nie zdarzyło.

— Nie było listów od kogoś o nazwisku Curry?

— Nie, na pewno nie.

— Czy nazwisko Curry wydaje się pani znajome?

— Nie. A powinno być?

Hardcastle uśmiechnął się. — Nie, nie sędzę. Tak się rzekomo nazywa zamordowany.

— To nie jest prawdziwe nazwisko?

— Mamy powody tak myśleć.

— Oszust? — spytała panna Waterhouse.

— Nie możemy tego powiedzieć, dopóki nie zdobędziemy dowodów.

— Naturalnie. Musicie być ostrożni, wiem. Nie tak, jak ludzie w okolicy. Plotą, ile wlezie. Dziwię się, że niektórzy nie są stale ciągnięci do sądu za zniesławienie.

— Oszczęstwo — poprawił sierżant Lamb, odzywając się po raz pierwszy.

Panna Waterhouse spojrzała na niego z pewnym zaskoczeniem, jakby wcześniej nie uświadamiała sobie faktu, że jest on realną istotą, a nie niezbędnym dodatkiem do inspektora Hardcastle.

— Przykro mi, że nie potrafię panu pomóc.

— Mnie jest również przykro — odparł inspektor.

— Osoba o pani inteligencji, rozsądku i zdolności do obserwacji byłaby bardzo przydatna jako świadek.

— Pragnęłabym coś wiedzieć — oznajmiła panna Waterhouse.

Przez moment jej głos zabrzmiał tęsknie, jak głos młodej dziewczyny.

— A pani brat, pan James Waterhouse?

— James nie wie nic — rzekła jego siostra pogardliwie. — Nigdy nic nie wie. W każdym razie był w biurze, u Gainsforda i Swettenhama, na High Street. O nie, James nie byłby w stanie panu pomóc. Jak mówiłam, nie przychodzi do domu na lunch.

— A gdzie zwykle jada?

— Zazwyczaj pije kawę z sandwiczami w „Trzech Piórach”. Bardzo przyzwoity, spokojny lokal. Specjalizują się w szybkich lunchach dla ludzi wolnych zawodów.

— Dziękuję. Nie będziemy zabierać pani więcej czasu.

Wstał i wyszedł do hallu. Panna Waterhouse towarzyszyła im. Colin Lamb wziął kij golfowy stojący przy drzwiach.

— Dobry kij — zauważył. — Ma odpowiednią wagę — uniósł go.

Panna Waterhouse zmieszała się trochę.

— Coś podobnego — powiedziała. — Nie pojmuję, skąd się ten kij tutaj wziął.

Zabrała go skwapliwie i umieściła w worku.

— To bardzo mądrze przedsięwziąć środki ostrożności.

Panna Waterhouse otworzyła drzwi i wypuściła ich.

— No — westchnął Colin — nie wydobyliśmy z niej wiele, choć tak jej kadziłeś cały czas. Czy to twoja stała metoda?

— Daje czasem dobre rezultaty z osobami jej pokroju. Tacy twardzi ludzie zawsze reagują na pochlebstwa.

— Mruczała w końcu jak kot, który dostał spodek śmietanki. Niestety nie przyniosło to niczego interesującego.

— Nie? — spytał Hardcastle.

Colin rzucił mu szybkie spojrzenie. — Co masz na myśli?

— Pewien bardzo drobny i może nieważny punkt. Panna Pebmarsh wychodząc na pocztę i do sklepów skręciła w lewo, zamiast w prawo, a rozmowa telefoniczna, według panny Martindale, odbyła się za dziesięć drugą.

Colin popatrzył ciekawie.

— Wciąż myślisz, że mogła to zrobić? Przeczyła bardzo stanowczo.

— Tak — przyznał Hardcastle. — Była bardzo stanowcza.

Brzmiało to dyplomatycznie.

— Ale jeśli to zrobiła, to w jakim celu?

— Och, wszystko jest pytaniem — rzekł inspektor niecierpliwie. — Dlaczego, dlaczego? Dlaczego urządzono tę całą oszalałą historię? Jeżeli panna Pebmarsh dzwoniła, dlaczego sprowadziła tutaj tę dziewczynę? A jeżeli to był ktoś inny, dlaczego chciał wplątać w to pannę Pebmarsh? Gdyby ta Martindale знаła pannę Pebmarsh osobiście, wiedziałaby czy to jej głos, a w każdym razie, czy podobny. No dobrze, nie wydostaliśmy wiele z numeru 18. Zobaczmy, czy numer 20 będzie dla nas łaskawszy.

Rozdział ósmy

Dom przy Wilbraham Crescent 20 posiadał oprócz numeru nazwę. Brzmiała ona Diana Lodge. Furtka zniechęcała intruzów gęstym odrutowaniem. Dostyc melancholijnie, źle przyszyżone krzewy wawrzynu, także odbierały ochotę do wejścia.

— Jeśli jakiś dom miałby nosić nazwę Wawrzyny, to właśnie ten — zauważył Colin.
— Ciekaw jestem, czemu nazwano go Diana Lodge?

Oszacował ogród spojrzeniem. Nie tchnął schludnością rabat i trawników. Najbardziej uderzającym elementem były splątane, rozrośnięte krzewy i bijąca od nich zjadliwa woń kocich odchodów. Dom wydawał się w opłakanym stanie, głównie z powodu rynien wymagających naprawy. Jediną oznaką, że ostatnio poświęcono mu uwagę, były świeżo pomalowane drzwi, których jaskrawy lazur podkreślał jeszcze bardziej ogólne zaniedbanie reszty domu i ogrodu. Nie było elektrycznego dzwonka, tylko uchwyty, którego pociągnięcie sprawiło, że za drzwiami rozległ się brzęk.

— Zupełnie jak w warownym zamku.

Czekali chwilę, zanim ze środka dały się słyszeć dziwne dźwięki. Coś jakby wysokie zawrozenie, pół śpiew, pół mowa.

— Co u diabła... — zaczął Hardcastle.

Osoba śpiewająca czy nucąca zaczęła się zbliżać do drzwi frontowych, można było już odróżnić słowa:

— Nie, śliczniutkie, nie, milutkie. Kizi mizi, Szach-Mimi. Kleo... Kleopatra. Mru-mru. Lu-lu.

Usłyszeli szcęk klamki i wejście stanęło otworem. Ukazała się dama w nieco sfatygowanej, wizytowej, aksamitnej sukni koloru mchu. Płowo-siwe kosmyki włosów były pracowicie ułożone w koafiurę sprzed trzydziestu lat. Wokół szyi nosiła kołnierz z rudego futra. Inspektor powiedział niepewnie:

— Pani Hemming?

— Tak, to ja. Spokojnie, Promyczku, spokojnie, kitunie.

Właśnie w tym momencie inspektor uświadomił sobie, że rudy, futrzany kołnier jest w rzeczywistości żywym kotem. Nie był to jedyny kot. Trzy inne miaucząc i kręcąc się przy spódnicy swojej pani, przyglądały się gościom. Przenikliwy odór uderzył w nozdrza obu mężczyzn.

— Jestem Hardcastle, inspektor policji.

— Mam nadzieję, że przychodzi pan w sprawie tego okropnego człowieka z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, który mnie nachodził. Haniebne! Zgłosiłam to. Mówił, że moje koty są trzymane w warunkach przynoszących uszczerbek ich zdrowiu i szczęściu! Haniebne! Ja żyję dla moich kotów, inspektorze. Są jedyną radością mego życia. Dla nich robię wszystko. Szach-Szach-Mimi. Nie tutaj, skarbie.

Szach-Szach-Mimi nie zwróciła uwagi na wstrzymujący ruch ręki swojej pani i wskoczyła na stół w hallu. Usiadła i myjąc pyszczek patrzyła na obcych.

— Proszę wejść — rzekła pani Hemming. — Och nie, nie do tego pokoju, zapomniałam.

Otworzyła drzwi po lewej stronie. Odrażający zapach był jeszcze bardziej przenikliwy.

— Chodźcie, moje śliczności.

Na stołach i krzesłach w pokoju leżały liczne grzebienie i szczotki pełne kocich włosów, wytarte i brudne poduszki oraz przynajmniej sześć innych kotów.

— Żyję dla moich najmilszych — oświadczyła pani Hemming. — Rozumieją każde słowo, z jakim się do nich zwracam.

Inspektor mężnie przekroczył próg. Nieszczęściem należał do ludzi uczulonych na koty. Jak zwykle w takich wypadkach, natychmiast wszystkie miaucząc rzuciły się ku niemu. Jeden wskoczył na kolana, inny ocierał się czule o spodnie. Inspektor Hardcastle, który był dzielnym człowiekiem, zacisnął zęby i cierpiał.

— Czy mógłbym zadać pani parę pytań na temat...

— Ile pan tylko zechce — przerwała mu pani Hemming. — Nie mam nic do zatajenia. Mogę pokazać panu jedzenie dla kotków, łóżeczka, w których śpią — pięć w moim pokoju, a siedem tu, na dole. Dostają wyłącznie najlepszą rybę, gotowaną przeze mnie.

— To nie ma nic wspólnego z kotami — inspektor podniósł głos. — Przyszedłem, żeby pomówić z panią o tym nieszczęśliwym zdarzeniu w sąsiedztwie. Prawdopodobnie słyszała pani o tym?

— W sąsiedztwie? Ma pan na myśli psa pana Joshuy?

— Nie — odparł Hardcastle. — Bynajmniej. Mam na myśli dom numer 19, gdzie wczoraj znaleziono zamordowanego mężczyznę.

— Doprawdy? — powiedziała pani Hemming z uprzejmym zainteresowaniem. Jej oczy wciąż wodziły za ulubieńcami.

— Mogę spytać, czy była pani w domu wczoraj po południu? Powiedzmy, między

pół do drugiej a pół do czwartej?

— O tak. Zwykle robię zakupy wcześniej, żebym mogła przyrządzić kotkom lunch, a potem czeszę je i pielęgnuję.

— Nie zauważyła pani jakiegoś zamieszania obok? Policyjnych wozów, ambulansu, coś w tym rodzaju?

— Nie patrzyłam przez frontowe okna. Wyszłam do ogrodu za domem, ponieważ Arabella gdzieś się zapodziała. Wdrapała się na drzewo, a że jest młodym kotkiem, bałam się, że nie potrafi zejść. Próbowałam zwabić ją spodeczkiem ryby, ale biedactwo było takie przestraszone... Zrezygnowałam w końcu i wróciłam do domu. I czy uwierzy pan, przybiegła do mnie, kiedy wchodziłam. — Patrzyła od jednego do drugiego mężczyzny, jakby chciała sprawdzić wrażenie, jakie wywarła na nich przygoda Arabelli.

— Szczerze mówiąc, wierzę — odezwał się Colin, nie będąc w stanie zachować milczenia.

— Słucham? — pani Hemming wydawała się nieco zaskoczona.

— Bardzo lubię koty i dlatego studiuję ich naturę. To co pani opowiedziała, znakomicie ilustruje wzorzec zachowania kota i reguły, jakie stwarza dla siebie. Z tego samego powodu pani koty gromadzą się wokół mego przyjaciela, który nie interesuje się nimi, a nie zwracają uwagi na mnie, mimo że się do nich przymilam.

Jeżeli pani Hemming przyszło do głowy, że to co powiedział Colin, brzmi niezwykle w ustach sierżanta policji, nie zdradziła tego. Mruknęła jedynie mgliście:

— Zawsze wiedzą, kochane maleństwa, prawda?

Piękny, srebrzysty pers oparł dwie łapy na kolanach inspektora i patrząc na niego w ekstazie wbijał pazurki na przemian w jedną i drugą nogę, jakby Hardcastle był poduszką do szpilek. Sprowokowany ponad granice wytrzymałości, inspektor podniósł się.

— Czy mógłbym rzucić okiem na pani ogród za domem?

Colin wyszczerzył zęby.

— Oczywiście. Co tylko pan sobie życzy — wstała.

Rudy kot na jej karku wyprostował się. Postawiła go z roztargnieniem obok srebrnego persa. Wyszła z pokoju, a obaj mężczyźni za nią.

— Już się spotkaliśmy — powiedział Colin do rudego kota. — Jesteś prześliczny — zwrócił się do innego persa, siedzącego na stole obok chińskiej łapmy i wymachującego ogonem.. Pogłaskał go i podrapał za uszami, a szary kot łaskawie zaczął mruczeć.

— Proszę zamknąć drzwi, panie eee... ee... — poprosiła pani Hemming. — Jest dziś silny wiatr i nie chcę, żeby kotki się przeziębiły. Poza tym kręcą się ci okropni chłopcy — naprawdę nie jest bezpiecznie pozwolić moim najmilszym na wędrowanie po ogrodzie bez opieki.

Otworzyła boczne drzwi prowadzące do ogrodu.

— Co za okropni chłopcy? — spytał Hardcastle.

— Dwa chłopaczyska pani Ramsay. Mieszkają w południowej części zaułka. Nasze ogrody leżą naprzeciw siebie. Skończeni chuligani. Mają, a w każdym razie mieli procę. Zażądałam jej skonfiskowania, ale podejrzewam, że nie dość skutecznie. Urządzają zasadzki i czaty, a w lecie ciskają jabłkami w moje koty.

— Coś straszego — oświadczył Colin.

Ogród z tyłu domu wyglądał tak jak od ulicy, albo jeszcze gorzej. Było tam trochę zaniedbanej trawy, różne zarośnięte, nie przystrzyżone krzewy i znacznie więcej wawrzynów, odmiany nakrapianej. Zdaniem Colina tracili czas. Gąszcz owych wawrzynów, innych drzew i krzaków tworzył solidną zaporę, przez którą nic nie było widać. Diana Lodge mogła być uznana za dom całkowicie odosobniony. Z punktu widzenia jego mieszkańców, mogła nie mieć sąsiadów.

— Powiada pan, numer 19? — zapytała pani Hemming, stając niezdecydowanie na środku ogrodu. — Myślałam, że jedyną osobą mieszkającą tam jest niewidoma?

— Zamordowany nie był lokatorem.

— Och, rozumiem. Przyszedł, żeby zostać zamordowany. Dziwne.

— To diabelnie celna uwaga — powiedział Colin do siebie.

Rozdział dziewiąty

Pojechali przez Wilbraham Crescent, skręcili w prawo, na Albany Road i znowu w prawo, w drugą część zaułka.

— Doprawdy, bardzo proste — powiedział Hardcastle.

— Jak się już wie — odparł Colin.

— Dom numer 61 leży za posesją pani Hemming, ale rogiem dotyka ogrodu numeru 19, więc to da ci szansę rzucenia okiem na twojego pana Blanda. Nawiasem mówiąc, nie ma służącej z zagranicy.

— I tak znika piękna teoria. — Samochód zatrzymał się i obaj mężczyźni wysiedli.

— No, no — rzekł Colin. — Co za ogródek przed domem!

Był to rzeczywiście przykład pewnego rodzaju podmiejskiej doskonałości. Widać było klomby geranium, obrzeżone lobelią, wielkie, mięsiste begonie i niezłą kolekcję ogrodowych ozdób-koszmarków: żabek, muchomorów, krasnali i chochlików.

— Jestem pewien, że pan Bland musi być niezmiernie szacownym człowiekiem — zauważył Colin, wstrząsnąwszy się. — W przeciwnym razie nie miałby tych straszliwych pomysłów. — Kiedy Hardcastle naciskał dzwonek, dodał: — Spodziewasz się zastać go o tej porze?

— Telefonowałem — wyjaśnił inspektor — i prosiłem, by był tak uprzejmy...

W tej właśnie chwili elegancka, mała furgonetka skręciła na wjazd do garażu, będącego wyraźnie najświeższym dodatkiem do domu. Wysiadł z niej pan Josiah Bland, zatrzasnął drzwi i skierował się ku gościom. Był to łysy mężczyzna średniej tuszy, z małymi, niebieskimi oczami. Powitał ich serdecznie.

— Inspektor Hardcastle? Proszę tędy — poprowadził do salonu.

Pokój był świadectwem prosperity pewnego stopnia. Stały tam ozdobne, lampy, empirowe biurko, kominkowe przybory z brązu, lśniący złoceniami, zdobiony intarsją sekretarzyk, a przy oknie żardiniera pełna kwiatów. Krzesła były współczesne, miętko wyściełane.

— Proszę siadać — powiedział gościnnie pan Bland. — Papierosa? A może na służbie wam nie wolno?

— Dziękuję, nie — odparł Hardcastle.

— Przypuszczam, że drinka też nie? Ach, powinienem powiedzieć, że dla nas tak jest lepiej. A teraz, o co chodzi? Pewnie ta sprawa z numeru 19? Nasze ogrody stykają się rogami, ale widzimy tamten tylko z okien górnego piętra. To zupełnie niesłychana historia, tak przynajmniej wynika z porannych gazet. Byłem zachwycony, kiedy otrzymałem wiadomość od pana. Szansa na informacje z pierwszej ręki. Nie ma pan pojęcia, jakie plotki krążą! To wyprowadza z równowagi moją żonę; ma uczucie, że gdzieś tu hula sobie morderca. Kłopot polega na tym, że teraz wypuszczają tych wszystkich zbikowanych facetów z zakładów. Posyłają ich do domu warunkowo, czy jak tam się to nazywa. Potem oni załatwiają jeszcze kogoś i znowu wsadza się ich do pudła. I, jak mówiłem, te pogłoski! Byłby pan zdziwiony słysząc, co mówią nasza sprzątaczką i mleczarz, i chłopiec na posyłki. Powiadają, że został uduszony drutem albo zasztyletowany. Ktoś inny twierdził, że rozbito mu głowę. W każdym razie to był mężczyzna? To znaczy, że to nie tę staruszkę załatwili? W gazetach piszą, że nieznany mężczyzna.

Pan Bland wreszcie wyhamował.

Hardcastle uśmiechnął się i zaprzeczył.

— Nie tak nieznany, skoro miał w kieszeni wizytówkę z adresem.

— Za wiele gadają — rzekł Bland. — Ale wie pan, jacy są ludzie. Nie mam pojęcia, kto to wszystko wymyśla.

— Skoro już jesteśmy przy temacie, może zechciałby pan rzucić okiem na to.

Inspektor raz jeszcze wyjął policyjne zdjęcie.

— Więc to on, prawda? — spytał Bland. — Wygląda na zwyczajnego człowieka. Takiego jak pan czy ja. Pewnie nie można zapytać, czy był jakiś szczególny powód, dla którego został zamordowany?

— Za wcześnie, by o tym mówić. Chciałbym się dowiedzieć, czy kiedykolwiek widział pan tego człowieka?

Bland potrząsnął głową.

— Jestem pewien, że nie. Dość dobrze zapamiętuję twarze.

— Nie odwiedził pana w jakimś celu, na przykład proponując ubezpieczenie, albo kupno odkurzacza lub maszyny do zmywania naczyń?

— Nie. Na pewno nie.

— Może powinniśmy spytać pańską żonę? Jeżeli przyszedł do domu, właśnie ona by go zobaczyła.

— Tak, to prawda. Nie wiem jednak... Valerie nie jest zdrowa. Nie chciałbym jej przestraszyć. Chodzi o to, że zdjęcie przedstawia go zapewne martwego?

— Tak, to prawda. Ale fotografia nie jest drastyczna.

— Nie, nie. Bardzo dobrze zrobiona. Wydaje się, jakby facet spał.

— Mówiłeś o mnie, Josaiah?

Drzwi od sąsiedniego pokoju otworzyły się i weszła kobieta w średnim wieku. Hardcastle był przekonany, że pilnie słuchała, stojąc po drugiej stronie.

— Ach, jesteś, moja droga — rzekł Bland. — Myślałem, że wypoczywasz. To jest moja żona — inspektor Hardcastle.

— To okropne morderstwo — mruknęła pani Bland. — Dreszcz mnie przechodzi na samą myśl.

Usiadła na sofie z westchnieniem.

— Połóż także nogi, kochanie — powiedział Bland.

Pani Bland posłuchała męża. Była jasnowłosą kobietą, o słabym, jęklwym głosie. Wydawała się anemiczna i otaczała ją aura inwalidki, przyjmującej swoje niedomaganie z pewną satysfakcją. Przez chwilę kogoś inspektorowi przypominała. Próbował sobie uświadomić kogo, ale nie udało mu się. Słaby, płaczliwy głos kontynuował:

— Nie jestem zbyt zdrowa, inspektorze, więc mój mąż, naturalnie, stara się oszczędzić mi wstrząsów i niepokojów. Jestem bardzo wrażliwa. Mówiliście o fotografii. Sądzę, że chodzi o... o zamordowanego mężczyznę. O Boże, jak strasznie to brzmi. Nie wiem, jak będę w stanie znieść taki widok!

„Umierasz z chęci zobaczenia zdjęcia”, pomyślał Hardcastle, a głośno powiedział z lekką złośliwością:

— Może zatem nie będę pani trudził. Sądziłem tylko, że będzie pani umiała nam pomóc, jeśli ten człowiek kiedykolwiek odwiedził dom państwa.

— Muszę spełnić swój obowiązek — rzekła pani Bland ze słodkim, męznym uśmiechem. Wyciągnęła rękę.

— Uważasz, że powinnaś tak się denerwować, Val?

— Nie bądź niemądry, Josaiah. Jasne, że muszę popatrzeć.

Spojrzała na zdjęcie z dużym zainteresowaniem i, jak pomyślał inspektor, z pewną dozą rozczarowania.

— Wygląda... naprawdę wcale nie wydaje się martwy. Zupełnie nie widać, że jest zamordowany. Czy... chyba nie mógł być zaduszony?

— Został zasztyletowany.

Pani Bland przymknęła oczy i wstrząsnęła się.

— O Boże — szepnęła. — Jakie to okropne.

— Nie sądzi pani, że go kiedyś spotkała?

— Nie — stwierdziła pani Bland z wyraźnym wstrętem. — Obawiam się, że nie. Czy to był ktoś, kto chodzi po domach sprzedając różne rzeczy?

— Był chyba agentem ubezpieczeniowym.

— Jestem pewna, że nie było tu nikogo takiego. Nie wspominałam nigdy o czymś po-

dobnym, prawda, Josaiah?

— Nie — oświadczył pan Bland.

— Czy to jakiś znajomy panny Pebmarsh?

— Nie. Nie zna go zupełnie.

— To dziwne — zauważył pan Bland.

— Znają państwo pannę Pebmarsh?

— O tak, to znaczy, znamy ją jako sąsiadkę. Parę razy radziła się mego męża w sprawie ogrodu.

— Zgaduję, że jest pan zapalonym ogrodnikiem?

— Nic szczególnego — odzębnywał się Bland. — Brak czasu, rozumie pan. Oczywiście znam się na tym. Dostałem jednak znakomitego fachowca, przychodzi dwa razy w tygodniu. Pilnuje, by ogród był dobrze utrzymany i czysty. Powiedziałbym, że nasz ogród jest nie do pobicia, ale nie jestem jedynym prawdziwym ogrodnikiem w sąsiedztwie.

— Ma pan na myśli panią Ramsay? — spytał inspektor z pewnym zaskoczeniem.

— Nie, nie. Jeden dom dalej. 63. Pan McNaughton. Po prostu żyje dla swego ogrodu. Siedzi w nim cały dzień i ma bzika na temat kompostu. Naprawdę, zanudza człowieka na ten temat... Ale nie sądzę, żeby właśnie o tym chciał pan rozmawiać.

— Ściśle mówiąc, nie — odparł inspektor. — Jestem ciekaw, czy pan lub pańska żona wychodzili wczoraj do ogrodu. Mimo wszystko styka się on jedną stroną z posesją numer 19 i jest szansa, że ktoś z państwa mógł zobaczyć albo usłyszeć coś interesującego.

— To było południe? To znaczy, pora kiedy popełniono morderstwo?

— Przypuszczalnie między pierwszą a trzecią.

Bland potrząsnął głową. — Zatem nie mogłem nic widzieć. Byłem tutaj. Valerie także, ale jedliśmy lunch, a nasza jadalnia wychodzi na ulicę. Nie mogliśmy zobaczyć niczego w ogrodzie.

— O której państwo jadają?

— O pierwszej. Czasem o pół do drugiej.

— A potem nie wychodzili państwo do ogrodu?

Bland potrząsnął głową.

— Prawdę mówiąc, żona idzie zawsze na górę wypocząć po lunchu, a ja, jeśli nie jestem zbyt zajęty, zapadam w małą drzemkę w tym fotelu. Musiałem wyjść z domu o — zaraz — o czternastej czterdzieści pięć, ale niestety nie wychodziłem do ogrodu.

— No cóż — westchnął Hardcastle. — Musimy pytać każdego.

— Rzecz jasna. Chciałbym być bardziej przydatny.

— Przyjemny ma pan dom — zauważył inspektor. — Można powiedzieć, że nie żałował pan nań pieniędzy.

Bland zaśmiał się jowialnie.

— Lubimy ładne rzeczy. Żona ma dobry smak. Mieliśmy w zeszłym roku nieoczekiwaną gratkę. Valerie dostała trochę pieniędzy po wuju. Nie widziała go od dwudziestu pięciu lat. To była niespodzianka! Mogę panu powiedzieć, że wiele to u nas zmieniło. Mogliśmy się urządzić i zamierzamy wybrać się na wycieczkę w ciągu roku. O ile wiem są bardzo pouczające. Grecja i tak dalej. Mnóstwo profesorów prowadzi na nich wykłady. Ja jestem człowiekiem, który sam przebijał się przez życie i nie miałem wiele czasu na takie rzeczy, ale to mnie interesuje. Ten facet, który pojechał i odkopał Troję, był, zdaje się, kupcem kolonialnym. Bardzo romantyczne. Muszę powiedzieć, że lubię jeździć za granicę — nie, żebym miał wiele okazji — czasem weekend w wesołym Paryżu, to wszystko. Przemyślałem, żeby pozbyć się tu wszystkiego i zamieszkać w Hiszpanii lub Portugalii, albo nawet w Indiach Zachodnich. Wielu ludzi tak robi. Ale mojej żonie nie podoba się ten pomysł.

— Lubię podróżować, ale nie mam ochoty mieszkać poza Anglią — powiedziała pani Bland. — Wszyscy nasi przyjaciele są tutaj i moja siostra, i wszyscy nas znają. Gdybyśmy wyjechali za granicę, byłibyśmy tam obcy. Oprócz tego mamy tu bardzo dobrego lekarza. Naprawdę rozumie moje dolegliwości. Wcale nie życzyłabym sobie jakiegoś zagranicznego. Nie miałabym do niego zaufania.

— Zobaczymy — powiedział wesoło Bland. — Pojedziemy na wycieczkę i możesz się zakochać w greckich wyspach.

Pani Bland miała minę pełną wątpliwości.

— Mam nadzieję, że na pokładzie będzie odpowiedni, angielski lekarz.

— Jasne, że będzie — uspokoił ją mąż.

Towarzyszył obu mężczyznom do drzwi frontowych, wciąż powtarzając, jak mu jest przykro, że nie potrafi pomóc.

— No — zapytał Hardcastle. — I co o nim myślisz?

— Nie chciałbym, żeby budował mi dom — rzekł Colin. — Ale mały kanciarz budowlany nie jest tym, kogo szukam. Rozglądam się za człowiekiem, który jest oddany sprawie. Co się tyczy twojego morderstwa, trafiłeś na niewłaściwy trop. Gdyby Bland karmił żonę arsenikiem, albo zepchnął ją do Morza Egejskiego, aby odziedziczyć jej forszę i ożenić się z szalową blondynką...

— Pomyślmy o tym, kiedy to się wydarzy — rzekł Hardcastle. — Tymczasem musimy radzić sobie z tym morderstwem.

Rozdział dziesiąty

W domu numer 62 przy Wilbraham Crescent pani Ramsay dodawała sobie otuchy:
— Jeszcze tylko dwa dni. Tylko dwa dni.

Odsunęła z czoła kosmyk wilgotnych włosów. Z kuchni dobiegł straszliwy łoskot. Pani Ramsay nie miała nawet ochoty pójść i sprawdzić, co spowodowało taki hałas. Gdyby mogła udawać, że niczego nie słyszała... Och — tylko dwa dni. Przeszła przez hall, otworzyła gwałtownie kuchenne drzwi i spytała tonem znacznie mniej wojowniczym, niż byłoby to przed trzema tygodniami:

— Co znowu zmajstrowaliście?

— Przepraszamy, mamusiu — Bili był skruszony. — Graliśmy w kręgle tymi puszkami i w jakiś sposób one wpadły do kredensu z porcelaną.

— Wcale nie chcieliśmy ich tam poturlać — dodał jego młodszy brat Ted tonem niewiniątka.

— Więc pozbierajcie to, co wypadło i włóżcie na miejsce, pozamiatajcie rozbite naczynia i wrzucie do śmietnika.

— Och, mamusiu, nie teraz.

— Właśnie teraz.

— Ted może to zrobić — zdecydował Bill.

— To mi się podoba! — odparł brat. — Zawsze chcesz zwać na mnie. Nie zrobię tego, jeżeli ty nie będziesz też sprzątał.

— Zakład, że zrobisz.

— Zakład, że nie.

— Ja ci pokażę!

— Juhuuu!

Obaj chłopcy zwarli się w zawziętej walce. Ted został przyparty do kuchennego stołu i miska z jajkami zakołysała się niebezpiecznie.

— Wynoście się z kuchni! — krzyknęła pani Ramsay. Wypchnęła chłopców, za-

mknęła drzwi i zaczęła zbierać puszki i skorupy porcelany.

— Dwa dni — myślała — i wrócą do szkoły! Co za cudowna, niebiańska ulga.

Przypomniała sobie mgliście pewną mądrą uwagę felietonistki. Kobieta ma tylko sześć szczęśliwych dni w roku. Są to pierwsze i ostatnie dni wakacji. Jakże to prawdziwe, zastanawiała się pani Ramsay, zmiatając kolejne porcje swego najlepszego obiadowego serwisu. Z jaką przyjemnością, z jaką radością myślała o powrocie chłopców do domu zaledwie przed pięcioma tygodniami. A teraz? — Jutro — powtórzyła — jutro Bill i Ted wrócą do szkoły. Ledwie mogę uwierzyć. Nie mogę się doczekać!

Jak wspaniale było pięć tygodni temu, kiedy wyszła po nich na stację. Ich czułe i gorące „mamo, jak cudownie...” I pełne zapału powitanie całego domu i ogrodu! Ulubiony placek do herbaty. A teraz czego pragnęła? Jednego dnia kompletnego spokoju. Bez przygotowywania tony jedzenia, bez ustawicznego sprzątanía. Kochała chłopców — bez wątpienia wspaniałe dzieciaki. Była z nich dumna, ale już bardzo zmęczona. Ten apetyt, żywość, hałas, jaki robili.

W tej chwili wrzaski stały się głośniejsze. Zaalarmowana, odwróciła głowę. W porządku. Wybiegli tylko do ogrodu. To lepiej, jest tam znacznie więcej miejsca niż w domu. Zapewne niepokoją sąsiadów. Miała nadzieję, że zostawią w spokoju koty pani Hemming. Nie ze względu na bezpieczeństwo kotów, ale z powodu groźby podarcia spodenek na drutach otaczających ogród sąsiadki. Rzuciła przelotne spojrzenie na leżącą na kredensie kuchennym apteczkę. Nie denerwowała się przesadnie wypadkami wynikającymi z chłopięcej żywości. Jej pierwsza uwaga nieodmiennie brzmiała:

— Sto razy mówiłam wam, żebyście mi nie zakrwawiali salonu! Proszę iść do kuchni i lać krew tam, gdzie można wytrzeć linoleum.

Okropne wycie w ogrodzie urwało się nagle i zapadła cisza tak głęboka, że pani Ramsay zaniepokoiła się. Doprawdy, ta cisza była nienormalna. Stała niepewnie ze śmietniczką potłuczonej porcelany w ręce. Kuchenne drzwi otworzyły się i stanął w nich Bill. Miał przejęty, ekstatyczny wyraz twarzy, niezwykle u jedenastolatka.

— Mamuś — wydyszał. — Przyszedł inspektor policji i jeszcze jeden człowiek z nim.

— Och — rzekła pani Ramsay uspokojona. — Czego on chce, kochanie?

— Pytał o ciebie, ale myślę, że chodzi mu o morderstwo. Wiesz, to wczorajsze, u panny Pebmarsh.

— Nie rozumiem, czemu chce się ze mną widzieć — oświadczyła pani Ramsay głosem nieco zirytowanym.

Życie przynosi jedną niespodziankę po drugiej, pomyślała. Jak mogła przygotować ziemniaki do gulaszu, jeśli inspektorzy policji przychodzili o takiej porze?

— No dobrze — westchnęła. — Już idę.

Wrzuciła rozbitą porcelanę do wiadra pod zlewem, opłukała ręce, przyglądała włosy

i ruszyła za zniecierpliwionym Billem do salonu. Stali tam dwaj mężczyźni. Jej młodszy syn, Ted, asystował im, gapiąc się szeroko otwartymi z podziwu oczami.

— Pani Ramsay?

— Dzień dobry.

— Mam nadzieję, że ci młodzi ludzie powiedzieli pani, kim jestem? Inspektor Hardcastle.

— To bardzo kłopotliwe — rzekła pani Ramsay. — Naprawdę bardzo kłopotliwe o tej porze. Jestem ogromnie zajęta. Czy to zabierze dużo czasu?

— Prawie wcale — odparł inspektor uspokajająco.

— Możemy usiąść?

— Tak, naturalnie.

Pani Ramsay usiadła i popatrzyła na nich bez entuzjazmu. Podejrzewała, że jednak trochę czasu to zajmie.

— Wy dwaj nie musicie zostawać — powiedział inspektor uprzejmie do chłopców.

— Ooo, my nie wyjdziemy — oświadczył Bill.

— Nie wyjdziemy — powtórzył za nim Ted.

— Chcemy usłyszeć wszystko.

— Jasne, że chcemy.

— Czy było dużo krwi? — pytał Bill.

— Czy to włamywacz? — dowiadywał się Ted.

— Uspokójcie się chłopcy — wtrąciła pani Ramsay.

— Nie słyszeliście, że pan — ee — Hardcastle, nie życzy sobie was tutaj?

— Nie idziemy — odparł Bili. — Chcemy słuchać.

Inspektor podszedł do drzwi i otworzył je. Spojrzał na chłopców:

— Jazda.

Było to tylko jedno słowo, wypowiedziane spokojnie, ale takim tonem, że bez dalszych korowodów chłopcy wstali i powoli wyszli z pokoju.

Cudownie — pomyślała pani Ramsay. Dlaczego ja tak nie potrafię? Może dlatego, postanowiła się, że była ich matką? Słyszała, że dzieci poza domem zachowują się zupełnie inaczej. Zawsze matkom dostaje się wszystko co najgorsze. A może, myślała, tak jest lepiej? Byłoby znacznie gorzej mieć w domu spokojne, grzeczne, posłuszne dzieci, które pośród obcych wyrabiają sobie opinię małych chuliganów. Kiedy inspektor znowu usiadł, wróciła do chwili bieżącej:

— Jeżeli chodzi panu o to, co się stało wczoraj pod numerem 19, naprawdę nie wiem, co mogłabym panu powiedzieć. Nie wiem nic. Nawet nie znam ludzi, którzy tam mieszkają.

— W tym domu mieszka panna Pebmarsh. Jest niewidoma i pracuje w Instytucie Aaronberga.

— Ach tak. Obawiam się jednak, że nie znam nikogo z dolnego Crescent.

— Była pani w domu wczoraj między godziną pół do drugiej a trzecią?

— Tak. Gotowałam obiad. Wysłałam przed trzecią. Zabrałam chłopców do kina. Inspektor wyjął z kieszeni fotografię i wręczył kobiecie.

— Czy widziała pani kiedykolwiek tego człowieka?

Pani Ramsay popatrzyła z lekkim zainteresowaniem.

— Nie, nie sądzę. Nie jestem pewna, czy zapamiętałabym go.

— Nie przychodził tu próbując ubezpieczyć panią lub coś w tym rodzaju?

Pani Ramsay zaprzeczyła zdecydowanie.

— Jestem pewna, że nie.

— Mamy podstawę przypuszczać, że nazywał się Curry. Pan R. Curry.

Popatrzył pytająco. Pani Ramsay zaprzeczyła znowu.

— Boję się — powiedziała przepraszająco, — że podczas tych wakacji nie byłam w stanie zauważyć niczego.

— To zawsze bywa gorący czas. Ma pani wspaniałych chłopców. Pełnych życia i energii. Czasem pewnie za bardzo?

Pani Ramsay uśmiechnęła się.

— Tak. Są trochę męczący, ale to naprawdę dobre dzieci.

— Jestem pewien — rzekł inspektor. — Świetne chłopaki. Powiedziałbym, że niezwykle inteligentni. Jeśli pani pozwoli, pogadałbym z nimi, zanim wyjdziemy. Dzieci uważają rzeczy, których nikt w domu nie dostrzega.

— Naprawdę nie wiem, co mieliby zauważyć. Nie jesteśmy nawet sąsiadami z posesją nr 19.

— Ale ogrody stykają się.

— To prawda — zgodziła się pani Ramsay. — Są jednak zupełnie oddzielone.

— Zna pani panią Hemming spod numeru 20?

— Do pewnego stopnia. Ze względu na koty i inne sprawy.

— Lubi pani koty?

— Ależ nie, nie o to chodzi. Mam na myśli ciągłe skargi.

— Rozumiem. Skargi. Na jaki temat?

Pani Ramsay poczerwieniała.

— Kłopot polega na tym, że kiedy ludzie trzymają tyle kotów — ona ma czternaście — dostają zupełnego fioła na tym tle. Wynika z tego kupa głupstw. Lubię koty. Sami mieliśmy burą kotkę. Bardzo dobrze łapała myszy. Ale to całe zamieszanie, jakie robi ta kobieta! Daje im specjalne jedzenie, nie pozwala zwierzętom żyć w sposób naturalny. Oczywiście koty próbują uciec. Gdybym była jednym z nich, zrobiłabym to samo. A chłopcy są naprawdę bardzo dobrzy, nie dręczyliby żadnego zwierzaka. Koty są rozsądnymi stworzeniami, jeśli traktować je odpowiednio.

— Jestem o tym przekonany — rzekł inspektor. — Ma pani masę pracy, żeby nakarmić i dostarczyć rozrywki swoim chłopcom podczas tych wakacji. Kiedy wracają do szkoły?

— Pojutrze.

— Mam nadzieję, że dobrze pani wypocznie.

— Zamierzam naprawdę poleniuchować.

Młody mężczyzna, który siedząc w milczeniu robił notatki, zaskoczył ją trochę niespodziewaną uwagą.

— Powinna pani wziąć jedną z tych dziewcząt z zagranicy — powiedział. — Tych *au pair*, jak je nazywają. Najmują się do posług w zamian za naukę angielskiego.

— Mogłabym spróbować — zastanowiła się pani Ramsay — choć uważam, że z tymi obcokrajowcami mogą być kłopoty. Mąż śmieje się ze mnie. A on, oczywiście, wie na ten temat więcej niż ja. Nie jeździłam za granicę tak często, jak on.

— Właśnie wyjechał? — spytał Hardcastle.

— Tak, do Szwecji, na początku sierpnia. Jest inżynierem konstruktorem. Szkoda, że musiał wyjechać właśnie na początku wakacji. Tak dobrze radzi sobie z dziećmi. Naprawdę bardziej lubi bawić się kolejką elektryczną, niż synowie. Czasem tory, stacje rozrządowe i inne rzeczy przechodzą do hallu i drugiego pokoju. Trudno nie potknąć się o nie. — Potrząsnęła głową. — Mężczyźni, to takie duże dzieci — powiedziała po błażliwie.

— Kiedy spodziewa się pani męża?

— Nigdy nie wiem — westchnęła. — To takie... kłopotliwe — westchnęła głosem lekko drżącym. Colin przyjrzał się jej uważnie.

— Nie będziemy zabierać pani czasu. — Hardcastle wstał. — Może chłopcy pokażą nam ogród?

Bill i Ted czekali w hallu i natychmiast przyjęli propozycję.

— Oczywiście to nie jest bardzo duży ogród — rzekł Bili przepaszająco.

Zrobiono coś niecoś dla utrzymania ogrodu w porządku. Jedną stronę obsadzono daliami i michałkami. Potem był mały trawnik, trochę nierówno przystrzyżony. Ścieżki wymagały gracowania, wokół leżały modele samolotów, pistolety kosmonautów i inne okazy techniki, lekko podniszczone. Na końcu ogrodu rosła jabłoń z apetycznie wyglądającymi, czerwonymi jabłkami. Obok widać było gruszę.

— To właśnie jest to — powiedział Ted, wskazując przestrzeń między jabłonią a gruszą, w której widać było wyraźnie tył domu panny Pebmarsh. — To jest numer 19, gdzie zdarzyło się morderstwo.

— Macie zupełnie dobry widok na ten dom — rzekł inspektor. — Jeszcze lepszy chyba z górnych okien.

— To prawda — odparł Bili. — Gdybyśmy tylko patrzyli wczoraj, mogliśmy coś zo-

baczyć. Ale nie patrzyliśmy.

— Byliśmy w kinie — rzekł Ted.

— Czy były odciski palców? — spytał Bili.

— Nie takie, które by nam pomogły. Wychodziliście wczoraj do ogrodu?

— O tak, od czasu do czasu. Przez cały ranek. Ale niczego nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy.

— Gdybyśmy byli w domu po południu, mogliśmy usłyszeć okropne krzyki — powiedział tęsknie Ted. — Tam były okropne krzyki.

— Znacie pannę Pebmarsh, panią, która jest właścicielką tamtego domu?

Chłopcy popatrzyli na siebie i przytaknęli.

— Ona jest ślepa — rzekł Ted — ale potrafi chodzić po ogrodzie. I nie musi chodzić z laską. Kiedyś odrzuciła nam piłkę. Była całkiem miła.

— Nie widzieliście jej wczoraj?

Potrząsnęli głowami.

— Nie mogliśmy zobaczyć jej rano. Zawsze wychodzi — wyjaśnił Bili. — Do ogrodu idzie zwykle po herbacie.

Colin odkrył wąż do polewania, podłączony do kranu w domu. Przeciągnięty był przez ogród i leżał w rogu, koło gruszy.

— Nie wiedziałem, że drzewa wymagają podlewania — zauważył.

— Ach, to — Bill wydawał się lekko zakłopotany.

— Ale — ciągnął Colin — gdybyście wleźli na to drzewo — popatrzył na chłopców i nagle uśmiechnął się — strumień wody byłby wystarczająco silny, żeby zabawić się z kotem, co?

Chłopcy przesuwali nogami żwir i nie patrzyli na Colina.

— To właśnie robiliście, prawda?

— No — powiedział Bili — kotom nie robi to krzywdy. To nie to samo co proca.

— Kiedyś pewnie używaliście procy.

— Właściwie nie — odparł Ted. — Nigdy nie trafiliśmy.

— W każdym razie macie trochę uciechy z tym węzem, a potem przychodzi pani Hemming i skarży się.

— Ona zawsze narzeka.

— Wchodziliście kiedyś przez jej płot?

— Nie przez ten drut tutaj — rzekł nieopatrznie Ted.

— Ale dostawaliście się czasem do jej ogrodu, co? Jak to robiliście?

— Można wejść przez tę siatkę do panny Pebmarsh. Potem dołem, po prawej stronie można przecisnąć się przez żywopłot do ogrodu pani Hemming. Jest dziura w płocie.

— Nie potrafisz się zamknąć, durniu? — fuknął Bili.

— Przypuszczam, że szukaliście śladów morderstwa — rzekł Hardcastle.

Chłopcy popatrzyli na siebie.

— Założę się, że kiedy wróciliście z kina i usłyszeliście o morderstwie, weszliście przez ogrodzenie do ogrodu nr 19 i rozejrzeliście się trochę.

— Noo... — Bili przerwał przezornie.

— Możliwe, że znaleźliście coś, co my przegapiliśmy. Jeżeli macie... ee... ten zbiór śladów, byłbym zobowiązany, gdybyście go pokazali.

Bili zastanowił się.

— Przynieś, Ted.

Ted posłusznie pobiegł.

— Boję się, że nie mamy nic ważnego. My tylko udawaliśmy.

Patrzył na inspektora niespokojnie.

— Doskonale cię rozumiem. Większa część pracy policji polega na tym. Masa rozczarowań — pocieszył go inspektor.

Przybiegł Ted. Przyniósł węzełek z brudnej chusteczki do nosa, w którym coś brzęczało. Hardcastle rozwinął go i wysypał zawartość.

Znalazł tam uszko od filiżanki, kawałek chińskiej porcelany, złamany zardzewiały widelec, monetę, klamerkę do wieszania bielizny, kawałek opalizującego szkła i połowę nożyczek.

— Interesujące — oświadczył uroczyście.

Litując się nad pełnymi entuzjazmu chłopcami wziął kawałek szkła.

— Zabieram to. Może mieć związek z jakąś sprawą.

Colin oglądał monetę.

— Nie jest angielska — podkreślił Ted.

— Nie. Nie jest angielska — Colin popatrzył na inspektora. — Moglibyśmy wziąć to również — zaproponował.

— Nikomu ani słowa — powiedział Hardcastle konspiracyjnie.

Zachwyceni chłopcy obiecali milczeć jak grób.

Rozdział jedenasty

— Ramsay — mruknął Colin w zamyśleniu.

— Co z Ramsayem?

— Pasuje, to wszystko. Podróżuje za granicę, właśnie w tej chwili. Żona mówi, że jest konstruktorem, ale wydaje się, że to jedyna rzecz, jaką o nim wie.

— Miła kobieta — rzekł Hardcastle.

— Tak, i niezbyt szczęśliwa.

— Po prostu zmęczona. Dzieciaki dają w kość.

— Myślę, że to coś więcej.

— Osoba, której szukasz, z pewnością nie byłaby obarczona żoną i dwoma synami — rzekł sceptycznie Hardcastle.

— Nigdy nie wiadomo — odparł Colin. — Byłbyś zdumiony widząc, co niektórzy robią dla kamuflażu. Wdowa bez forsy z parą dzieciaków mogłaby być chętna do zawarcia umowy.

— Nie sądzę, że jest kobietą tego rodzaju.

— Nie mam na myśli życia na wiarę. Uważam, że zgodziła się być panią Ramsay i stanowić element tła. Naturalnie opowiedział jej odpowiednią historyjkę, na przykład że działa jako szpieg na naszą korzyść. Wszystko bardzo patriotyczne.

Hardcastle potrząsnął głową.

— W dziwnym świecie żyjesz, Colinie.

— To prawda. Wiesz chyba, że pewnego dnia będę musiał skończyć z tym... Zaczyna się zapominać, co jest czym i kto jest kim. Połowa tych ludzi pracuje na dwie strony i w końcu tracą orientację, po czyjej stronie właściwie są. Sztandary się brudzą... Och, dobrze, dajmy temu spokój.

— Załatwmy lepiej McNaughtonów — rzekł Hardcastle, zatrzymując się przy furtce nr 63. — Część ich ogrodu przytyka rogiem do posesji panny Pebmarsh, tak samo jak teren należący do Blanda.

— Co wiesz o McNaughtonach?

— Niewiele. Zamieszkali tu przed rokiem. Starsze małżeństwo — profesor na emeryturze, zdaje się. Zajmuje się ogrodem.

W ogródku frontowym rosły krzaki róż, a pod oknem jesienne krokusy.

Drzwi otworzyła wesoła, młoda kobieta w kolorowym kombinezonie w kwiatki i spytała:

— Pan sobie życzył. Tak?

— Nareszcie zagraniczna pomoc domowa mruknął Hardcastle — i wręczył jej wizytówkę.

— Policja — powiedziała młoda kobieta. Cofnęła się o krok i popatrzyła na inspektora, jakby był szatanem we własnej osobie.

— Czy zastałem panią McNaughton? — zapytał Hardcastle.

— Pani McNaughton jest tutaj.

Zaprowadziła ich do salonu, którego okna wychodziły na tył ogrodu. Pokój był pusty.

— Ona jest na góra — oświadczyła młoda kobieta, już wcale nie wesoła. Wyszła do hallu i zawołała: — Pani McNaughton... Pani McNaughton.

Odległy głos odpowiedział: O co chodzi, Gretel?

— To jest policja — dwie policje. Wsadziłam ich do bawialni.

Dał się słyszeć cichy, pośpieszny szmer i słowa „Ojej, a cóż to znowu”, dotarły na dół. Rozległ się tupot i niebawem pani McNaughton weszła do pokoju z wyrazem zaniepokojenia na twarzy.

— Mój Boże. Inspektor... jak... Hardcastle... Popatrzyła na wizytówkę. Ale dlaczego chce pan z nami rozmawiać? Nie wiemy nic. To znaczy o morderstwie, prawda? Nie chodzi o rejestrację telewizora?

Hardcastle uspokoił ją w tej kwestii.

— To wszystko jest takie niezwykle — powiedziała pani McNaughton uspokojona. — Było mniej więcej południe. Dziwna pora na włamanie. Czas, w którym ludzie zwykle są w domu. Ale obecnie czyta się takie okropne rzeczy. Wszystko się zdarza w jasny dzień. Nasi przyjaciele wyszli na lunch, a pod dom podjechał wóz meblowy, złodzieje włamali się i wynieśli meble do ostatniej sztuki. Cała ulica widziała, ale oczywiście nikt nie pomyślał, że coś jest nie w porządku. Wie pan, wydawało mi się wczoraj, że słyszę kogoś krzyżącego, ale Angus twierdził, że to ci okropni chłopcy pani Ramsay. Uganiają po ogrodzie, wydając dźwięki niczym pojazdy kosmiczne, rakiety albo bomby atomowe. Czasem to jest przerażające.

Hardcastle jeszcze raz pokazał fotografię.

— Widziała pani kiedykolwiek tego człowieka?

Pani McNaughton popatrzyła chciwie.

— Jestem prawie pewna, że go widziałam. Tak. Tak, jestem praktycznie pewna. Zaraz, gdzie to było? Przyszedł i namawiał mnie, żebym kupiła encyklopedię w czternastu tomach? A może zjawił się z nowym modelem odkurzacza? Nie chciałam mieć z nim nic do czynienia, więc wyszedł i zawracał głowę memu mężowi we frontowym ogródku. Angus sadził cebulki i nie chciał, aby mu przeszkadzano, a ten człowiek stał nad nim i opowiadał, co ten odkurzacz potrafi. Rozumie pan, może podnosić i opuszczać zasłony i czyścić schody, poduszki i sprężynowe materace. Wszystko, mówił, absolutnie wszystko. Wreszcie Angus spojrzał na niego i zapytał: — Czy sadzi też cebulki? — i muszę powiedzieć, że się uśmiełam, bo ten człowiek zmieszał się i poszedł sobie.

— I uważa pani, że to naprawdę był ten mężczyzna ze zdjęcia?

— No, jak się nad tym zastanowić, to nie, ponieważ był dużo młodszy. Niemniej sędzę, że widziałam tę twarz już przedtem. Tak. Im dłużej patrzę na tę fotografię, tym bardziej jestem pewna, że przyszedł tu i proponował mi kupno czegoś.

— Może polisy ubezpieczeniowej?

— Nie, nie polisy. Tego rodzaju sprawami zajmuje się mój mąż. Jesteśmy ubezpieczeni na różne sposoby. Nie. Ale jednak... im bardziej przyglądam się zdjęciu...

Hardcastle czuł się tym wszystkim zniechęcony. Na podstawie swego doświadczenia zaliczył panią McNaughton do kobiet, które aż się palą, by powiedzieć, że widziały kogoś związanego z morderstwem. Im dłużej patrzyła na fotografię, tym pewniejsza była, że przypomina sobie kogoś takiego.

Westchnął.

— Chyba prowadził ciężarówkę — pani McNaughton wpadła na nowy pomysł. — Nie potrafię jednak przypomnieć sobie, kiedy go widziałam. Myślę, że to była furgonetka piekarza.

— Widziała go pani wczoraj, czy nie?

Twarcz pani McNaughton wydłużyła się. Odgarnęła swoje nieporządne, siwe włosy z czoła.

— Nie. Wczoraj nie. Przynajmniej... Nie sędzę — rozjaśniła się nagle.

— Może mój mąż przypomni sobie.

— Jest w domu?

— Jest w ogrodzie — pokazała przez okno starszego mężczyznę, pchającego właśnie taczki po ścieżce.

— Może wyszlibyśmy porozmawiać z nim?

— Oczywiście. Proszę tędy.

Poprowadziła ich przez boczne drzwi do ogrodu. Pan McNaughton był niezłe spocony.

— Panowie są z policji, Angus — poinformowała go zadyszana żona. — Przyszli w sprawie tego morderstwa u panny Pebmarsh. Mają fotografię zabitego. Wiesz, jestem

pewna, że gdzieś go widziałam. Czy to nie ten człowiek, który przyszedł w zeszłym tygodniu i pytał o antyki do sprzedania?

— Zobaczymy — powiedział jej mąż. — Proszę tylko przytrzymać mi tę odbitkę. Mam ręce pobrudzone ziemią.

Rzucił krótkie spojrzenie i stwierdził: — Nigdy w życiu nie widziałem faceta.

— Sąsiad mówił mi, że bardzo lubi pan pracę w ogrodzie?

— Kto to powiedział, może pani Ramsay?

— Nie. Pan Bland.

Angus McNaughton sapnął.

— Bland nie wie, co to jest ogrodnictwo. Przesadzanie, to wszystko, co potrafi. Wtykać begonie i geranium, obramować to lobelią. I to nazywa ogrodnictwem. Równie dobrze mógłby mieszkać w publicznym parku. Interesuje się pan krzewami, inspektorze? Oczywiście to nie jest odpowiednia pora roku, ale mam tu dwa okazy, które zdziwiłyby pana. Mówi się, że te krzewy udają się tylko w Devonie i Kornwalii.

— Nie mogę rościć sobie pretensji do nazywania siebie ogrodnikiem — rzekł Hardcastle.

McNaughton spojrział na niego, tak jak artysta patrzy na profana, który utrzymuje, że nie wie nic o sztuce, ale obaj są mistrzami w swojej dziedzinie.

— Obawiam się, że przyszedłem w mniej przyjemnej sprawie.

— Naturalnie. Ta wczorajsza historia. Byłem w ogrodzie, kiedy to się stało.

— Naprawdę?

— Mam na myśli moment, gdy ta dziewczyna krzyczała.

— I co pan zrobił?

— Nic — odparł pan McNaughton trochę zakłopotany. — Nie zrobiłem nic. Szczerze mówiąc myślałem, że to ci cholerni chłopcy Ramsayów. Wciąż wyją, wrzeszczą i hałasują.

— Ale ten krzyk brzmiał z innej strony?

— Gdybyż ci piekielnicy siedzieli w swoim ogrodzie. Ale oni są wszędzie. Przełazą przez siatki i płoty. Ganiają te nieszczęsne koty pani Hemming po całej okolicy. Kłopot w tym, że nikt ich nie trzyma twardą ręką. Ich matka jest słaba jak mucha. Jasne, że jak nie ma w domu mężczyzny, chłopcy się wymykają.

— Jak słyszałem, pan Ramsay przebywa sporo za granicą.

— Jest, zdaje się jakimś konstruktorem — rzekł pan McNaughton niejasno. — Wciąż gdzieś jeździ. Zapory, wie pan. Nie przeklinam*, moja droga — uspokoił żonę. — Mam na myśli budowę tam, wydobywanie ropy czy kładzenie rurociągu. Dokładnie nie wiem. Musiał pojechać do Szwecji przed miesiącem. Matka chłopców ma masę pracy — goto-

*Nieprzetłumaczalna gra słów: ang. the debil and his dam – siły piekielne, przekleństwo; the dam – zapora, tama

wania i roboty domowej — i rzecz jasna, dzieciaki musiały zdziczeć. To nie są źli chłopcy, tylko trzeba im dyscypliny.

— Pan sam nie widział niczego, tylko słyszał krzyki. Nawiasem mówiąc, kiedy to było?

— Nie mam pojęcia — odparł pan McNaughton.

— Przed wyjściem do ogrodu zawsze zdejmuję zegarek. Któregoś dnia zalałem go wodą i miałem kłopot z naprawą. O której to było, moja droga?

— Chyba pół do trzeciej, przynajmniej pół godziny po lunchu.

— Rozumiem. A o której jedzą państwo lunch?

— Jeżeli mamy szczęście, to o pół do drugiej — powiedział pan McNaughton.

— Nasza Dunka nie ma wyczucia czasu.

— A potem odbywają państwo drzemkę?

— Czasami. Dziś się nie kładłem. Chciałem zrobić to, co zaplanowałem. Wyplewiłem sporo, dodałem kompostu i tak dalej.

— Wspaniała rzecz, kompost — oświadczył z powagą Hardcastle.

Pan McNaughton natychmiast rozpromienił się.

— Oczywiście. Nic go nie zastąpi. Ach! Ilu ludzi nawróciłem. Używanie tych wszystkich chemicznych nawozów! Samobójstwo! Pokażę panu.

Ujął żwawo inspektora pod ramię i poprowadził ścieżką do siatki oddzielającej jego ogród od posesji nr 19. Osłonięta krzakami bzu góra kompostu ukazała się w całej glorii. Pan McNaughton zawiózł taczki do małej szopy obok. Wewnątrz leżało trochę porządnie ułożonych narzędzi.

— Bardzo schludnie utrzymuje pan tu wszystko — zauważył Hardcastle.

— Trzeba dbać o narzędzia.

Inspektor patrzył w zamyśleniu na dom numer 19. Z drugiej strony ogrodzenia znajdowała się różana pergola prowadząca do bocznej ściany domu.

— Kiedy był pan przy kompoście, nie widział pan nikogo w ogrodzie albo w oknie domu?

McNaughton potrząsnął głową.

— Nie patrzyłem. Przykro mi, że nie mogę panu pomóc.

— Wiesz, Angus — powiedziała żona — wydaje mi się, że widziałam jakąś postać skradającą się w ogrodzie dziewiętnastki.

— Nie sądzę, kochanie — odparł stanowczo jej mąż. — Ja również nikogo nie widziałem.

— Ta kobieta mogłaby stwierdzić, że widziała wszystko — warknął Hardcastle, wracając do samochodu.

— Nie sądzisz, że rozpoznała fotografię?

Hardcastle potrząsnął głową. — Wątpię. Ona chce myśleć, że go widziała. Zbyt do-

brze znam ten rodzaj świadków. Kiedy ją przycisnąłem, nie potrafiła podać szczegółów.

— Rzeczywiście.

— Mogła siedzieć naprzeciw niego w autobusie, albo coś podobnego. Przyznaję. Ale całe to „przypominam sobie”, to są jej pobożne życzenia. A ty co myślisz?

— To samo.

— Nie uzyskaliśmy wiele — westchnął Hardcastle. — Oczywiście, są drobiazgi wyglądające dziwnie. Na przykład to niemożliwe, by pani Hemming — bez względu na to, jak jest zakochana w swoich kotach — wiedziała tak niewiele o sąsiadce, pannie Pebmarsh. A także by tak zupełnie nie interesowała się morderstwem.

— Ta kobieta jest mało przytomna.

— Roztargniona — powiedział Hardcastle. — Kiedy spotykasz roztargnioną kobietę, to wokół niej może się palić, mogą zdarzać się włamania i morderstwa, a ona nic nie zauważy.

— Jest dobrze odgradzona siatkami, a te wiktoriańskie krzewy nie pozwalają zobaczyć nic z tego, co dzieje się u sąsiadów.

Wrócili na posterunek. Hardcastle uśmiechnął się szeroko do przyjaciela i powiedział:

— No, sierżancie Lamb, jest pan wolny.

— Nie składamy więcej wizyt?

— Teraz nie. Później muszę złożyć jeszcze jedną, ale nie zabieram ciebie.

— Cóż, dziękuję za dzisiejszy poranek. Mógłbyś dać do przepisania na maszynie moje notatki? — podał kilka kartek. — Mówiłeś, że rozprawa jest pojutrze? O której?

— O jedenastej.

— W porządku. Do tego czasu wrócę.

— Wyjeżdżasz?

— Muszę pojechać jutro, żeby złożyć raport.

— Domyślam się komu.

— Nie przyznawaj się do tego.

Hardcastle wyszczerzył zęby.

— Pozdrów serdecznie starego.

— Być może złożę także wizytę specjaliście.

— Specjaliście? Po co? Coś ci dolega?

— Nic, tylko wstręt do głupoty. Nie miałem na myśli specjalisty tego rodzaju. Idę do kogoś z twojej branży.

— Scotland Yard?

— Nie. Prywatny detektyw, przyjaciel mego taty i mój. Ta twoja dziwaczna historia to właśnie coś dla niego. Uwielbia takie sprawy, bawia go. Pomyślałem, że trzeba go ucie-

szyc.

— Jak się nazywa?

— Herkules Poirot.

— Słyszałem o nim. Myślałem, że nie żyje.

— Żyje. Mam wrażenie, że się nudzi. To jest gorsze.

Hardcastle popatrzył na niego ciekawie.

— Dziwny z siebie facet, Colinie. Masz takich niezwykłych przyjaciół.

— Nie wyłączając ciebie — odparł Colin, uśmiechając się.

Rozdział dwunasty

Pożegnawszy Colina inspektor Hardcastle popatrzył na adres zapisany porządnie w notesie i skinął głową. Wsunął notes do kieszeni i zaczął załatwiać rutynowe sprawy, piętrzące się na jego biurku.

Miał przed sobą pracowity dzień. Posłał po kawę i sandwicze, otrzymał od sierżanta Craya raporty, niestety niezbyt pomocne. Na dworcu ani na przystankach autobusowych nikt nie rozpoznał pana Curry. Badania laboratoryjne odzieży zabitego nie wniosły nic do sprawy. Ubranie było uszyte przez dobrego krawca, ale jego nazwisko zostało usunięte. Czy była to troska o zachowanie anonimowości ze strony pana Curry? A może ze strony jego zabójcy? Pomocne w identyfikacji szczególnie dentystyczne krążyły we właściwych działach i miały przynieść jakieś uściślenia, ale to wymagało trochę więcej czasu. Chyba, że pan Curry był obcokrajowcem? Hardcastle rozważył tę myśl. Możliwe, że ofiara była Francuzem, choć ubranie zdecydowanie nie było francuskie. Brak znaków z pralni również nie pomagał.

Hardcastle nie niecierpliwił się. Identyfikacja była często bardzo powolnym procesem. W końcu jednak zawsze ktoś posuwał sprawę do przodu. Pralnia, dentysta, lekarz, gospodyni. Zdjęcie zabitego krążyło po komisariatach, było reprodukowane w gazetach. Prędzej czy później pan Curry zostanie zidentyfikowany.

Tymczasem trzeba było wykonać różne zadania i to nie tylko dotyczące tej sprawy. Hardcastle pracował bez wytchnienia aż do pół do szóstej. Spojrzał na zegarek i zdecydował, że nadszedł czas na wizytę, którą zamierzał złożyć.

Sierżant Cray informował, że Sheila Webb wróciła do swoich obowiązków w Biurze Cavendish, że o piątej zaczęła pracę z profesorem Purdym w hotelu „Curlew” i było mało prawdopodobne, by wyszła wcześniej niż o szóstej.

Jakże się nazywa ta ciotka? Lawton — pani Lawton, Palmerston Road 14. Nie wziął policyjnego wozu. Postanowił zrobić krótki spacer.

Palmerston Road była ponurą uliczką, pamiętającą lepsze dni. Inspektor zauważył,

że domy były przeważnie podzielone na mieszkania i apartamenty. Kiedy skręcił za róg, zbliżająca się z przeciwnej strony dziewczyna zawahała się. Inspektor pomyślał, że chce zapytać go o drogę. Jednak, jeżeli tak było, widocznie rozmyśliła się i przeszła koło niego. Zdziwił się, dlaczego nagle przyszły mu do głowy buciki. Buty... Nie, jeden bucik. Twarz dziewczyny kogoś mu przypominała, kogoś, kogo niedawno widział... Może rozpoznała go i chciała z nim porozmawiać?

Zatrzymał się na moment patrząc za nią. Szła teraz dość szybko. Kłopot polegał na tym, że miała zwyczajną twarz, jedną z tych, które trudno zapamiętać, chyba że ma się szczególny powód. Niebieskie oczy, jasna cera, lekko otwarte usta. Usta. To przypomniło mu jeszcze coś. Co ona robiła z ustami? Mówiła? Malowała je szminką? Nie. Poczul się zirytowany. Był dumny ze swojej pamięci do twarzy. Nigdy nie zapominał rysów osób widzianych na ławie oskarżonych czy na miejscu dla świadków, ale były też inne kontakty. Nie zapamiętywał, na przykład, każdej kelnerki, która go obsługiwała. Nie pamiętał wszystkich konduktorek autobusowych. Ach, nieważne. Przestał o tym myśleć.

Dotarł do numeru 14. Brama była otwarta, obok zauważył cztery dzwonki z wypisanymi obok nazwiskami. Pani Lawton zajmowała mieszkanie na parterze. Wszedł i nacisnął dzwonek do drzwi po lewej stronie hallu. Minęła chwila, zanim ktoś zareagował. Usłyszał kroki i drzwi otworzyła wysoka, szczupła kobieta, z rzadkimi, ciemnymi włosami, ubrana w kwiecisty kombinezon i lekko zadyszana. Z kierunku, w którym niewątpliwie znajdowała się kuchnia, dochodził zapach cebuli.

— Pani Lawton?

— Tak — przyjrzała mu się nieufnie.

Miała około czterdziestu pięciu lat. W jej wyglądzie było coś cygańskiego.

— O co chodzi?

— Byłbym wdzięczny, gdyby mogła pani poświęcić mi trochę czasu.

— W jakiej sprawie? Jestem w tej chwili dosyć zajęta.

— Oczywiście — Hardcastle powiedział to współczującym tonem. — Jest pani zapewne niepokojona przez reporterów.

— Istotnie. Dzwonią albo pukają do drzwi i zadają idiotyczne pytania.

— Wiem, że to denerwujące. Chciałbym pani tego oszczędzić. Jestem inspektor Hardcastle i zajmuję się wypadkiem, w sprawie którego niepokoją panią dziennikarze. Gdybyśmy mogli, położylibyśmy kres temu, ale jesteśmy bezsilni. Prasa ma swoje prawa.

— To skandal niepokoić prywatnych ludzi, jak oni to robią, mówiąc, że muszą dostarczyć nowin czytelnikom swoich gazet — stwierdziła pani Lawton. — Jedyna rzecz, jaką kiedykolwiek zauważyłam w tych ich drukowanych nowinach, to że są stekiem kłamstw od początku do końca. Fałszują każde słowo. Ale proszę wejść.

Kobieta cofnęła się, wpuszczając inspektora i zamknęła drzwi. Na wycieracze leżało kilka listów. Pani Lawton nachyliła się, aby je podnieść, ale inspektor grzecznie ją ubiegł. Kiedy wręczał jej listy, jego oczy prześliznęły się po kopertach.

— Dziękuję.

Położyła je na stole w hallu.

— Proszę wejść do pokoju, tam, te drzwi i wybaczyć na moment. Wydaje mi się, że coś kipi.

Popędziła do kuchni. Inspektor rzucił uważne spojrzenie na listy leżące na stole. Jeden był adresowany do pani Lawton, dwa inne do panny R.S. Webb. Poszedł do wskazanego pokoju. Była to mała bawialnia, niezbyt schludna, mizernie umeblowana, ale tu i ówdzie pojawiały się interesujące plamy koloru lub jakiś niezwykły przedmiot. Ładne, przypuszczalnie kosztowne, lane szkło weneckie o abstrakcyjnym kształcie, dwie aksamitne poduszki w żywych kolorach i gliniany talerz pełen egzotycznych muszli. Pomyślał, że ciotka lub siostrzenica miały autentyczną żyłkę do aranżacji wnętrz.

Wróciła pani Lawton, zadyszana bardziej niż poprzednio.

— No, myślę, że teraz będzie wszystko w porządku.

Inspektor przeprosił jeszcze raz.

— Przykro mi, że przyszedłem o tak nieodpowiedniej porze, ale właśnie byłem w sąsiedztwie i chciałem sprawdzić kilka szczegółów tej sprawy, w którą pani siostrzenica została tak niefortunnie wpłątana. Mam nadzieję, że nic gorszego się jej nie przytrafiło? Byłby to wielki szok dla każdej dziewczyny.

— Tak, rzeczywiście. Sheila wróciła w okropnym stanie. Ale do rana uspokoiła się i poszła znowu do pracy.

— Wiem o tym — rzekł inspektor. — Powiedziano mi jednak, że poszła pracować u klienta, więc nie chciałem przeszkadzać. Pomyślałem zatem, że będzie lepiej, jak przyjdę i porozmawiam z nią w domu. Ale jeszcze nie wróciła?

— Prawdopodobnie wróci późno. Pracuje dla profesora Purdy'ego, a z tego, co mówi o nim, wynika, że ten człowiek nie ma poczucia czasu. Zawsze powiada „to nie zabierze więcej niż jeszcze dziesięć minut i skończymy”, a potem to trwa trzy kwadransy. To bardzo miły człowiek i bardzo przeprasza. Raz czy dwa zmusił ją, by została i zjadła obiad i był zaniepokojony, że zatrzymał ją znacznie dłużej niż powinien. Czy jest coś, co mogłabym panu powiedzieć? Na wypadek, gdyby Sheila bardzo się spóźniła.

— Właściwie nie — odparł inspektor śmiejąc się. — Choć tamtego dnia zebraliśmy tylko nagie fakty i nawet nie jestem pewien, czy ściśle. — Zrobił pokaz sprawdzania swego notatnika. — Zaraz. Panna Sheila Webb — czy to pełne nazwisko, czy ma jeszcze inne imię? Musimy mieć te rzeczy zapisane bardzo dokładnie, ze względu na zeznania na rozprawie.

— Rozprawa jest pojutrze? Sheila dostała wezwanie.

— Tak, ale nie powinna się denerwować. Będzie musiała tylko opowiedzieć historię, jak znalazła ciało.

— Wciąż nie wiecie, kim był ten człowiek?

— Nie. Obawiam się, że na to jeszcze za wcześnie. Miał w kieszeni wizytówkę i sądzi-
liśmy początkowo, że jest agentem ubezpieczeniowym. Teraz wydaje się, że tę kartę ktoś
mu po prostu dał. Prawdopodobnie sam zamierzał się ubezpieczyć.

— Rozumiem — pani Lawton nie wydawała się zainteresowana.

— A teraz, jeśli chodzi o te imiona. Zapisałam ją jako pannę Sheilę Webb, albo pannę
Sheilę R. Webb. Nie pamiętam, jakie to było imię? Rozalia?

— Rosemary — odparła pani Lawton. — Została ochrzczona, jako Rosemary Sheila,
ale uważała, że Rosemary brzmi dziwacznie, więc zawsze nazywano ją Sheila.

— Rozumiem. — W głosie inspektora nic nie zdradzało zadowolenia z faktu, że jego
podejrzenie się potwierdziło. Zwrócił uwagę na coś jeszcze. Imię Rosemary nie wywo-
ływało niepokoju u pani Lawton. Było to po prostu imię chrzestne, którego jej siostrze-
nica nie używała.

— Zaraz to poprawię — uśmiechnął się inspektor. — Mam tu zapisane, że pani sio-
strzenica pracuje w Biurze Cavendish od około dziesięciu miesięcy. Nie zna pani do-
kładnej daty?

— W tej chwili nie potrafiłabym powiedzieć. To było gdzieś w listopadzie. Raczej
pod koniec miesiąca.

— No właśnie. To nie jest ważne. Zanim zaczęła pracę w Biurze Cavendish, nie
mieszkała z panią?

— Nie. Przedtem mieszkała w Londynie.

— Ma pani jej londyński adres?

— Gdzieś mam — pani Lawton rozejrzała się niezdecydowanym wzrokiem bałaga-
niary. — Mam taką krótką pamięć. Coś w rodzaju Allington Grove, chyba, za drogą na
Fulham. Mieszkała z dwiema dziewczynami. Pokoje w Londynie są strasznie drogie.

— Pamięta pani nazwę firmy, w której wtedy pracowała?

— O tak. Hopgood i Trent. Agenci budowlani na Fulham Road.

— Dziękuję. Wszystko wydaje się jasne. O ile zrozumiałem, panna Webb jest sie-
rotą?

— Tak — odparła pani Lawton. Poruszyła się niespokojnie. Jej oczy pomknęły
w stronę drzwi. — Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym poszła znowu do kuchni?

— Ależ nie.

Otworzył jej drzwi. Kobieta wyszła. Inspektor był ciekaw, czy ostatnie pytanie zanie-
pokoiło panią Lawton. Dotąd odpowiadała chętnie i spokojnie. Rozważał to, kiedy pani
Lawton wróciła.

— Przykro mi — przeprosiła. — Ale wie pan, jak to jest z gotowaniem. Teraz wszystko

jest w porządku. Chciał pan zapytać jeszcze o coś? Przypomniałam sobie adres. To nie Allington Grove. To była Carrington Grove, a numer był 17.

— Dziękuję. Pytałem panią chyba, czy panna Webb jest sierotą.

— Tak. Jej rodzice nie żyją.

— Od dawna?

— Zmarli, gdy była dzieckiem.

W jej głosie wyczuwało się coś w rodzaju wyzwania.

— Jest dzieckiem pani siostry czy brata?

— Siostry.

— Ach tak. A jaki był zawód pana Webba?

Pani Lawton wahała się chwilę przed odpowiedzią. Zagryzła wargi. Wreszcie powiedziała: — Nie wiem.

— Nie wie pani?

— Chcę powiedzieć, że nie pamiętam. To było tak dawno.

Hardcastle czekał, widząc, że kobieta chce mówić dalej. Odezwała się.

— Mogę zapytać co to ma wspólnego z... mam na myśli, czy to ma znaczenie, kim byli jej rodzice, co robił jej ojciec i skąd pochodził?

— To zapewne nie stanowi problemu, zwłaszcza z pani punktu widzenia. Ale, widzi pani, okoliczności są raczej niezwykle.

— Co pan rozumie przez „niezwykłe okoliczności”?

— Cóż, mamy powody sądzić, że panna Webb poszła wczoraj do tego domu, ponieważ została zamówiona w Biurze Cavendish z nazwiska. Wygląda więc, jakby ktoś rozmyślnie zaplanował jej przyście tam. Może ktoś... — zawahał się — kto żywi do niej urazę.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktoś miał urazę do Sheili. To miła, życzliwa wszystkim dziewczyna.

— Tak — rzekł łagodnie Hardcastle. — Sam bym tak ją określił.

— I nie lubię słuchać nikogo, kto twierdzi inaczej — oświadczyła wojowniczo pani Lawton.

— Właśnie — inspektor nadal uśmiechał się pojednawczo. — Musi pani jednak przyznać, że to wygląda tak, jakby pani siostrzenica została rozmyślnie wybrana na ofiarę. Została, jak to się mówi w filmach, wrobiona. Ktoś zaaranżował jej pójście do domu, gdzie leżał martwy mężczyzna, w dodatku nie żyjący od krótkiego czasu. To wydaje się na pierwszy rzut oka złośliwością.

— Chce pan... chce pan powiedzieć, że ktoś próbuje zasugerować, że to Sheila go zabiła? Och, nie mogę w to uwierzyć.

— Dostyc trudno w to uwierzyć — zgodził się inspektor — ale my musimy być zupełnie pewni i wyjaśnić sprawę. Może jest, na przykład, młody człowiek, który zakochał się

w pani siostrzenicy bez wzajemności? Młodzi ludzie robią czasami bardzo przykre rzeczy i są mściwi, zwłaszcza, jeśli są niezrównoważeni.

— Nie sądzę, żeby to mogło być coś takiego — odparła pani Lawton, marszcząc się z niezadowoleniem. — Sheila przyjaźniła się z paroma chłopcami, ale to nie było nic poważnego. Nie miała nikogo stałego.

— To mogło się dzieć w czasie, kiedy mieszkała w Londynie. Mimo wszystko nie sądzę, że wie pani bardzo dużo o przyjaciółach, jakich tam miała.

— Może i nie... Cóż, będzie pan musiał zapytać ją sam. Nie słyszałam jednak o żadnych kłopotach.

— A może to była inna dziewczyna — podsunął Hardcastle. — Może jedna z dziewcząt, z którymi mieszkała, była zazdrosna?

— Zdaje mi się — rzekła pani Lawton niepewnie — że była dziewczyna, która miała ochotę zrobić jej świństwo. Ale na pewno nie wplątać w morderstwo!

Była to bystra ocena i Hardcastle zauważył, że pani Lawton na pewno nie była idiotką. Wtrącił szybko:

— Wiem, że to wszystko brzmi nieprawdopodobnie, ale taka jest ta cała historia.

— To musiał zrobić jakiś szaleniec.

— Nawet w szaleństwie kryje się jakaś myśl. Coś, co powoduje, że szaleństwo się ujawnia. I właśnie dlatego pytałem panią o rodziców Sheili. Byłaby pani zdziwiona, jak często motywy mają korzenie w przeszłości. Panna Webb nie może opowiedzieć mi o rodzicach, ponieważ zmarli, gdy była małym dzieckiem. Dlatego zwracam się do pani.

— Tak, rozumiem, ale...

Zauważył, że zakłopotanie i niepewność pojawiły się znowu w jej głosie.

— Zginęli razem w wypadku, czy coś w tym rodzaju?

— Nie, to nie był wypadek.

— Oboje zmarli z przyczyn naturalnych?

— Ja... tak sądzę... Naprawdę nie wiem.

— Uważam, że wie pani na ten temat więcej, niż mi pani mówi. — Spróbował zgadnąć. — Byli rozwiedzeni?

— Nie.

— Chwileczkę, pani Lawton. Musi pani wiedzieć, na co zmarła pani siostra.

— Nie wiem, jak... To znaczy nie potrafię... To wszystko jest bardzo trudne. Odgrzebywanie tych spraw. Lepiej ich nie ruszać. — W jej spojrzeniu widniało ogromne zakłopotanie.

Hardcastle popatrzył bystro. Potem zapytał łagodnie:

— Może Sheila jest nieślubnym dzieckiem?

Dostrzegł natychmiast na twarzy kobiety mieszaninę konsternacji i ulgi.

— Ona nie jest moim dzieckiem — odparła.

— Jest nieślubnym dzieckiem pani siostry?

— Tak. Ale nie wie o tym. Nigdy jej nie powiedziałam. Mówiłam tylko, że rodzice zmarli młodo. I właśnie dlatego...

— Pojmuję — rzekł inspektor. — I zapewniam panią, że jeśli nie wyniknie coś niespodziewanego, nie ma konieczności, żebym wypytywał pannę Webb na ten temat.

— To znaczy, że nie trzeba będzie jej mówić o tym?

— Nie, jeżeli nie będzie to w jakimś związku ze sprawą morderstwa, co wydaje mi się nieprawdopodobne. Ja jednak muszę znać wszystkie fakty, ale obiecuję, że zrobię co się da, żeby to, co mi pani powie, zostało między nami.

— Przydarzyła się przykra rzecz i byłam tym bardzo strapiona. Siostra była najzdolniejsza z całej rodziny. Została nauczycielką i praca szła jej bardzo dobrze. Była bardzo szanowana. Ostatnia osoba, którą podejrzewałby pan...

— Cóż — powiedział taktownie inspektor — to się często zdarza. Poznała tego człowieka — tego Webba...

— Nigdy nie dowiedziałam się, jak się nazywał. Nigdy nie zetknęłam się z nim. Siostra przyszła do mnie po prostu i powiedziała, co się stało. Spodziewała się dziecka, a ten mężczyzna nie mógł, czy też nie chciał — nigdy nie dowiedziałam się, jak było naprawdę — ożenić się z nią. Siostra była ambitna, a gdyby cała rzecz wyszła na jaw, straciłaby pracę. Więc, naturalnie, postanowiłam jej pomóc.

— Gdzie jest teraz pani siostra?

— Nie mam pojęcia. Absolutnie nie mam pojęcia — powiedziała z emfazą.

— Żyje jednak?

— Przypuszczam, że tak.

— Ale nie ma pani z nią kontaktu?

— Tego właśnie sobie życzyła. Uważała, że tak będzie lepiej dla dziecka i dla niej. Miałśmy trochę pieniędzy po matce. Ann przekazała mi swoją część, aby użyć ją na wydatki związane z utrzymaniem i wychowaniem dziecka. Ona sama chciała nadal uprawiać swój zawód, ale zmieniła szkołę. Zamierzała chyba wymienić się na rok z nauczycielką z zagranicy, zdaje się z Australii. Teraz wie pan wszystko i nic więcej nie potrafię panu powiedzieć.

Patrzył na nią w zamyśleniu. Czy powiedziała naprawdę wszystko, co wiedziała? Czy tylko to, co zamierzała mu wyznać? Trudno było odpowiedzieć na to pytanie z całą pewnością. Pomijając to, co pani Lawton mówiła o siostrze, Hardcastle odniósł wrażenie, że matka Sheili była osobą silną, zawziętą, porywczą. Kobietą, zdecydowaną nie marnować życia z powodu jednego błędu. Chłodno i bez sentymentów zabezpieczyła utrzymanie i opiekę dla swego dziecka. Od tego momentu zerwała więzy i zaczęła życie od nowa.

Można było sobie wyobrazić, że miała takie uczucia w stosunku do dziecka. Ale co z siostrą? Zapytał delikatnie:

— To dziwne, że nie skontaktowała się z panią przynajmniej listownie, że nie chciała wiedzieć, jak rozwija się jej dziecko?

Pani Lawton potrząsnęła głową.

— Nie pytałby pan znając Ann. Zawsze podejmowała jasne decyzje. A poza tym nie żyłyśmy blisko. Byłam znacznie młodsza od niej — o dwanaście, lat. I, jak powiedziałam, nigdy nie byliśmy sobie bliskie.

— A co powiedział pani mąż na tę adopcję?

— W tym czasie byłam już wdową. Wysłałam za mąż bardzo młodo i mój mąż zginął na wojnie. Miałam wtedy sklepik ze słodyczami.

— Gdzie się to wszystko działo? Nie tutaj, w Crowdean?

— Nie. Mieszkaliśmy w tym czasie w Lincolnshire. Przyjechałam tu kiedyś na urlop i tak mi się spodobało, że sprzedałam sklepik i przenieśliśmy się tu na stałe. Później, gdy Sheila podrosła i poszła do szkoły, zaczęłam pracować w firmie Roscoe i West, wielkim sklepie tekstylnym. Wciąż tam pracuję. Bardzo mili ludzie.

— Cóż — powiedział Hardcastle podnosząc się. — Dziękuję pani za szczerość.

— I nie powie pan o tym Sheili ani słowa?

— Nie, chyba żeby się to okazało niezbędnym, i mogłoby się zdarzyć jedynie, gdyby coś z przeszłości miało związek z morderstwem przy Wilbraham Crescent. A to jest chyba nieprawdopodobne. — Wyjął z kieszeni tylokrotnie pokazywane zdjęcie i zaprezentował je pani Lawton. — Nie przychodzi pani na myśl, kim może być ten człowiek?

— Już mi to pokazywano — rzekła pani Lawton.

Wzięła fotografię i obejrzała dokładnie.

— Nie, jestem pewna, że nigdy nie widziałam tego człowieka. Nie sądzę, żeby był tujejszy, albo żeby widziała go kręcącego się po okolicy. Oczywiście... — przyjrzała się bliżej i nieoczekiwanie dodała: — Wygląda sympatycznie. Powiedziałabym, że to dżentelmen.

Dla inspektora określenie zabrzmiało staroświecko, ale bardzo naturalnie w ustach pani Lawton. — Jestem na prowincji — pomyślał. — Oni wciąż to tak nazywają. Popatrzył jeszcze raz na zdjęcie, zastanawiając się z lekkim zdziwieniem, że on sam nie pomyślał o martwym człowieku w ten sposób. Czy był sympatyczny? Inspektor zakładał coś przeciwnego. Może robił to podświadomie, a może pod wpływem faktu, że facet miał w kieszeni wizytówkę z fałszywym nazwiskiem i adresem. Jednak wyjaśnienie, które podał pani Lawton, było prawdopodobne. Wizytówka mogła należeć do podejrzanego agenta ubezpieczeniowego, który wcisnął ją zmarłemu. A to, pomyślał kwaśno, skomplikowałyby sprawę jeszcze bardziej. Spojrzał znowu na zegarek.

— Nie muszę przeszkadzać pani dłużej w gotowaniu, skoro pani siostrzenica nie

wróciła...

Pani Lawton rzuciła okiem na zegar na kominku. — Dzięki niebiosom, że jest tylko jeden zegar w tym pokoju — pomyślał inspektor.

— Tak, Sheila spóźnia się — zauważyła gospodyni. — Naprawdę dziwne. Dobrze, że Edna nie czekała.

Widząc zaskoczenie na twarzy inspektora, wyjaśniła.

— To jedna z dziewcząt z biura. Przyszła do Sheili dziś wieczór i czekała trochę, ale po chwili stwierdziła, że nie może zostać dłużej. Była z kimś umówiona. Powiedziała, że porozmawia z nią jutro.

Inspektora nagle oświeciło. Dziewczyna, którą minął na ulicy! Teraz wiedział, czemu przywiodła mu na myśl buciki. Jasne. To była osoba, która przyjęła go w Biurze Cavendish, a potem, kiedy wychodził, trzymała bucik ze złamanym obcasem, i roztrząsała, jak dostanie się do domu. Dziewczyna o nieokreślonym wyglądzie, niezbyt ładna, ssła cukierek podczas rozmowy. Zastanawiał się daremnie, co chciała powiedzieć. Czy miała zamiar wyjaśnić, dlaczego odwiedziła Sheilę Webb, a może sądziła, że on oczekuje od niej jakichś słów? Zapytał:

— Czy to bliska przyjaciółka pani siostrzenicy?

— Nie bardzo — odparła pani Lawton. — Pracują w jednym biurze, ale Edna to nudna dziewczyna. Nie jest zbyt bystra i Sheila nie przyjaźni się z nią blisko. Szczerze mówiąc, byłam ciekawa, dlaczego tak się paliła, aby spotkać się z Sheilą dzisiejszego wieczoru. Powiedziała, że czegoś nie może zrozumieć i chciała zapytać o to Sheilę.

— Nie mówiła, o co chodzi?

— Nie, powiedziała, że chciałaby to zachować dla siebie, i że to nic ważnego.

— Rozumiem. No, muszę iść.

— Dziwne, że Sheila nie zadzwoniła. Robi to zwykle, gdy się spóźnia, bo profesor zaprasza ją na obiad. Powinna przyjść lada chwila. Mnóstwo ludzi czeka na autobus, a hotel „Curlew” leży na trasie do Esplanady. Nie chce pan niczego przekazać Sheili? Żadnej wiadomości?

— Chyba nie.

Wychodząc, zapytał: — Przy okazji, kto wybrał imiona siostrzenicy, Rosemary i Sheila? Siostra czy pani?

— Sheila to imię naszej matki. Rosemary wybrała moja siostra. Dziwne imię. Wyszukane. A siostra nie była pretensjonalna ani sentymentalna.

— Cóż, dobranoc, pani Lawton. Skręcając za róg, inspektor myślał. — Rosemary... Rosemary ze względu na wspomnienia. Romantyczne wspomnienia? A może coś zupełnie innego?

Rozdział trzynasty

Relacja Colina Lamba

Wyszedłem z Charing Cross Road i zagłębiłem się w labirynt uliczek między New Orlean Street a Covent Garden. Mieściły się tam najdziwniejsze sklepy, antykwariaty, kliniki lalek, magazyny sprzedające baletki czy zagraniczne delikatesy.

Oparłem się urokom kliniki lalek, eksponującej pary niebieskich i brązowych szklanych oczu i dotarłem wreszcie do celu. Była to mała, obskurna księgarnia, w bocznej uliczce w pobliżu British Museum. Książki były wystawione na ulicy. Stare powieści, używane podręczniki, rupiecie wszelkiego rodzaju oznaczone nalepkami „3 pensy”, „6 pensów”, „1 szyling”; niektóre arystokratki miały prawie wszystkie strony, a nawet nie-
tknięte okładki.

Wśliznąłem się do sklepu bokiem. Było to konieczne, gdyż książki, ułożone byle jak, zajmowały część wejścia z ulicy. Dla każdego, kto znalazł się wewnątrz, stawało się jasne, że to książki posiadają sklep, a nie na odwrót. Kipiały z półek, zajmowały całą powierzchnię lad i stołów, tłoczyły się po kątach i wyraźnie potrzebowały silnej ręki, która by je poskromiła. Odległości między regałami były tak niewielkie, że ledwie można było się przecisnąć. Na stołku w rogu siedział otoczony książkami stary człowiek z wielką, dziwnie płaską twarzą, ocienioną rondem okrągłego, filcowego kapelusza. Sprawiał wrażenie kogoś, kto uległ w nierównej walce. Usiłował zapewne ujarzmić książki, ale to one zwyciężyły. Był w świecie książek kimś w rodzaju króla Kanuta, ustępującego przed piętrzącą się falą. Gdyby rozkazał im się cofnąć, zrobiłby to z przekonaniem i bezna-
dziejną pewnością, że nie usłuchają. Był to pan Solomon, właściciel księgarni. Poznał mnie, jego rybie spojrzenie złagodniało na moment i skinął głową.

— Dostał pan coś dla mnie?

— Musi pan wejść i zobaczyć, panie Lamb. Wciąż wodorosty i podobne rzeczy?

— Tak jest.

— No cóż, wie pan, gdzie to znaleźć. Biologia morska, skamieliny, Antarktyka — dru-

gie piętro. Dostałem przedwczoraj nową paczkę. Zacząłem ją rozpakowywać, ale nie przejrzałem jeszcze dokładnie. Znajdzie ją pan tam w kącie.

Skinąłem głową i przecisnąłem się w głąb, gdzie rozklekotane i bardzo brudne schody prowadziły na zaplecze. Na pierwszym piętrze znajdowały się orientalia, książki o sztuce, medycynie i klasycy francuscy. W tym pokoju był też interesujący, zasłonięty kącik, nie znany szerszej publiczności, ale dostępny dla znawców, gdzie złożono książki określane jako „dziwne” czy „osobliwe”. Minąłem je i poszedłem na drugie piętro.

Tutaj archeologia, przyroda i inne czcigodne nauki zostały podzielone na kategorie, zresztą niezbyt sensownie. Prowadzili tu poszukiwania studenci, starszawi pułkownicy i duchowni. Obszedłem szafę, przekroczyłem różne otwarte paczki z książkami leżące na podłodze i stwierdziłem, że dalszą drogę zagraża mi dwoje studentów różnej płci, którzy zapomnieli o świecie, złączeni uściskiem. Stali, kołyszac się na boki. Powiedziałem „przepraszam” i odsunąłem ich stanowczo na bok, podnosząc maskującą drzwi zasłonę. Wyjąłem z kieszeni klucz, przekręciłem i wszedłem. Znalazłem się nieoczekiwanie w świeżo wymalowanym przedsionku, na którego ścianach wisiały sztychy przedstawiające szkockie konie, a w głębi znajdowały się drzwi ze starannie wyczyszczoną kołatką. Kiedy poruszyłem ją dyskretnie, otworzyła mi starsza siwowłosa kobieta, w staroświeckich okularach, ubrana w czarną spódnicę i dość jaskrawy sweterek w jasnozielone paski.

— Jesteś nareszcie — powiedziała bez żadnego powitania! — Zaledwie wczoraj pytał o ciebie. Nie był zadowolony. — Potrząsnęła nade mną głową, jak stara guwernantka nad dzieckiem, które sprawiło zawód. — Musisz starać się lepiej.

— Och, nie nabieraj mnie, nianiu.

— I nie nazywaj mnie nianią — rzekła dama. — To bezczelność. Już ci to mówiłam.

— To twoja wina. Nie musisz do mnie mówić jak do małego chłopca.

— Czas, żebyś dorósł. Lepiej wejdź i załatw sprawę.

Nacisnęła guzik, podniosła słuchawkę i powiedziała:

— Pan Colin... Tak, posyłam go — odłożyła słuchawkę i skinęła na mnie.

Przez drzwi na końcu pokoju wszedłem do następnego, który był tak pełen dymu z cygar, że trudno było coś zobaczyć. Przetarłszy piekące oczy, ujrzałem obfite kształty mojego szefa, siedzącego w wiekowym zniszczonym fotelu, do którego poręczy przytwierdzony był staroświecki, obrotowy blat, służący do pisania i czytania.

— To wreszcie ty? — zapytał.

— Tak, sir.

— Masz coś?

— Nie, sir.

— Ach! Wystarczy Colin. Wystarczy. Słyszysz? Zaułki, coś podobnego!

— Myślę wciąż... — zacząłem.

— Wspaniale. Wciąż myślisz. Ale my nie możemy czekać w nieskończoność, kiedy ty myślisz.

— Muszę przyznać, że to było tylko przeczucie.

— Nie szkodzi — oświadczył pułkownik Beck.

Był przekornym człowiekiem.

— Najlepsze interesy robiłem na przeczuciach. Tylko że to twoje przeczucie się nie spełnia. Skończyłeś z pubami?

— Tak, sir. Jak powiedziałem, zacząłem sprawdzać zaułki. To znaczy domy w zaułkach.

— Nie sądzę, żebyś miał na myśli piekarnie z francuskimi rogalikami, choć czemu nie? Niektóre z tych piekarni mają fioła na punkcie francuskich *croisantów*, które nie są bynajmniej francuskie. Zamrażają je, jak wszystko dzisiaj. Dlatego żadna rzecz nie ma teraz smaku.

Czekałem, by przekonać się, czy stary rozwinie ten temat. Należał do jego ulubionych. Jednak widząc, że spodziewam się tego, pułkownik powstrzymał się.

— Przetrzęsnałeś wszystko?

— Prawie. Mam jeszcze trochę do sprawdzenia.

— I zapewne potrzebujesz więcej czasu, co?

— Tak, chcę więcej czasu. Nie zamierzam jednak przenosić się w inne miejsce. Trafiłem na pewien zbieg okoliczności, który mógłby — na razie tylko mógłby — coś znaczyć.

— Nie gładź. Podaj mi fakty.

— Przedmiot śledztwa, Wilbraham Crescent.

— I spudłowałeś! A może nie?

— Nie jestem pewien.

— Streszczaj się chłopcze, streszczaj się.

— Zbieg okoliczności polega na tym, że na Wilbraham Crescent zamordowano mężczynę.

— Kto to był?

— Na razie jest nierozpoznany. Miał w kieszeni wizytówkę z nazwiskiem i adresem, ale okazała się fałszywa.

— Hm. Tak. To daje do myślenia. Są jakieś powiązania?

— Nie potrafię dostrzec, sir, niemniej...

— Wiem. Wiem. Mimo wszystko... No, po co przychodzisz? Po zgodę, żeby węszyć wokół Wilbraham Crescent, gdziekolwiek się to idiotycznie nazywające miejsce znajduje?

— W miejscowości zwanej Crowdean. Dziesięć mil od Portlebury.

— Tak, tak. Bardzo dobra lokalizacja. Ale po co tu jesteś? Zwykle nie prosisz o po-

zwolenie. Postępujesz po swojemu, z oślim uporem.

— Obawiam się, sir, że ma pan rację.

— Więc o co chodzi?

— Jest kilka osób, które chciałbym sprawdzić.

Pułkownik Beck z westchnieniem ustawił swój pulpit w odpowiedniej pozycji, wyjął z kieszeni długopis i popatrzył na mnie.

— No?

— Dom nazywający się Diana Lodge, Wilbraham Crescent 20. Mieszka tam kobieta nazwiskiem Hemming i około osiemnastu kotów.

— Diana? — zastanowił się pułkownik. — Bogini księżycy! Diana Lodge. Dobrze. Co robi ta pani Hemming?

— Nic — odparłem. — Zajmuje się kotami.

— Powiedziałbym, że to cholernie dobry parawan. Na pewno. To wszystko?

— Nie. Jest tam pewien mężczyzna, nazwiskiem Ramsay. Mieszka na Wilbraham Crescent 62. Podaje się za konstruktora, może nawet jest nim naprawdę. Jeździ sporo za granicę.

— Brzmi nieźle. Naprawdę nieźle. Chcesz się dowiedzieć wszystkiego o nim, co? W porządku.

— Facet ma żonę, miłą kobietę i dwóch niesfornych chłopców.

— Może mieć. Takie przypadki są znane. Pamiętasz Pedletona? Miał żonę i dzieci. Bardzo miłą żonę. Najgłupszą kobietę, jaką kiedykolwiek spotkałem. Nie postawiła jej w głowic, że jej mąż nie jest ostoją wszelkich cnót w przedsiębiorstwie handlującym orientálną literaturą. Przypominam sobie teraz, że Pendleton miał też niemiecką żonę i kilka córek. Miał również żonę w Szwajcarii. Nie wiem, czym były te żony — prywatnym ekscesem, czy kamuflażem. On twierdził, oczywiście, że kamuflażem. W każdym razie chcesz wiedzieć wszystko o panu Ramsayu. Coś jeszcze?

— Nie bardzo wiem. Jest jeszcze para spod numeru 63. Profesor na emeryturze, nazwiskiem McNaughton. Szkot. Starsi ludzie. On spędza czas w ogrodzie. Nie ma powodu sądzić że on i jego żona nie są w porządku... ale...

— Dobrze. Sprawdzimy. Przepuścimy ich przez maszynę. Kim są ci wszyscy ludzie, nawiasem mówiąc?

— To osoby, których ogrody graniczą lub stykają się z ogrodem domu, w którym popełniono morderstwo.

— Brzmi, jak ćwiczenie z francuskiego — rzekł Beck. — Gdzie są zwłoki mego wuja? W ogrodzie kuzyna mojej ciotki. A co z samym numerem 19?

— Mieszka tam niewidoma kobieta, była nauczycielka. Pracuje w instytucie dla niewidomych i została gruntownie sprawdzona przez miejscową policję.

— Mieszka sama?

— Tak.

— I jaki masz pomysł w związku z tymi ludźmi?

— Przyszło mi do głowy, że gdyby morderstwo zostało popełnione przez jedną z tych osób, byłoby niezwykle łatwe, choć ryzykowne, przenieść zwłoki w odpowiedniej porze pod numer 19. Po prostu możliwość, nic więcej. Jest też coś, co chciałem panu pokazać. To.

Beck wziął pobrudzoną ziemią monetę.

— Czeski halerz? Gdzie go znalazłeś?

— Nie ja go znalazłem. Ale został znaleziony w ogrodzie domu numer 19.

— Interesujące. Mimo wszystko może coś jest w twojej manii na temat zaułków i wschodzących księżyców — dodał w zamyśleniu. — Na sąsiedniej ulicy jest pub, noszący nazwę Księżyc w Nowiu. Dlaczego nie spróbujesz szczęścia tam?

— Już tam byłem.

— Zawsze masz odpowiedź. Zapalisz cygaro?

Potrząsnąłem głową. — Dziękuję, dziś nie mam czasu.

— Wracasz do Crowdean?

— Tak. Uczestniczę w rozprawie.

— Będzie tylko odroczone. Na pewno nie latasz w Crowdean za jakąś dziewczyną?

— Ależ nie — odpowiedziałem ostro.

Pułkownik nieoczekiwanie zachichotał.

— Bądź ostrożny, mój chłopcze! Paskudny seks podnosi głowę. Jak długo ją znasz?

— Nie ma żadnej... To znaczy... Była tam dziewczyna, która znalazła zwłoki.

— I co zrobiła, kiedy znalazła?

— Krzyczała.

— Też dobrze — rzekł pułkownik. — Wpadła na ciebie, rozplakała się na twoim ramieniu i opowiedziała ci, co się stało. Tak było?

— Nie wiem, o czym pan mówi — odparłem chłodno. — Proszę spojrzeć na to. Podałem mu wybór policyjnych zdjęć.

— Kto to jest?

— Zamordowany.

— Stawiam dziesięć do jednego, że zabiła go ta dziewczyna, do której poczułeś miętę. Cała historia brzmi dla mnie niejasno.

— Jeszcze jej pan nawet nie słyszał. Nie opowiedziałem jej panu.

— Nie musisz mi opowiadać — oświadczył pułkownik, wymachując cygarem. — Idź na swoją rozprawę i uważaj na tę dziewczynę. Może nazywa się Diana, albo Artemida, lub coś zbliżonego do księżycy?

— Nie.

— Cóż, życzę ci powodzenia... w obu sprawach...

Rozdział czternasty

Relacja Colina Lamba

Upłynęło sporo czasu od moich odwiedzin w Whitehaven Mansions. Parę lat temu był to samotnie stojący wspaniały budynek z nowoczesnymi mieszkaniami. Teraz z obu stron otaczały go inne, bardziej imponujące, a nawet nowocześniejsze. Wewnątrz, jak zwróciłem uwagę, został ostatnio odnowiony. Pomalowano go na jasne kolory, żółty i zielony.

Wjechałem windą i nacisnąłem dzwonek mieszkania numer 203. Drzwi otworzył George, lokaj doskonały. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Pan Colin! Dużo czasu upłynęło, od kiedy widzieliśmy pana tutaj.

— Tak, wiem. Jak się masz, George?

— Szczęśliwie jestem w dobrym zdrowiu, sir.

— Ściszyłem głos. — A jak on się miewa?

George również ściszył głos, choć nie było to konieczne, gdyż brzmiał on niezwykle dyskretnie od początku naszej rozmowy.

— Wydaje mi się, sir, że czasami bywa trochę przygnębiony.

Pokiwałem współczująco głową.

— Zechce pan pójść tędy, sir — uwolnił mnie od kapelusza.

— Zapowiedz mnie, proszę, jako Colina Lamba.

— Dobrze, sir. — Otworzył drzwi i powiedział czystym głosem: — Pan Colin Lamb chce się z panem widzieć.

Cofnął się, aby mnie przepuścić. Wszedłem do pokoju.

Mój przyjaciel Herkules Poirot siedział przed kominkiem w swoim wielkim, głębokim fotelu. Zauważyłem, że jedna część elektrycznego rusztu żarzyła się. Był początek września, pogoda była ładna, ale Poirot należał do ludzi, którzy pierwsi wyczuwają jesienny chłód i przedsiębiorą środki zaradcze. Po obu stronach fotela, na podłodze, leżały stosy książek. Jeszcze więcej znajdowało się na stole, po lewej ręce detektywa. Po

prawej widać było filizankę, z której unosiła się para. Obawiałem się, że jest to któraś z ziołowych herbat. Bardzo je lubił i często nakłaniał mnie do picia tych naparów mdlących w smaku i drażniących powonienie.

— Nie wstawaj — powiedziałem, ale Poirot był już na nogach. Podszedł do mnie w skrzypiących lakierkach, z wyciągniętymi rękami.

— Ach, więc to ty, mój przyjacielu! Mój młody przyjaciel Colin. Ale dlaczego przedstawiłeś się nazwiskiem Lamb? Muszę pomyśleć. Jest przysłowie, czy też powiedzenie. Coś o baranie przebranym za jagnię*. Nie. To mówi się o starszych damach, które usiłują wyglądać na młodsze niż są. To ciebie nie dotyczy. Mam. Jesteś wilkiem w owczej skórze. Tak?

— Nawet nie to — odparłem. — Pomyślałem, że używanie rodzowego nazwiska nie leży w moim interesie, gdyż mogłoby być zbyt często łączone z osobą ojca. Stąd Lamb. Krótkie, proste, łatwe do zapamiętania. Pochlebiam sobie, że odpowiada mojej osobowości.

— Tego nie mogę być pewny — rzekł Poirot. — A jak się miewa twój ojciec?

— Staruszek ma się świetnie. Jest bardzo zajęty malwami — a może to są chryzantemy? Pory roku zmieniają się za szybko i nigdy nie mogę zapamiętać, co teraz kwitnie.

— Zajmuje się więc ogrodnictwem?

— Zdaje się, że każdy w końcu do tego dochodzi.

— Ja nie — oświadczył Herkules Poirot. — Raz próbowałem; były to dynie, ale nigdy więcej. Jeżeli potrzebuje się pięknych kwiatów, dlaczego nie pójść do kwiaciarni? Myślałem, że zacny nadintendent zamierza pisać pamiętniki?

— Zaczął — odparłem — ale stwierdził, że musiałby tak wiele przemilczeć, iż pozostałość byłaby nieznośnie nudna, więc nie warto pisać.

— Tak, trzeba zachować dyskrecję. To fatalne, ponieważ twój ojciec mógłby opowiedzieć bardzo ciekawe rzeczy. Mam dla niego wiele podziwu. Zawsze miałem. Jego metody ogromnie mnie interesowały. Były takie proste. Działał tak zwyczajnie, jak nikt przed nim. Zastawiał pułapkę bardzo rzucającą się w oczy i ludzie, których zamierzał złapać, mówili: „To zbyt oczywiste. To nie może być prawdziwe” i wpadali.

Roześmiałem się. — Cóż, dzisiaj nie jest w modzie, by synowie podziwiali ojców. Przeważnie siadają z jadem w piórach, wspominają wszystkie paskudne rzeczy, jakie zdołają sobie przypomnieć i zapisują je z wyraźną satysfakcją. Ale ja osobiście mam ogromny szacunek dla mego taty. Żywię nadzieję, że będę tak dobry jak on. Oczywiście działałem w nieco innej branży.

— Ale ściśle związanej — powiedział Poirot — ściśle związanej, choć ty działasz poza sceną, w sposób dla niego obcy. — Zakaszłał delikatnie. — Muszę ci pogratulować spektakularnego sukcesu, jaki ostatnio odniosłeś. Czy nie tak? Sprawa Larkina.

ang. *lamb* – jagnię

— Udało się, ale tylko częściowo. Jest znacznie więcej do zrobienia, żeby sprawę zakończyć jak trzeba. Ale nie o tym przyszedłem porozmawiać.

— Oczywiście — rzekł Poirot. Wskazał mi fotel i zaproponował herbatkę, której wypicia natychmiast odmówiłem.

W odpowiednim momencie wkroczył George z karafką whisky, szklaneczką, syfonem i umieścił to wszystko obok mnie.

— A co ty porabiasz ostatnio?

Patrząc na stosy książek leżące wokoło, dodałem: — Wygląda, jakbyś prowadził jakieś badania.

Poirot westchnął. — Możesz to tak nazwać. Tak, może to najwłaściwsze określenie. Ostatnio bardzo pilnie potrzebowałem problemu. Nie jest ważne, powiedziałem sobie, co to za problem. Może to być, jak u zacnego Sherlocka Holmesa, głębokość, na jaką pietruszka została pogrążona w maśle. Rzecz polega na tym, żeby problem istniał. Nie chcę ćwiczyć mięśni, tylko komórki mózgowe.

— Chodzi o utrzymanie ich w gotowości. Rozumiem.

— Właśnie — westchnął. — Niestety problemy *mon cher*, nie zjawiają się łatwo. To prawda, że w ostatni czwartek ofiarowano mi jeden. Niewytłumaczone znalezienie trzech kawałków suchej skórki pomarańczowej na moim stojaku na parasole. Skąd się tam wzięły? W jaki sposób mogły się tam dostać? Ja sam nie jadam pomarańcz. George nigdy nie położyłby starej skórki na stojaku na parasole. Mało prawdopodobne, by zrobił to ktoś z gości. Tak, to był prawdziwy problem.

— I wyjaśniłeś go?

— Tak.

Powiedział to raczej z melancholią niż z dumą.

— Ostatecznie nic ciekawego. Zdarzyło się zastępstwo stałej sprzątaczkii, a nowa przeprowadziła, wbrew wyraźnemu zakazowi, jedno ze swoich dzieci. Choć to nie brzmi interesująco, wymagało przeniknięcia kłamstw, kamuflażu i całej reszty. Powiedzmy, że nie była to ważna sprawa, choć satysfakcjonująca.

— Rozczarowująca — podsunąłem.

— *Enfin* — rzekł Poirot. — Jestem skromny. Nie trzeba jednak używać rapieru do przecięcia sznurka na paczce.

Potrząsnąłem głową uroczyście. Poirot kontynuował:

— Ostatnio zajmowałem się czytaniem różnych prawdziwych historii, które nie zostały wyjaśnione. Starłem się je wyjaśnić.

— Masz na myśli sprawę Bravo, Adelajdy Bartlett i podobne?

— Właśnie. Ale to jest zbyt łatwe. Według mnie nie ma wątpliwości, kto zamordował Charlesa Bravo. Dama do towarzystwa mogła być w to wplątana, ale na pewno nie była motorem sprawy. Jest jeszcze sprawa nieszczęsnej nastolatki Constance Kent.

Prawdziwy motyw uduszenia przez nią braciszka, którego niewątpliwie kochała, pozostał na zawsze zagadką. Nie dla mnie jednak. Historia stała się jasna, gdy tylko przeczytałem relację. Tak jak w przypadku Lizzie Borden, chciałoby się zadać kilka niezbędnych pytań osobom związanym ze sprawą. Jestem niemal pewny odpowiedzi. Niestety obawiam się, że wszyscy nie żyją.

Pomyślałem, jak już wiele razy poprzednio, że skromność nie stanowiła najmocniejszej strony Herkulesa Poirota.

— A co zrobiłem później? — ciągnął Poirot.

Wiedziałem, że przez pewien czas nie dopuści mnie do głosu i będzie upajał się własną mową.

— Od realnego życia przeszedłem do fikcji. Widzisz na prawo i lewo ode mnie różne egzemplarze kryminalnych książek. Tutaj... — podniósł tom, który leżał na poręczu fotela, kiedy wszedłem. — Tutaj, drogi Colinie, jest *The Leavenworth case*. Wręczył mi książkę.

— Cofasz się daleko — powiedziałem. — Ojciec wspominał, że czytał to jako młody chłopiec. Przeglądałem to kiedyś. Dzisiaj chyba wydaje się staroświeckie.

— Zachwycająca książka — stwierdził Poirot. — Człowiek delectuje się atmosferą epoki, wyszukany i wymyślny melodramat. Te wspaniałe, kwieciste opisy złotowłosej piękności Eleanor, księżycowego uroku Mary!

— Muszę przeczytać to znowu. Opuściłem te fragmenty.

— Występuje tam służąca Hannah, bardzo typowa, i morderca, znakomite studium psychologiczne.

Uprzytomniłem sobie, że dałem się nabrać na wykład. Postanowiłem posłuchać.

— A weźmy *Przygody Arsena Lupina* — ciągnął Poirot. — Jakie fantastyczne, jakie nierealne. A jednak ile w nich witalności, ile wigoru! Są niedorzeczne, ale lekkie. I dowcipne.

Odłożył *Przygody Arsena Lupina* i podniósł następną książkę. — Oto *Tajemnica złotego pokoju*. To naprawdę klasyka! Aprobuję ją od początku do końca. Jakie logiczne rozwiązanie! Krytykowano je, twierdząc że nie jest fair. Ale niesłusznie, drogi Colinie. Niewiele brakuje do przekroczenia reguł gatunku, ale jednak je zachowano. Wszystko jest prawdą ukrytą w zręcznych słowach. Sytuacja musi się wyjaśnić w kulminacyjnym momencie, kiedy mężczyźni spotykają się w miejscu zbiegu trzech korytarzy. — Odłożył książkę z szacunkiem. — Arcydzieło, a jak się domyślam, zostało niemal zapomniane.

Przeskoczył około dwudziestu lat, biorąc prace późniejszych autorów.

— Czytałem parę wczesnych książek pani Ariadny Oliver. Nawiasem mówiąc, jest moją przyjaciółką i twoją zapewne też. Jej utwory niezupełnie mi odpowiadają. Zdarzenia w nich są bardzo mało prawdopodobne. Za wiele w nich zbiegów okolicz-

ności. A przy tym, będąc młodą autorką, dosyć niemądrze uczyniła robiąc swego detektywa Finem, a widać jasno, że nie ma pojęcia o Finach i Finlandii, poza być może, dziełami Sibeliusa. Ma jednak oryginalny sposób myślenia, dedukuje bystrze, a w późniejszych latach nauczyła się sporo rzeczy, których nie знаła debiutując. Na przykład — procedury policyjnej, jest też obecnie bardziej wiarygodna w kwestii broni palnej. I, co jeszcze potrzebniejsze, zaprzyjaźniła się chyba z doradcą prawnym lub adwokatem, który wyjaśnił jej pewne zagadnienia sądownicze.

Odłożył książkę pani Oliver i wziął następną.

— Tu jest Cyril Quain. Ach, on jest mistrzem alibi.

— O ile pamiętam, jest śmiertelnym nudziarzem.

— To prawda — odparł Poirot. — W jego książkach nie zdarza się nic mrożącego krew w żyłach. Oczywiście są zwłoki. Czasem więcej niż jedno. Jednak istotą sprawy jest alibi, rozkład jazdy kolei, trasy autobusów, plany wiejskich dróg biegnących na przełaj. Przyznam się, że bawi mnie to drobiazgowo, staranne opracowywanie alibi. Mam uciechę przyłapać pana Quaina.

— I pewnie zawsze ci się udaje.

Poirot był uczciwy.

— Nie zawsze — przyznał. — Nie zawsze. Oczywiście po pewnym czasie stwierdza się, że każda z jego książek jest podobna do pozostałych. Wszystkie alibi są podobne, choć nie identyczne. Wiesz, Colinie, wyobrażam sobie, jak ten Cyril Quain siedzi w swoim pokoju paląc fajkę, jak to jest przedstawione na zdjęciach, obłożony rozkładami jazdy ABC, Bradshawa, folderami linii lotniczych, wszelkimi innymi informatorami o różnych środkach lokomocji. Nawet transatlantyków. Mów co chcesz, Colinie, ale w tym co robi pan Quain, jest porządek i metoda.

Rzucił Quaina i chwycił następną książkę.

— A teraz Garry Gregson, znakomity autor thrillerów. O ile wiem, napisał ich przynajmniej sześćdziesiąt cztery. Jest niemal dokładnym przeciwieństwem pana Quaina. W książkach Quaina nie dzieje się zbyt wiele, u Garry'ego Gregsona — bardzo dużo. Wypadki są nieprawdopodobne i towarzyszy im ogromny chaos. Akcja jest niezwykle barwna. To melodramaty, poganiane kijem. Strumienie krwi, zwłoki, ślady, dreszcze zgrozy piętrzą się i kipią. Wszystko ponure, niepodobne do prawdziwego życia. To nie jest w moim guście. W istocie to nie jest w niczym guście. Przypomina jeden z amerykańskich koktajli, bardzo niewyraźnych, których składniki są wysoce podejrzane.

Poirot westchnął. — Wróćmy do Ameryki. — Ze stosu po lewej wydobyl książkę Florence Elks. — Mamy tu porządek i metodę, barwne zdarzenia, a w nich wiele sensu. Żywa, wesoła książka. Ta dama posiada rozum, choć, jak wielu amerykańskich pisarzy, jest zbyt opanowana manią drinków. Jestem, jak wiesz, znawcą wina. Claret czy burgund wprowadzony do fabuły, z dokładnym rocznikiem, dodaje autentyczności, co za-

wsze uznają za miłe. Natomiast dokładna ilość żytniówki i burbona, które konsumuje na każdej stronie amerykańskiego thrillera detektyw, nie interesuje mnie zupełnie. Ten motyw w amerykańskich książkach jest tym, czym była głowa króla Karola dla biednego pana Dicka, gdy spróbował pisać wspomnienia. Nie można od tego uciec.

— A co z gatunkiem gangsterskim?

Poirot określił ten rodzaj gestem, jakby opędział się od muchy czy komara.

— Przemoc w imię przemocy? Odkąd to stało się interesujące? Miałem nadmiar gwałtu w młodości, jako oficer policji. Mógłbyś równie dobrze czytać podręcznik medyczny. *Tout de meme*, tak, jednakże daję amerykańskiej powieści kryminalnej bardzo wysokie miejsce. Uważam, że jest bardziej pomysłowa i żywiej działa na wyobraźnię niż angielska. Jest też mniej przesycona atmosferą grozy niż francuska. Weźmy teraz na przykład Louise O'Malley. — Jeszcze raz sięgnął po książkę.

— Co za model racjonalnie prowadzonej akcji, a przy tym jakie napięcie, jaki lęk wywołuje u czytelnika. Te piaskowcowe pałace w Nowym Jorku. Co to właściwie jest piaskowcowy pałac — nigdy się tego nie dowiedziałem. Te ekskluzywne apartamenty, sentymentalne snobizmy, a pod tym wszystkim pokłady zbrodni, żyjące własnym życiem. To mogłoby się zdarzyć i zdarza się. Ta Louisa O'Malley jest bardzo dobra, naprawdę bardzo dobra.

Westchnął, odchylił się, potrząsnął głową i wypił resztę ziółek.

— Oprócz tego są zawsze starzy ulubieńcy.

Znowu sięgnął po książkę.

— *Przypadki Sherlocka Holmesa* — mruknął z uwielbieniem, a potem wygłosił z szacunkiem jedno słowo: *maître!*, tak, mistrz.

— Sherlock Holmes? — spytałem.

— Ach nie, nie Sherlock Holmes! Oddaję cześć autorowi, sir Arturowi Conanowi Doyle. Te opowiadania Sherlocka są w rzeczywistości naciągane, pełne błędów i sztucznie skonstruowane. Ale sztuka pisania — ach, to coś zupełnie innego. Urok języka, stworzenie tej wspaniałej postaci doktora Watsona. To doprawdy triumf.

Westchnął, pokiwał głową i mruknął, najwyraźniej idąc za skojarzeniem.

— *Ce cher Hastings*. Mój drogi przyjaciel Hastings, którego tak często wspominam. Już dawno nie miałem od niego wiadomości. Co za absurd zakopać się w Południowej Ameryce, gdzie wciąż są rewolucje.

— To nie dotyczy wyłącznie Południowej Ameryki — zwróciłem uwagę. — W dzisiejszych czasach rewolucje zdarzają się na całym świecie.

— Nie dyskutujmy o bombach — rzekł Poirot. — Co ma być, to będzie, ale nie mówmy o tym.

— Rzeczywiście, przyszedłem pomówić z tobą o czymś zupełnie innym.

— Ach! Zamierzasz się ożenić, prawda? Jestem zachwycony, *mon cher*, zachwycony.

— Co ci, na miłość boską, przyszło do głowy, Poirot? — spytałem. — Nic podobnego.

— To się zdarza — odparł. — Zdarza się codziennie.

— Być może, ale nie mnie — oświadczyłem stanowczo. — Teraz przyszedłem zawiadomić cię, że trafiłem na śliczny problemik związany z morderstwem.

— Naprawdę? Powiadasz, że śliczny problem związany z morderstwem? I przyszedłeś z tym do mnie. Dlaczego?

— No... — byłem trochę zakłopotany. — Pomyślałem, że to ci sprawi przyjemność.

Poirot popatrzył w zamyśleniu. Pogładził wąsy i powiedział:

— Pan bywa często miły dla psa. Wychodzi z nim i rzuca mu piłkę. Pies także potrafi być miły dla swego pana. Zabija królika albo szczura i kładzie przy nogach pana. I co robi potem? Macha ogonem.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu. — A więc merdam ogonem?

— Sądzę, że tak, mój przyjacielu, sądzą że tak.

— W porządku — powiedziałem. — A co na to mój pan? Chce zobaczyć szczura? Chce usłyszeć wszystko o nim?

— Oczywiście. Jasne. Uważasz, że to jest zbrodnia, która mnie zainteresuje. Tak?

— Chodzi o to, że cała sprawa nie ma sensu.

— To niemożliwe — odparł Poirot. — Wszystko ma sens. Absolutnie wszystko.

— Dobrze, więc spróbuj ten sens znaleźć. Ja nie potrafię. Cała sprawa nie ma nic wspólnego ze mną. Po prostu trafiłem na nią. Zauważ, że może się stać zupełnie prosta, jeśli martwy mężczyzna zostanie zidentyfikowany.

— Mówisz bez porządku i metody — skarcił mnie Poirot. — Proszę cię, abyś przedstawił mi fakty. Powiadasz, że to morderstwo?

— Niewątpliwie — zapewniłem go — Zaczynam.

Opisałem mu szczegółowo zdarzenia, które miały miejsce na Wilbraham Crescent 19. Poirot odchylił się w fotelu. Przymknął oczy i delikatnie pukał palcem wskazującym w poręcz, słuchając mojej opowieści. Kiedy wreszcie skończyłem, milczał chwilę. Potem zapytał, nie otwierając oczu:

— *Sans blague!* Nie kłamiesz?

— Absolutnie.

— *Épatant*, zdumiewające — powiedział. Smakował to słowo na języku i powtórzył, sylaba po sylabie — *É-pa-tant* — łagodnie kiwając głową.

— No — zniecierpliwilem się, odczekawszy parę chwil. — Co powiesz na to?

— A co chcesz, żebym powiedział?

— Chcę, żebyś dał mi wyjaśnienie. Zawsze mi tłumaczyłeś, że można rozsiać się w fotelu, pomyśleć i znaleźć odpowiedź. Że jest zupełnie zbyteczne chodzić i wypytywać ludzi, i biegać szukając śladów.

— Tak zawsze utrzymywałem.

— No więc czekam. Dałem ci fakty, a teraz chcę odpowiedzi.

— Tylko tyle, co? Ale jest jeszcze wiele spraw, które trzeba poznać, *mon ami*. Jesteśmy dopiero na początku.

— Wciąż chcę, żebyś wystąpił z jakąś hipotezą.

— Rozumiem. — Zastanowił się chwilę. — Jedna rzecz jest pewna — oświadczył.

— To musi być bardzo prosta zbrodnia.

— Prosta? — spytałem zaskoczony.

— Naturalnie.

— Dlaczego musi być prosta?

— Ponieważ wydaje się tak skomplikowana. Jeżeli było konieczne, by wyglądała na zawiłą, musi być prosta. Rozumiesz?

— Nie jestem pewien.

— Ciekawe — zastanowił się Poirot. — To co mi opowiedziałeś... tak, coś mi przypomina... Gdzie... Kiedy... zetknąłem się... — przerwał.

— Twoja pamięć musi być ogromnym zbiorem zbrodni. Nie można jednak spamiętać wszystkich?

— Niestety nie — odparł Poirot. — Ale od czasu do czasu te reminiscencje są pożyteczne. Był pewien producent mydła w Liège. Otruł żonę, gdyż zamierzał poślubić blond stenotypistkę. Ta zbrodnia stanowiła wzór. Później, znacznie później wzór powtórzył się. Rozpoznałem go. Tym razem sprawa dotyczyła porwanego pekińczyka, ale schemat był ten sam. Poszukałem odpowiedników blond stenotypistki i producenta mydła i *voilà!* To są właśnie te rzeczy. I znowu to, co mi opowiedziałeś, wywołało wspomnienie.

— Zegary — podsunąłem z nadzieją. — Fałszywy agent ubezpieczeniowy?

— Nie, nie — Poirot potrząsnął głową.

— Niewidoma kobieta?

— Nie, nie, nie. Nie mieszaj mi w głowie.

— Rozczarowałeś mnie, Poirot. Sądziłem, że z miejsca dasz mi odpowiedź.

— Ależ, mój przyjacielu, przedstawiłeś mi tylko schemat. Jest znacznie więcej rzeczy do wykrycia. Przypuszczalnie ten mężczyzna zostanie zidentyfikowany. W takich sprawach policja jest znakomita. Mają dokumenty, mogą opublikować jego zdjęcie, mają dostęp do listy zaginionych, mogą badać laboratoryjnie ubranie zmarłego i tak dalej. Mają do dyspozycji sto innych dróg i sposobów. Niewątpliwie rozpoznają go.

— Więc na razie nie ma nic do zrobienia? Tak właśnie myślisz?

— Zawsze jest coś do zrobienia — rzekł Poirot poważnie.

— Na przykład?

Wycelował we mnie palec:

— Rozmowy z sąsiadami.

— Zrobiłem to. Poszedłem z Dickiem, kiedy ich przesłuchiwał. Nie wiedzą nic, co mogłoby się przydać.

— Ach, tak uważasz. Zapewniam cię, że tak nie jest. Idziesz do nich i pytasz „czy widzieli państwo coś podejrzanego?“, a oni mówią, że nie i ty myślisz, że to już wszystko. Nie to mam na myśli, mówiąc o rozmowach a sąsiadami. Powiadam, żeby rozmawiać z nimi. Pozwól im mówić do ciebie. W tych rozmowach zawsze znajdzie się klucz. Mogą mówić o swoich ogródkach i swoich zwierzakach, o fryzjerze albo krawcowej, o przyjaciółach i o tym, co lubią zjeść. Zawsze gdzieś tam będzie słowo, które rzuci światło. Twierdzisz, że w tych rozmowach nie było nic pożytecznego. Gdybyś umiał powtórzyć je słowo po słowie...

— Cóż, mogę to zrobić. Grając rolę asystenta, stenografowałem wszystko, co mówiono. Zanotowałem to, przepisałem na maszynie i przyniosłem ze sobą. Proszę.

— Ach, jesteś naprawdę dobrym chłopcem! Zrobiłeś co trzeba. *Je vous remercie infiniment*, stokrotne dzięki.

Poczułem się zakłopotany.

— Masz jakieś propozycje? — spytałem.

— Tak, zawsze mam propozycje. Jest jeszcze ta dziewczyna. Potrafisz z nią pogadać. Spotkaj się z nią. Jesteście już przyjaciółmi, prawda? Czyż nie chwyciłeś jej w objęcia, kiedy wypadła w panice z tego domu?

— Lektura Garry'ego Gregsona źle wpływa na ciebie. Wpadłeś w styl melodramatyczny.

— Może masz rację — przyznał Poirot. — Człowiek zaraża się stylem czytanej książki.

— Co do dziewczyny... — zacząłem i przerwałem.

Poirot popatrzył pytająco.

— A więc?

— Nie chciałbym... nie życzę sobie...

— Ach, więc to tak. W głębi serca uważasz, że jest uwikłana w tę sprawę.

— Nie, tak nie sędzę. To czysty przypadek, że się tam znalazła.

— Nie, *mon ami*, to nie był czysty przypadek. Wiesz o tym bardzo dobrze. Powiedziałeś mi to. Została wezwana telefonicznie. Zamówiono ją specjalnie.

— Ale ona nie wie, dlaczego.

— Tego nie możesz być pewny. Bardzo prawdopodobne, że wie dlaczego i ukrywa ten fakt.

— Nie sędzę — upierałem się.

— Możliwe, że rozmawiając z nią dowiesz się tego, nawet jeśli ona nie jest świadoma prawdy.

— Nie bardzo wiem, jak... to znaczy... ledwie ją znam...

Herkules Poirot znowu przymknął oczy.

— W procesie przyciągania między dwojgiem ludzi różnej płci jest moment, w którym ten szczególny stan staje się rzeczywistością. Ona pewnie jest atrakcyjną dziewczyną?

— No... tak — odparłem. — Zupełnie przystojną.

— Pomówisz z nią — rozkazał Poirot — ponieważ jesteście już przyjaciółmi i znajdziesz pretekst, żeby pogadać z tą niewidomą. I pójdziesz do tego biura pod pozorem przepisania na maszynie paru rękopisów. Może uda ci się zaprzyjaźnić z którąś z młodych dam, które tam pracują. Porozmawiasz z tymi osobami i przyjdiesz do mnie znowu, by powtórzyć mi wszystko, co ci powiedzą.

— Miej litość!

— Wcale nie — odparł Poirot. — Będziesz się tym bawił.

— Nie dostrzegasz chyba, że mam własną robotę.

— Będzie ci się lepiej pracowało, jak będziesz miał trochę relaksu — zapewnił mnie Poirot.

Wstałem i roześmiałem się.

— Dobrze. Ty tu rządzisz! Masz dla mnie więcej mądrości? Co sądzisz o tej dziwnej historii z zegarami?

Poirot jeszcze raz odchylił się w fotelu, zamknął oczy i zupełnie nieoczekiwanie zadeklamował:

„Nadszedł już czas — powiedział Mors —

Pogrążyć się w rozmowie

O tym, czym but jest, łódź i lak,

Kapusta i Królowie,

I czemu w morzu woda wrze.

A wieprz ma skrzydła sowie.”*

Otworzył oczy i skinął głową.

— Rozumiesz? — zapytał.

— Cytat z „Tweedledum i Tweedledee”, z *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra*.

— Właśnie. W tej chwili to najlepsze, co mogę zrobić dla ciebie. Zastanów się nad tym.

*tłum. Maciej Słomczyński

Rozdział piętnasty

Publiczność stawiała się na rozprawę tłumnie. Mieszkańcy Crowdean, przerażeni morderstwem w samym środku swego miasta, mieli nadzieję usłyszenia sensacyjnego wyjaśnienia zbrodni. Postępowanie sądowe było jednak suche, jak zwykle. Sheila Webb nie musiała się obawiać długiego przesłuchiwania — w parę minut było po wszystkim. Zeznała, że do Biura Cavendish przekazano telefonicznie zlecenie, wzywające ją na Wilbraham Crescent 19. Udała się tam, wchodząc, jak polecono, do bawialni. Znalazła martwego człowieka, zaczęła krzyczeć i wybiegła z domu, wzywając pomocy. Nie było żadnych pytań ani wdawania się w szczegóły. Panna Martindale, zeznająca również, była przesłuchiwana jeszcze krócej. Odebrała zlecenie, pochodzące rzekomo od panny Pebmarsh, aby przysłać stenotypistkę, najchętniej pannę Sheilę Webb, na Wilbraham Crescent 19 i przekazać jej pewne wskazówki. Zapisała dokładny czas otrzymania owego zlecenia: 13.49. To załatwiło sprawę panny Martindale.

Panna Pebmarsh, wezwana jako następny świadek, zaprzeczyła kategorycznie, jakoby tego dnia wzywała maszynistkę z Biura Cavendish. Inspektor Hardcastle złożył krótkie, suche zeznanie. Po otrzymaniu telefonicznego zgłoszenia poszedł na Wilbraham Crescent 19, gdzie znalazł zwłoki mężczyzny. Koroner zapytał go:

- Czy jest pan w stanie zidentyfikować tego człowieka?
- Na razie nie, sir. Z tego powodu prosiłbym o odroczenie rozprawy.
- Słusznie.

Przeszli do zeznań lekarskich. Doktor Rigg, lekarz policyjny, przedstawivszy swoje kwalifikacje, opowiedział o przybyciu na miejsce zbrodni i badaniu denata.

- Może pan określić przybliżony czas śmierci?
- Badałem ciało o pół do czwartej. Ustaliłbym czas zgonu na porę między pół do drugiej a pół do trzeciej.
- Nie potrafi pan podać czasu dokładniej?
- Wolałbym tego nie robić. Przypuszczalnie najbardziej prawdopodobna jest go-

dzina druga, lub nieco wcześniej, ale pod uwagę należy wziąć wiele czynników. Wiek, stan zdrowia i tak dalej.

— Przeprowadził pan sekcję zwłok?

— Tak.

— Przyczyna śmierci?

— Mężczyzna został zasztyletowany cienkim, ostrym narzędziem. Czymś w rodzaju kuchennego noża ze zwężającym się ostrzem. Czubek noża wbity pod kątem... — Tu doktor przystąpił do szczegółów technicznych, wyjaśniając pozycję, w jakiej nóż wszedł w serce.

— Śmierć była natychmiastowa?

— Nastąpiła po bardzo krótkim czasie.

— Czy ten człowiek mógł krzyczeć lub szarpać się?

— W tych okolicznościach, nie.

— Zechce nam pan wyjaśnić, co pan przez to rozumie?

— Badałem pewne organy denata i wykonałem testy. Mogę powiedzieć, że w chwili śmierci był on w stanie śpiączki, wskutek działania pewnego środka nasennego.

— Potrafi pan powiedzieć, co to był za środek?

— Tak. To był wodzian chloralu.

— Może pan określić, jak został podany?

— Przypuszczalnie w alkoholu. Skutek działania jest wówczas bardzo szybki.

— Jeśli się nie mylę, ten środek jest znany w pewnych kręgach jako „fikołek” — mruknął koroner.

— Tak jest — potwierdził doktor Rigg. — Mógł wypić płyn, niczego nie podejrzewając, a w chwilę później zatoczył się i padł bez przytomności.

— I według pana opinii, w tym stanie został zasztyletowany?

— Takie jest moje przekonanie. To tłumaczyłoby brak śladów walki i spokojny wyraz twarzy.

— Jak szybko został zabity po utracie przytomności?

— Tego nie potrafię dokładnie określić, ponieważ zależy to od osobniczej wrażliwości ofiary. Na pewno nie oprzytomniał w ciągu pół godziny, a mogło to trwać znacznie dłużej.

— Dziękuję. Czy ma pan jakieś wyniki obdukcji świadczące o tym, kiedy denat zjadł ostatni posiłek?

— Nie jadł lunchu, jeśli o tym pan myśli. Nie jadł nic solidnego w ciągu ostatnich czterech godzin.

— Dziękuję. To chyba wszystko.

Koroner rozejrzył się i oświadczył:

— Rozprawa zostaje odroczone na dwa tygodnie, do 28 września.

Ludzie zaczęli wychodzić. Edna Brent, która wraz z większością dziewcząt z Biura Cavendish była na sali, znalazłszy się przed gmachem sądu zawahała się. Tego ranka biuro było zamknięte. Maureen West, jedna z koleżanek, zagadnęła ją:

— Jak sądzisz, Edno? Pójdziemy na lunch do „Bluebird”? Mamy mnóstwo czasu. W każdym razie ty masz.

— Nie mam więcej czasu niż wy — rzekła Edna skrzywdzonym tonem. — Ruda Kocica kazała mi wykorzystać pierwszą przerwę na lunch. To świństwo z jej strony. Myślałam, że będę miała dobrą godzinę ekstra na zakupy.

— To do niej podobne. Chytra cholera. Otwieramy o drugiej i wszystkie mają być. Szukasz kogoś?

— Sheili. Nie widziałam, jak wychodziła.

— Wyszła wcześniej, zaraz po złożeniu zeznań. Z młodym człowiekiem, którego nie znam. Idziesz?

Edna stała wahając się, wreszcie powiedziała: — Idź... Muszę jednak zrobić zakupy.

Maureen odeszła z drugą dziewczyną. Edna jeszcze chwilę zwlekała, wreszcie odważyła się odezwać do jasnowłosego policjanta, stojącego przy wejściu.

— Mogę wejść znowu? — wyjąkała nieśmiało. — I porozmawiać z... z tym panem, który przyszedł do biura... z inspektorem jakimś tam?

— Z inspektorem Hardcastle?

— O właśnie. Z tym, który składał dziś zeznanie.

Młody policjant zajrzał do hallu sądu i zauważył inspektora pogrążonego w rozmowie z koronerem i komisarzem policji hrabstwa.

— Chyba jest teraz zajęty, panienko — powiedział. — Może wpadnie pani później do komisariatu, albo przekaże mi wiadomość... Czy to coś ważnego?

— Och, to naprawdę nie ma znaczenia — odparła Edna. — Chodzi o... Nie wiem, w jaki sposób to, co ona mówiła, mogło być prawdą, ponieważ... — odeszła pogrążona w myślach.

Oddalała się od Commarket przez High Street. Wciąż była zachmurzona z zakłopotania i wysiłku umysłowego. Myślenie nigdy nie było mocną stroną Edny. Im bardziej starała się uporządkować sprawy w głowie, tym bardziej się gmatwały.

W pewnej chwili powiedziała głośno:

— To nie mogło być tak... Nie mogło być tak, jak mówiła...

Nagle, jak ktoś kto się zdecydował, skręciła z High Street na Albany Road i poszła w kierunku Wilbraham Crescent.

Od dnia, w którym prasa ogłosiła, że przy Wilbraham Crescent 19 popełniono morderstwo, wiele osób gromadziło się przed domem, aby mu się przyjrzeć. Zwyczajna cegła i zaprawa potrafiły w pewnych okolicznościach mieć dla publiczności urok tajemnicy. Przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny stojący tam policjant stanowczo pole-

cał ludziom nie zatrzymywać się. Od tego czasu zainteresowanie osłabło, ale nie wygasło całkowicie. Samochody dostawców przejeżdżając zwalniały, kobiety pchające wózki z dziećmi zatrzymywały się na kilka minut na przeciwległym chodniku i wytrzeszczały oczy, przyglądając się schludnej willi panny Pebmarsh. Gospodynie wracające z zakupami w koszykach robiły sobie tam przystanek, wpatrując się chciwie i wymieniając plotki z przyjaciółkami.

— To ten dom, ten w którym...

— Ciało było w bawialni... Nie, chyba bawialnia jest od frontu, tam po lewej...

— Właściciel sklepu spożywczego powiedział mi, że po prawej.

— Oczywiście, to możliwe, ale byłam kiedyś pod numerem 10 i tam, pamiętam dokładnie, po prawej była jadalnia, a bawialnia na lewo...

— Nie wygląda ani trochę na dom, w którym popełniono morderstwo, prawda?

— Słyszałem, że ta dziewczyna wybiegła przed furtkę, krzycząc jak szalona...

— Mówią, że od tej pory nie ma dobrze w głowie... Okropny szok, rzecz jasna...

— Mówili, że włamał się przez okno od tyłu. Wkładał srebra do torby, kiedy nadeszła dziewczyna i znalazła go tam...

— Ta właścicielka domu jest ślepa, biedaczka. Więc naturalnie nie mogła się zorientować, co się stało...

— Ale w tym czasie nie było jej tam...

— Och, sądzę że była. Chyba siedziała na górze i usłyszała go. Ojej, muszę iść do sklepu.

Takie i inne rozmowy prowadzono cały czas. Najdziwniejsi ludzie, jakby przyciągani magnesem, przybywali na Wilbraham Crescent, zatrzymywali się, gapili i szli dalej, zaspokoiwszy wewnętrzną potrzebę.

Edna Brent, wciąż łamiąca sobie głowę, znalazła się tutaj wśród grupy pięciu czy sześciu osób zajętych ulubioną rozrywką, czyli gapieniem się na dom, w którym popełniono morderstwo.

Edna, zawsze łatwo ulegająca sugestii, patrzyła także.

Więc to był dom, w którym to się stało! Siatkowe firanki w oknach. Wyglądają zawsze tak miło. A jednak zabito tam człowieka. Zabito kuchennym nożem. Zwykłym nożem kuchennym. Prawie każdy ma kuchenny nóż...

Zahipnotyzowana zachowaniem stojących obok ludzi, Edna gapiała się. Zapomniała niemal, po co tu przyszła...

Drgnęła na dźwięk głosu za plecami.

Odwróciła głowę, zaskoczona widokiem mówiącej osoby.

Rozdział szesnasty

Relacja Colina Lamba

Zauważyłem Sheilę Webb wymykającą się z sądu. Składała zeznanie bardzo dobrze. Była zdenerwowana, ale nie przesadnie. Po prostu zachowywała się naturalnie. (Jak by powiedział Beck? „Nieźle przedstawienie”. Słyszę prawie, jak to mówi).

Zaskoczył mnie koniec zeznania doktora Rigga. (Dick nie mówił mi o tym, a musiał wiedzieć). Potem wyszedłem.

— Nie było tak źle? — spytałem, dogoniwszy ją.

— Nie. To zupełnie łatwe. Koroner był bardzo miły. — Zawahała się. — Co teraz będzie?

— On odroczy rozprawę, aby zgromadzić dalsze dowody. Przypuszczalnie na dwa tygodnie albo aż do czasu identyfikacji zmarłego.

— Myśli pan, że go zidentyfikują?

— O tak. Na pewno. Nie ma wątpliwości.

Dziewczyna wstrząsnęła się. — Zimno dzisiaj.

Nie było zbyt zimno. Szczerze mówiąc, pomyślałem, że jest dosyć ciepło.

— Co pani myśli o zjedzeniu wczesnego lunchu? — zaproponowałem. — Nie musi pani wracać do biura?

— Nie. Jest zamknięte aż do drugiej.

— Chodźmy więc. Lubi pani chińską kuchnię? Widziałem tam dalej małą chińską restaurację.

Sheila była niezdecydowana.

— Muszę naprawdę zrobić zakupy.

— Może pani zrobić później.

— Nie. Niektóre z tych sklepów są zamknięte między pierwszą a drugą.

— Dobrze. Spotkamy się na miejscu? Za pół godziny?

Zgodziła się.

Poszedłem na plażę i usiadłem w koszu. Wiatr dmuchał prosto od morza, czułem go na sobie.

Chciałem pomyśleć. Zawsze człowieka rozwściecza, gdy inni wiedzą o nim więcej, niż on sam. Zarówno stary Beck, jak i Herkules Poirot widzieli jasno to, do czego teraz musiałem się przyznać.

Zależało mi na tej dziewczynie, zależało, jak nigdy dotąd.

Nie chodziło o urodę — była ładna, ładna w dość niebanalny sposób, ale nie więcej. Nie chodziło o seksapil — z tym spotykałem się często, miałem dość tych uciech.

Po prostu od pierwszej chwili poczułem, że to jest moja dziewczyna.

A ja nie wiedziałem o niej zupełnie nic!

Było po drugiej, kiedy wszedłem do komisariatu i zapytałem o Dicka. Znalazłem go przy biurku, przeglądającego stos papierów. Spojrzał na mnie i zapytał, co sędzę o rozprawie.

Odpowiedziałem, że było to bardzo miło prowadzone i dżentelmeńskie przedstawienie:

— W naszym kraju dobrze robimy te rzeczy.

— A co myślisz o zeznaniu lekarza?

— Dostyc zaskakujące. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym?

— Wyjechałeś. Skonsultowałeś się ze swoim specjalistą?

— Tak.

— Zdaje się, że przypominam go sobie. Mnóstwo wąsów.

— Cały ocean — zgodziłem się. — Jest z nich szalenie dumny.

— Musi być bardzo stary.

— Tak, ale nie zdziecinniały.

— A naprawdę po co go odwiedziłeś? Z czystej uprzejmości?

— Masz taki podejrzliwy, policyjny umysł, Dick! Głównie z uprzejmości. Ale przyznaję, że również z ciekawości. Chciałem usłyszeć, co on powie o tym twoim interesie. Widzisz, on zawsze tokuje dużo, jak to łatwo wyjaśnić sprawę, siedząc w fotelu z założonymi rękami, zamkniętymi oczami, wyłącznie drogą logicznego myślenia. Chciałem przyłapać go na blefowaniu.

— Zademonstrował ci próbę tej metody śledczej?

— Tak.

— I co powiedział? — zapytał Dick z pewną ciekawością.

— Że to musi być bardzo prosta zbrodnia.

— Prosta, u licha — rzekł Dick rozdrażniony. — Jak to prosta? Dlaczego prosta?

— Dlatego, jeżeli dobrze zrozumiałem, że cała historia jest tak zawiła.

Hardcastle potrząsnął głową. — Nie pojmuję — oświadczył. — Brzmi to, jak te mądre rzeczy, które mówią młodzi ludzie w Chelsea, ale nie rozumiem tego. Jeszcze coś?

— Powiedział mi, żeby rozmawiać z sąsiadami. Zapewniłem go, że zrobiliśmy to.

— W świetle zeznania lekarza sąsiedzi są teraz ważniejsi. Powstało przypuszczenie, że został otruty gdzie indziej, przewieziony pod numer 19 i zabity.

Coś w tych słowach mnie uderzyło:

— To właśnie, mniej więcej, powiedziała ta pani... jak-jej-tam, ta kobieta od kotów. Uznałem wtedy, że to dość interesująca uwaga.

— Ach, te koty — wstrząsnął się Dick i dodał: — Nawiasem mówiąc, znaleźliśmy narzędzie zbrodni. Wczoraj.

— Tak? Gdzie?

— W kociarni. Przypuszczalnie wrzucił je tam morderca.

— Pewnie nie ma odcisków?

— Starannie wytarte. Ten nóż mógł należeć do każdego. Mało używany, świeżo naostrzony.

— Więc tak to przebiegało. Został uspiony, potem przewieziony do domu panny Pebmarsh — samochodem? Bo jak inaczej?

— Mogli go przenieść z jednego z domów graniczących z ogrodem.

— Ale to ryzykowne, prawda?

— Wymagało ryzyka — zgodził się Hardcastle. — I trzeba było znać dobrze zwyczaje sąsiadów. Bardziej prawdopodobne, że przywieziono go samochodem.

— To było też niebezpieczne. Ludzie zwracają uwagę na samochód.

— Nikt nie zauważył niczego. Zgadzam się jednak, że morderca nie mógł tego przewidzieć. Przechodnie mogliby zauważyć samochód zatrzymujący się koło numeru 19.

— Ciekaw jestem, czy zwrócili uwagę. Wszyscy używają samochodów. Chyba żeby to był luksusowy wóz, coś nadzwyczajnego, ale to niewielka możliwość...

— Oprócz tego była to pora lunchu. Zauważyłeś, Colin, że wszystko wraca do panny Pebmarsh? To naciągana historia, twierdzenie, że zdrowy mężczyzna może zostać zasztyletowany przez niewidomą kobietę, ale jeżeli został uspiony...

— Innymi słowy „przyszedł tam, żeby zostać zabitym”, jak to ujęła nasza pani Hemming. Przybył na spotkanie bez żadnych podejrzeń, został poczęstowany sherry albo koktajlem, fikołek zadziałał i panna Pebmarsh zabrała się do dzieła. Potem umyła kieliszek, ułożyła ciało na podłodze, wrzuciła nóż do ogrodu sąsiadki i wyszła drobnym kroczkiem.

— Telefonując po drodze do Biura Cavendish.

— Po co to zrobiła? Dlaczego zamówiła specjalnie Sheilę Webb?

— Chciałbym to wiedzieć — Hardcastle spojrzał na mnie. — Czy ona sama nie wie? Ta dziewczyna?

— Twierdzi, że nie.

— Twierdzi, że nie — powtórzył bezbarwnie Dick. — Pytam, co ty myślisz o tym?

Nie odpowiadałem przez chwilę. Co myślę? Musiałem właśnie w tej chwili zdecydować się, co robić. Prawda w końcu wyszłaby na jaw. Jeśli Sheila jest taka, za jaką ją uważam, nie zrobię jej krzywdy.

Szorstkim mchem wyjąłem z kieszeni pocztówkę i podałem mu przez stół.

— Sheila dostała to pocztą.

Hardcastle rzucił okiem na kartę. Była to seryjna pocztówka przedstawiająca budowlę Londynu. Na tej był Główny Sąd Kryminalny. Hardcastle odwrócił ją. Po prawej stronie napisano ładnymi, drukowanymi literami adres. Panna Sheila Webb, Palmerston Road 14, Crowdean, Sussex. Po lewej napisano, także drukowanym pismem słowo PAMIĘTAJ! i poniżej tego 4.13.

— Ona mówi, że nie wie, co to znaczy. Wierzę jej.

Hardcastle skinął głową.

— Zatrzymam to. Może wydostaniemy z tej kartki coś więcej.

— Mam nadzieję, że tak.

Zapanowała między nami atmosfera skrępowania. Żeby ją rozładować, powiedziałem:

— Masz tu mnóstwo makulatury.

— Jak zwykle. A większość z tego nie ma żadnej wartości. Ten człowiek nie figuruje w rejestrze skazanych, w archiwum nie ma jego odcisków palców. Prawie cały ten materiał pochodzi od ludzi, którzy utrzymują, że go rozpoznali.

Czytał:

„Szanowny panie, zdjęcie w gazecie przedstawia prawie na pewno mężczyznę, który przed paru dniami wsiadał do pociągu w Willesden Junction. Mamrotał coś do siebie, wyglądał na podnieconego i szalonego i kiedy zobaczyłem go, pomyślałem, że musi być z nim coś nie w porządku...

Szanowny Panie, myślę, że ten człowiek przypomina bardzo kuzyna mego męża, Johna. On wyjechał do Południowej Afryki, ale możliwe, że wrócił. Kiedy wyjeżdżał miał wąsy, lecz naturalnie mógł je zgolić...

Szanowny Panie, widziałem tego człowieka z gazety wczoraj wieczór w metro. Pomyślałem, że jest jakiś niewyraźny...”

— I, rzecz jasna, te wszystkie kobiety, które rozpoznały mężów. Wydają się nie wiedzieć, jak wyglądają ich mężowie! I pełne nadziei matki, przyznające się do synów, których nie widziały od dwudziestu lat.

— A tu jest lista osób zaginionych. Prawdopodobnie nie pomoże nam. „George Barlow, lat 65, znikł z domu. Żona uważa, że musiał stracić pamięć”. I notatka poniżej. „Był winien dużą sumę pieniędzy. Widziano go z rudą wdową. Prawie na pewno pry-

snął”.

— Następny: „Profesor Hargraves miał w ostatni piątek wygłosić odczyt. Nie przyjechał, ani nie przysłał depezy lub paru słów wyjaśnienia”.

Hardcastle zdawał się nie brać profesora poważnie.

— Pomyślał, że wykład odbył się tydzień wcześniej, albo ma być tydzień później. Wydawało mu się, że powiedział gospodyni, dokąd jedzie, ale nie zrobił tego. Mamy mnóstwo takich spraw.

Na biurku inspektora zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

— Tak?... Co?... Kto ją znalazł? Podała nazwisko?... Rozumiem. Zajmij się tym.
— Odłożył słuchawkę. Zwrócił do mnie zmienioną twarz. Była surowa, prawie mściwa.

— W budce telefonicznej przy Wilbraham Crescent znaleziono martwą dziewczynę.

— Martwą? — wytrzeszczyłem na niego oczy. — Co się stało?

— Uduszona. Własnym szalikiem!

Zrobiło mi się nagle zimno.

— Co to za dziewczyna? Chyba nie...

Hardcastle popatrzył na mnie zimnym, badawczym spojrzeniem, które mi się nie spodobało.

— To nie twoja przyjaciółka — rzekł — jeśli tego się obawiałeś. Ten konstabl wie chyba, kim ona jest. Powiada, że to dziewczyna pracująca w tym samym biurze co Sheila Webb. Nazywa się Edna Brent.

— Kto ją znalazł? Ten konstabl?

— Została znaleziona przez pannę Waterhouse z domu numer 18. Weszła do budki, żeby zadzwonić, ponieważ jej telefon był zepsuty i znalazła dziewczynę leżącą na podłodze.

Drzwi otworzyły się i policjant powiedział:

— Doktor Rigg dzwoni, że już jedzie, sir. Spotka się z panem na Wilbraham Crescent.

Rozdział siedemnasty

Półtorej godziny później inspektor Hardcastle usiadł za swoim biurkiem i przyjął z ulgą urzędową filiżankę herbaty. Jego twarz wciąż miała ponury, gniewny wyraz.

— Przepraszam, sir, Pierce chciałby zamienić z panem dwa słowa.

Hardcastle ocknął się.

— Pierce? Ach tak. Przyślij go.

Wszedł młody policjant, wyglądający na zdenerwowanego.

— Przepraszam, sir, pomyślałem, że powinienem powiedzieć to panu.

— Co powiedzieć?

— To było po rozprawie. Miałem służbę przy drzwiach. Ta dziewczyna... ta, która została zabita. Odezwała się do mnie.

— Odezwała się? Co powiedziała?

— Chciała rozmawiać z panem.

Hardcastle zaalarmowany wyprostował się.

— Chciała ze mną rozmawiać? Mówiła, o co jej chodzi?

— Właściwie nie. Przykro mi, sir, jeżeli... Jeżeli powinienem był zrobić coś w tej sprawie. Poprosiłem ją, żeby przekazała mi wiadomość, albo żeby przyszła później na komisariat. Widzi pan był pan zajęty z koronerem i komisarzem, i pomyślałem...

— Jasna cholera! — bąknął Hardcastle pod nosem. — Nie mogłeś jej zaproponować, by poczekała aż będę wolny?

— Przykro mi, sir — młody człowiek zaczerwienił się. — Przypuszczam, że powinienem to zrobić. Ona chyba nie uważała tej sprawy za ważną. Mówiła, że coś ją niepokoi.

— Niepokoi? — spytał Hardcastle. Milczał chwilę, zastanawiając się nad pewnymi faktami. To była dziewczyna, którą minął na ulicy idąc do pani Lawton, dziewczyna, która chciała się widzieć z Sheilą Webb. Rozpoznała go, gdy ją mijał i wahała się, jakby niepewna czy zatrzymać go, czy nie. Była czymś zmartwiona. Tak, to właśnie to. Coś ją martwiło. Pomylił się. Nie miał refleksu. Zajęty myślą, by dowiedzieć się czegoś wię-

cej o przeszłości Sheili Webb, przegapił ważny punkt. Dziewczyna była zaniepokojona. Czym? Teraz pewnie już się nie dowie.

— Dalej, Pierce — ponaglił. — Opowiedz mi wszystko, co pamiętasz. — A ponieważ był sprawiedliwy, dodał łagodnie: — Nie mogłeś wiedzieć, że to ważne.

Nie byłoby słuszne rozładować swój gniew i frustrację, obwiniając tego chłopca. Skąd mógł wiedzieć? Jego szkolenie polegało częściowo na wpojeniu dyscypliny, na zapewnieniu, że do jego przełożonych można zwrócić się tylko we właściwym miejscu i czasie. Gdyby dziewczyna powiedziała, że sprawa jest ważna lub nagła, to co innego. Ale nie zrobiła tego, pomyślał, wspominając pierwsze wrażenie, jakie na nim wywarła w biurze. Bo to taka osoba. Wolno myśląca. Prawdopodobnie nie ufająca własnemu rozumowi.

— Możesz przypomnieć sobie dokładnie, co się zdarzyło i co ona powiedziała?

Pierce popatrzył na niego z wyraźną wdzięcznością.

— Więc, sir, zbliżyła się do mnie, kiedy wszyscy wychodzili i jakby się zawahała, a potem popatrzyła wokoło, jakby szukając kogoś. Nie pana, sir, kogoś innego. Potem podeszła i powiedziała, że chce rozmawiać z oficerem policji, tym, który składał zeznanie. Jak mówiłem, zobaczyłem, że jest pan zajęty z komisarzem i wyjaśniłem, że teraz nie ma pan czasu, i że mogłaby zostawić mi wiadomość, albo skontaktować się z panem później w komisariacie. Wydaje mi się, że odpowiedziała, że to jej pasuje. Spytałem czy to coś szczególnego...

— I co? — Hardcastle nachylił się.

— A ona odpowiedziała, że nie bardzo. Że tylko nie rozumie, jak coś mogłoby się zdarzyć w taki sposób, jak mówiono.

— Nie rozumiała, jak mogło się zdarzyć w taki sposób, jak mówiono? — powtórzył Hardcastle.

— Właśnie, sir. Nie jestem pewien, czy to były akurat te słowa. Może to brzmiało: „Nie pojmuję, jak to, co ona mówiła, mogło być prawdą”. Zmarszczyła brwi i wydawała się zaintrygowana. Ale kiedy ją spytałem, oświadczyła, że to nic naprawdę ważnego.

Nic naprawdę ważnego, powiedziała dziewczyna. Ta sama, którą znaleziono wkrótce potem uduszoną w budce telefonicznej...

— Czy był ktoś w pobliżu podczas waszej rozmowy?

— Na rozprawie było sporo ludzi. To morderstwo spowodowało wielkie poruszenie, trochę dzięki prasie.

— Nie pamiętasz nikogo szczególnego, kto byłby w pobliżu, na przykład spośród ludzi, którzy składali zeznania?

— Obawiam się, że nikt nie przychodzi mi na myśl.

— No, to się nam nie przyda na nic. Dobrze, Pierce, gdybyś przypomniiał sobie jeszcze coś, przyjdź do mnie natychmiast.

Zostawszy sam, zrobił wysiłek, by stłumić rosnący gniew i pretensje do siebie. Ta dziewczyna o wyglądzie królika wiedziała coś. Może to za wiele powiedziane, że wiedziała, ale coś widziała albo słyszała. Coś, co ją zaniepokoiło i niepokój ten wzrósł po bytności na rozprawie. Co to mogło być? Coś w zeznaniach? Najprawdopodobniej w tym, co mówiła Sheila Webb? Edna przysłała dwa dni wcześniej do domu ciotki Sheili, aby zobaczyć się z koleżanką. Czemu chciała rozmawiać z nią prywatnie? Czyżby wiedziała o Sheili coś, co ją dziwiło? Czy zamierzała prosić o wyjaśnienie w tajemnicy, nie w obecności innych dziewcząt? Na to wyglądało.

Odprawivszy Pierce'a wydał kilka poleceń sierżantowi Crayowi.

— Dlaczego sądzi pan, że dziewczyna poszła na Wilbraham Crescent specjalnie?
— zapytał sierżant.

— Zastanawiałem się nad tym — odparł Hardcastle. — Może męczyła ją ciekawość, chciała zobaczyć, jak wygląda to miejsce. Nie ma w tym nic niezwykłego, połowa ludności Crowdean czuje to samo.

— Jakbyśmy nie wiedzieli — powiedział sierżant ze zrozumieniem.

— Ale mogła się wybrać tam, żeby spotkać się z kimś, kto tam mieszka...

Gdy sierżant wyszedł, Hardcastle napisał na bloku trzy numery: 20 i dodał znak zapytania. 19?, a potem 18? i odpowiednie nazwiska: Hemming, Pebmarsh, Waterhouse. Te trzy domy w górnej części zaułka wchodziły w grę. Żeby odwiedzić jeden z nich, Edna nie musiała w ogóle iść dolnym odcinkiem ulicy.

Hardcastle rozpatrzył trzy możliwości.

Numer 20. Nóż użyty w pierwszym morderstwie znaleziono właśnie tam. Mogła go tam wsadzić sama właścicielka. Jediną reakcją przesłuchiwaną pani Hemming było tylko oburzenie: „Co za nikczemność rzucać takim okropnym nożem w moje koty”. Jak skojarzyć panią Hemming z Edną Brent? Inspektor zdecydował, że taki związek nie istnieje. Przeszedł do panny Pebmarsh.

Czy Edna Brent poszła na Wilbraham Crescent odwiedzić pannę Pebmarsh? Niewidoma składała zeznanie na rozprawie. Czy Edna usłyszała coś, co wzbudziło jej nieufność? Musiała jednak niepokoić się już przed rozprawą. Może wiedziała o jakichś powiązaniach między panną Pebmarsh a Sheilą Webb? To zgadzałyby się ze słowami, które powtórzył Pierce. „To, co ona powiedziała, nie może być prawdą”.

— Przypuszczenia, wszystko tylko przypuszczenia — myślał gniewnie.

A dom numer 18? Panna Waterhouse znalazła ciało Edny. Inspektor żywił zawodowe uprzedzenie do ludzi znajdujących zwłoki. Znajdując ciało mordercy unikał wielu trudności. Oszczędzał sobie kłopotów z zapewnieniem alibi, z ewentualnym przegapieniem jakichś odcisków palców. Sytuacja była znakomita, z jednym tylko zastrzeżeniem. Nie mogło być wyraźnego motywu. Na pewno nie istniał żaden widoczny motyw dla panny Waterhouse, aby usunąć małą Ednę Brent. Panna Waterhouse nie składała zeznań na

rozprawie. Mogła jednak tam być. Czyżby Edna wiedziała, lub była przekonana, że to właśnie panna Waterhouse udawała przez telefon pannę Pebmarsh i prosiła o przysłanie stenografa pod numer 19?

Jeszcze więcej przypuszczeń.

Była jeszcze sama Sheila Webb...

Ręka Hardcastle'a powędrowała do telefonu. Zadzwoił do hotelu, w którym zatrzymał się Colin Lamb. Wkrótce dostał połączenie.

— Tu Hardcastle. O której jadłeś dzisiaj lunch ze Sheilą Webb?

Nastąpiła pauza, zanim Colin się odezwał.

— Skąd wiesz, że jedliśmy lunch?

— Cholernie trudno zgadnąć. Jadłeś, prawda?

— Dlaczego nie miałbym zjeść z nią lunchu?

— Istotnie, nie ma powodu, Zwyczajnie pytam cię o porę. Poszłście na lunch prosto z sądu?

— Nie. Musiała zrobić zakupy. Spotkaliśmy się w chińskiej restauracji na Market Street, o pierwszej.

— Rozumiem.

Hardcastle spojrział na notatki. Edna Brent zginęła między 12.30 a 13.00.

— Nie chcesz wiedzieć, co jedliśmy?

— Nie gorączkuj się. Potrzebny mi dokładny czas. Do akt.

— Pojmuję. Świetnie.

Nastąpiła pauza. Hardcastle próbował rozładować napięcie.

— Jeśli nie jesteś zajęty dziś wieczór...

Colin przerwał.

— Wyjeżdżam. Właśnie się pakuję. Zostałem czekającą na mnie wiadomość. Muszę jechać za granicę.

— Kiedy wracasz?

— Nie wiadomo. Najwcześniej za tydzień, może później, może nigdy!

— Pech — czy tak?

— Nie jestem pewien — odparł Colin i odłożył słuchawkę.

Rozdział osiemnasty

I

Hardcastle przyszedł na Wilbraham Crescent 19 właśnie w chwili, gdy panna Pebmarsh wychodziła.

— Przepraszam na moment, panno Pebmarsh.

— Och, czy to inspektor Hardcastle?

— Tak. Mogę z panią porozmawiać?

— Nie chcę się spóźnić do Instytutu. Czy to potrwa długo?

— Zapewniam panią, że tylko trzy czy cztery minuty.

Wszedł za nią do domu.

— Słyszała pani, co się stało dziś po południu?

— Coś się zdarzyło?

— Myślałem, że już pani wie. W budce telefonicznej, w dole ulicy, została zabita dziewczyna.

— Zabita? Kiedy?

— Dwie godziny i trzy kwadransy temu — popatrzył na szafkowy zegar.

— Nie słyszałam o tym. Nic nie słyszałam — powiedziała panna Pebmarsh. W jej głosie zabrzmiał jakby gniew. Tak jakby jej kalectwo dotarło do niej w szczególnie bolesny sposób. — Zabita! Co to za dziewczyna?

— Nazywa się Edna Brent i pracuje w Biurze Cavendish.

— Następna dziewczyna stamtąd! Została wysłana, jak ta Sheila jak-jej-tam?

— Nie sądzę. Nie przyszła czasem spotkać się z panią w domu?

— Tutaj? Nie. Na pewno nie.

— Gdyby tu przyszła, zastałaby panią?

— Nie wiem. O której to było?

— Około 12.30 albo nieco później.

— Tak — odparła niewidoma. — Byłam wtedy w domu.

— Dokąd poszła pani po rozprawie?

— Przyszłam prosto tutaj. — Zamilkła, a potem spytała. — Dlaczego sądzi pan, że ta dziewczyna mogła przyjść do mnie?

— No cóż, była dziś rano na rozprawie, widziała tam panią, wreszcie musiała mieć jakiś powód, żeby przyjść na Wilbraham Crescent. O ile nam wiadomo, nie miała znajomych na tej ulicy.

— Ale po co miałyby przychodzić do mnie? Tylko dlatego, że ujrzała mnie na rozprawie?

— Cóż... — inspektor uśmiechnął się lekko, potem spiesznie spróbował oddać ten uśmiech tonem, kiedy uświadomił sobie, że panna Pebmarsh nie jest w stanie ocenić rozbajającego charakteru tego uśmiechu. — Z tymi dziewczętami nigdy nie wiadomo. Może chciała dostać autograf. Coś w tym rodzaju.

— Autograf! — W głosie panny Pebmarsh zabrzmiała pogarda. Potem powiedziała: — Tak, przypuszczam, że ma pan rację. — Potrząsnęła energicznie głową. — Mogę pana zapewnić, że nie stało się to dzisiaj. Od kiedy wróciłam z sądu, nikogo tu nie było.

— Dziękuję pani. Uważaliśmy, że trzeba sprawdzić wszystkie możliwości.

— Ile miała lat?

— Chyba dziewiętnaście.

— Dziewiętnaście? Bardzo młoda. — Głos starej kobiety zmiękł. — Bardzo młoda... Biedne dziecko. Któż chciałby zabić dziewczynę w tym wieku?

— To się zdarza.

— Była ładna, atrakcyjna, pociągająca?

— Nie. Zapewne chciała być taka, ale nie była.

— A więc to nie był powód — zauważyła panna Pebmarsh. Znowu potrząsnęła głową. — Przykro mi. Bardziej przykro, niż potrafię to wyrazić, ale nie umiem panu pomóc.

Wyszedł, jak zawsze, pod wrażeniem osobowości panny Pebmarsh.

II

Panna Waterhouse również była w domu. Zachowała się typowo, otwierając drzwi gwałtownie, jakby chciała przyłapać kogoś na robieniu rzeczy zakazanych.

— Ach, to pan — rzekła. — Doprawdy, powiedziałam już pańskim ludziom wszystko, co wiem.

— Jestem pewien, że tak było, ale oni nie umieją pytać na gorąco o wszelkie szczegóły. Musimy dowiedzieć się trochę więcej.

— Nie rozumiem po co. Cała historia była okropnym szokiem — rzekła panna

Waterhouse, patrząc na inspektora surowo, jakby to była jego wina. — Proszę wejść. Nie może pan stać na wycieraczce cały dzień. Proszę wejść i usiąść i pytać o co pan chce, choć nie wiem naprawdę, co to może być. Jak mówiłam, wyszłam zatelefonować. Otworzyłam drzwi budki telefonicznej i ona tam leżała. Nigdy nie przeżyłam takiego szoku. Pobiegłam i znalazłam — policjanta. A potem, jeśli chce pan wiedzieć, wróciłam i zaaplikowałam sobie leczniczą dawkę brandy. Leczniczą — podkreśliła panna Waterhouse.

— Bardzo roztropnie, madam.

— I to wszystko — oświadczyła panna Waterhouse.

— Chciałem się dowiedzieć, czy jest pani pewna, że nigdy przedtem nie widziała tej dziewczyny?

— Mogłam ją widzieć tuzin razy, ale nie pamiętam. Mam na myśli, że mogła mnie obsługiwać u Woolwortha, siedzieć obok mnie w autobusie, czy sprzedać mi bilet do kina.

— Była stenotypistką w Biurze Cavendish.

— Nigdy nie zdarzyło mi się korzystać z usług stenotypistki. Może pracowała w biurze mojego brata, u Gainsforda i Swettenhama. Do tego pan zmierza?

— Och nie — odparł inspektor. — Chyba nie ma takich powiązań. Ale jestem ciekaw, czy tego ranka, zanim została zabita, przyszła panią odwiedzić.

— Odwiedzić mnie? Ależ nie. Czemu miałyby to zrobić?

— No, nigdy nie wiadomo. Chce pani powiedzieć, że gdyby ktoś twierdził, iż widział ją wchodzącą przez pani furtkę, byłby w błędzie? — popatrzył niewinnymi oczami.

— Ktoś widział ją wchodzącą do mnie? Bzdura — oświadczyła panna Waterhouse. Zawahała się. — Przynajmniej...

— Słucham? — zapytał Hardcastle czujnie.

— Przypuszczam, że mogła włożyć ulotkę albo coś podobnego przez drzwi... W porze lunchu leżała ulotka. Coś o wiecu w sprawie rozbrojenia nuklearnego. Coś takiego zdarza się codziennie. Możliwe, że przyszła tu i włożyła coś do skrzynki na listy, nie może pan winić mnie za to.

— Oczywiście nie. Teraz, co do rozmowy telefonicznej — mówiła pani, że telefon był niesprawny. Według centrali telefonicznej był w porządku.

— Centrala powie wszystko co im wygodnie! Wykręcałam numer i było słychać dziwny hałas zamiast sygnału, więc poszłam do budki.

Hardcastle wstał.

— Przykro mi, panno Waterhouse, że niepokoiłem panią, ale przypuszczamy, że ta dziewczyna przyszła odwiedzić kogoś na tej ulicy i że weszła do któregoś domu w pobliżu.

— A więc musi pan przesłuchać wszystkich w całym zaułku. Chyba najbardziej

prawdopodobne, że szła do domu obok, mam na myśli dom panny Pebmarsh.

— Dlaczego pani tak sądzi?

— Mówił pan, że była to stenotypistką z Biura Cavendish. Jeżeli dobrze pamiętam, mówiono, że w dniu kiedy zabito tamtego mężczyznę, panna Pebmarsh zamówiła do domu stenotypistkę.

— Tak istotnie mówiono, ale zaprzeczyła.

— Gdyby zapytał pan mnie — choć nikt mnie nie słucha, dopóki nie jest za późno — powiedziałabym, że jej się trochę miesza w głowie. Mam na myśli pannę Pebmarsh. Może zadzwoniła i zamówiła stenotypistkę, a potem zapomniała o tym?

— Ale nie uważa pani, że popełniła morderstwo?

— Nigdy nie sugerowałam morderstwa ani czegoś podobnego. Wiem, że w jej domu został zabity człowiek, ale ani przez moment nie sądziłam, że panna Pebmarsh ma z tym coś wspólnego. Nie. Myślałam tylko, że mogłaby mieć jakąś dziwną manię, które zdarzają się ludziom. Znałam kobietę, która miała zwyczaj dzwonić do cukierni i zamawiać tuzin bezów. Nie potrzebowała ich i kiedy je przynoszono, twierdziła, że nie zamawiała niczego. To właśnie taka historia.

— Naturalnie wszystko jest możliwe — powiedział Hardcastle. Pożegnał pannę Waterhouse i wyszedł.

Pomyślał, że nie wypadła najlepiej przez tę ostatnią sugestię. Z drugiej strony, jeśli uwierzyła, że widziano dziewczynę wchodzącą do jej domu, i że miał to być rzeczywiście dowód, rzucenie myśli, iż poszła pod numer 19, było w tych okolicznościach zřejme.

Popatrzył na zegarek i zdecydował, że zdąży jeszcze zająć się Biurem Cavendish. Miało zostać otwarte o drugiej po południu! Mógłby uzyskać pomoc od tamtejszych pracownic. I chciał znaleźć tam Sheilę Webb.

III

Gdy wszedł, jedna z dziewcząt natychmiast wstała.

— Inspektor Hardcastle? Panna Martindale spodziewa się pana.

Wprowadziła go do gabinetu. Panna Martindale nie zwlekała ani chwili z atakiem.

— To haniebna rzecz, inspektorze, absolutnie haniebna! Musicie dotrzeć do sedna tej sprawy. Musicie zrobić to natychmiast. Żadnego zwlekania. Policja ma nas chronić i tego potrzebujemy, tu w biurze. O c h r o n y. Życzę sobie ochrony dla moich dziewcząt i mam zamiar ją otrzymać.

— Jestem pewien, że...

— Zaprzeczy pan, że dwie z moich dziewcząt, dwie, zostały zaatakowane? Najwyraźniej jest jakaś niezrównoważona osoba, mająca — jak to dziś nazywają — za-

hamowanie czy kompleks na punkcie maszynistek czy sekretarek. Rozmyślnie katuja tę instytucję. Najpierw Sheila Webb została zwabiona okrutną sztuczką, żeby znaleźć zwłoki — taka rzecz mogła nerwowej dziewczynie pomieszać w głowie, a teraz ta historia. Miła, nikomu nie wadząca dziewczyna, zamordowana w budce telefonicznej. Musi pan to wyjaśnić.

— Niczego więcej nie pragnę. Przyszedłem tu dowiedzieć się, czy może mi pani pomóc.

— Pomóc! Jak mogę panu pomóc? Myśli pan, że gdyby tak było, nie pobiegłabym do pana od razu? Pan musi odkryć, kto zabił tę biedną Ednę i kto zrobił Sheili tę sztuczkę. Jestem surowa dla moich dziewcząt, pilnuję ich pracy, nie pozwalam na spóźnienia ani niedbalstwo, ale to nie znaczy, że mogą być prześladowane albo mordowane. Zamierzam ich bronić i zamierzam przekonać się, czy ludzie opłacani przez państwo za chronienie obywateli robią, co do nich należy. — Wpatrywała się w niego z wściekłością niczym tygrysica w ludzkim ciele.

— Proszę nam dać czas, panno Martindale.

— Czas? Ponieważ to niemądre dziecko nie żyje, wydaje się wam, że macie cały czas świata do dyspozycji. To, co się teraz zdarzy, to zamordowanie następnej z dziewcząt.

— Myślę, że tego nie musi się pani obawiać.

— Chyba wstając dziś rano nie spodziewał się pan zamordowania Edny. Gdyby tak było, przedsięwziąłby pan środki ostrożności i pilnował jej. A kiedy jedna z moich dziewcząt znowu zostanie zabita, albo znajdzie się w kompromitującej sytuacji, będzie pan równie zdziwiony. Cała historia jest dziwna, szalona! Musi pan przyznać, że to zwariowana intryga. Jeżeli gazety piszą prawdę, niewątpliwie tak jest. Na przykład te zegary. Zauważyłam, że dziś rano, na rozprawie, nie wspomniano o nich.

— Dziś rano mówiono tak niewiele, jak tylko można. To było jedynie odroczenie sprawy.

— Powiadam tylko — oświadczyła panna Martindale, patrząc znowu roziskrzonym wzrokiem — że musi pan coś z tym zrobić.

— I nie ma mi pani nic do powiedzenia? Edna nie zrobiła żadnej aluzji? Nie wyglądała na zaniepokojoną, nie radziła się pani?

— Nie przypuszczam żeby radziła się mnie, gdyby była niespokojna. Ale co ją miało zaniepokoić?

Na to właśnie pytanie inspektor chciał uzyskać odpowiedź, ale wiedział że wątpliwe, by uzyskał ją od panny Martindale. Powiedział więc:

— Chciałbym rozmawiać z jak największą ilością pani dziewcząt. Rozumiem, że to mało prawdopodobne, by Edna Brent zwierzała się pani ze swoich lęków czy obaw, ale mogła mówić o nich ze swoimi koleżankami.

— To dosyć możliwe. Te dziewczyny spędzają czas na plotkach. W momencie, kiedy

słysząc w korytarzu moje kroki, wszystkie maszyny zaczynają stukać. A co dzieje się przedtem? Gadają. Ple-ple-ple! — Uspokoiwszy się trochę, powiedziała: — Teraz są w biurze tylko trzy. Chce pan z nami rozmawiać? Pozostałe wyszły wykonać zlecenia. Jeśli pan chce, mogę podać panu ich nazwiska i domowe adresy.

— Dziękuję.

— Przypuszczam, że życzy pan sobie rozmawiać z nimi na osobności. Nie mówiłyby swobodnie, gdybym stała przysłuchując się. Musiałyby się przyznać, że gadają i tracą czas.

Wstała i otworzyła drzwi do pokoju biurowego.

— Dziewczeta — powiedziała. — Inspektor Hardcastle chce omówić z wami pewną sprawę. Możecie przestać pracować na chwilę. Spróbujcie opowiedzieć mu wszystko, co może mu się przydać w znalezieniu zabójcy Edny.

Wróciła do gabinetu, zamykając energicznie drzwi. Trzy przestraszone twarze dziewczęce patrzyły na inspektora. Ocenił je szybko i pobieżnie, wystarczająco jednak, by wyrobić sobie opinię o materiale, z którym miał pracować. Jasna, solidnie wyglądająca dziewczyna w okularach. Zasługująca na zaufanie, pomyślał, ale niezbyt bystra. Zawadiacka brunetka, z fryzurą nasuwającą myśl, że właścicielka ostatnio znalazła się w zamieci. Jej oczy umiały dostrzegać, ale pamięć była bardzo niepewna. Trzecia była urodzoną śmieszka, która — tego był pewien — zgodziłaby się ze wszystkim, co ktokolwiek by powiedział.

Zaczął mówić spokojnie, tonem towarzyskim.

— Myślę, że słyszałyście, co zdarzyło się Ednie Brent?

Trzy głowy przytaknęły gwałtownie.

— Nawiasem mówiąc, w jaki sposób dowiedziałyście się o tym?

Popatrzyły jedna na drugą, jakby wybierając rzeczniczkę. Zgodziły się na blondynkę, której imię brzmiało Janet.

— Edna nie zjawiała się w pracy o drugiej, jak powinna była — wyjaśniła.

— I Ruda była bardzo zła — przerwała jej nagle ciemnowłosa Maureen. — Mam na myśli pannę Martindale.

Trzecia dziewczyna zachichotała: — Nazywamy ją Ruda Kocica — wyjaśniła.

„Nieźle określenie”, pomyślał inspektor.

— Prawdziwy postrach — rzekła Maureen. — Po prostu napada na człowieka. Pytała czy Edna wspomniała którejś z nas, że nie przyjdzie do biura po południu i twierdziła, że powinna przynajmniej przysłać usprawiedliwienie.

Jasnowłosa dziewczyna kontynuowała: — Powiedziałam pannie Martindale, że była na rozprawie razem z nami, ale potem nie widziałyśmy jej i nie wiemy, dokąd poszła.

— To była prawda? — spytał inspektor. — Nie miałyście pojęcia, dokąd poszła?

— Proponowałam wspólny lunch — rzekła Maureen — ale ona zastanawiała się nad

czymś. Powiedziała, że nie chce zawracać sobie głowy lunchem. Kupi coś i zje w biurze.

— Więc zamierzała wrócić?

— Och tak, naturalnie. Wszystkie wiedziałyśmy, że wracamy.

— Zauważyłyście ostatnio jakąś zmianę u Edny? Może była niespokojna, zmartwiona? Może mówiła o tym? Jeśli wiecie coś, proszę mi powiedzieć.

Patrzyły na siebie, ale nie konspiracyjnie. Raczej usiłowały myśleć.

— Ona zawsze martwiła się czymś. Myliła się, robiła błędy. Myślała trochę za wolno.

— Zdarzały się jej różne przygody — wtrąciła chichotka. — Pamiętacie, jak kiedyś odpadł jej obcas? Właśnie takie rzeczy przytrafiały się Ednie.

— Pamiętam — rzekł Hardcastle.

Przypomniał sobie, jak dziewczyna stała smutno z bucikiem w ręce.

— Wie pan, czułam, że Ednie przydarzyło się coś strasznego, kiedy nie przysłała dziś po południu — oświadczyła Janet. Skinęła uroczyście głową.

Hardcastle spojrzał na nią z niechęcią. Nie lubił ludzi mądrych po fakcie. Był pewien, że we właściwej chwili dziewczyna niczego nie przewidziała. Raczej powiedziała: „Edna oberwie od Rudej, jak przyjdzie”.

— Kiedy usłyszałyście, co się stało? — powtórzył pytanie.

Patrzyły jedna na drugą. Śmieszka zaczerwieniła się w poczuciu winy. Strzeliła oczami w stronę gabinetu panny Martindale.

— Ja... ee... wymknęłam się na moment — powiedziała. — Chciałam kupić do domu trochę ciastek, a wiedziałam, że do czasu naszego wyjścia już ich nie będzie. Kiedy przysłam do sklepu za rogiem — znają mnie tam dobrze — sprzedawczyni zapytała: „Ona chyba pracowała z tobą, co, skarbie?” a ja zdziwiłam się „Kto taki?” a ona: „Ta dziewczyna, którą znaleźli nieżywą w budce telefonicznej”. Myślałam, że zemdleję. Popędziłam z powrotem i powiedziałam innym i w końcu uznałyśmy, że trzeba zawiadomić pannę Martindale, i właśnie wtedy wypadła jak bomba ze swego gabinetu, mówiąc: „No co się dzieje? Ani jedna maszyna nie pracuje”.

Jasnowłosa podjęła relację.

— Powiedziałam: „Naprawdę to nie nasza wina. Usłyszałyśmy okropne wiadomości o Ednie”.

— I co zrobiła panna Martindale?

— Najpierw nie uwierzyła nam — odparła brunetka. — Zawołała „Nonsens. Przyniosłyście jakieś głupie ploty ze sklepu. Musi chodzić o inną dziewczynę. Dlaczego miałyby to być Edna?” Wróciła do siebie i zadzwoniła na policję, a tam powiedzieli jej, że to prawda,

— Nie rozumiem jednak — zastanowiła się Janet — nie rozumiem, z jakiego powodu ktoś chciał zabić Ednę.

— Nie miała nawet chłopaka — zauważyła brunetka.

Wszystkie trzy patrzyły na inspektora z nadzieją, jakby mógł rozstrzygnąć ten problem. Hardcastle westchnął. Nic tu po nim. Może któraś z pozostałych dziewcząt pomoże. No i była jeszcze Sheila Webb.

— Czy Sheila Webb i Edna bardzo się przyjaźniły?

Popatrzyły na siebie niepewnie.

— Chyba nie.

— Nawiasem mówiąc, gdzie jest panna Webb?

Powiedziano mu, że w hotelu „Curlew” pracuje dla profesora Purdy’ego.

Rozdział dziewiętnasty

Głos profesora Purdy'ego pobrzmiwał irytacją, kiedy przerwał dyktowanie, aby odebrać telefon.

— Kto? Co? Chce pan powiedzieć, że jest tutaj w tej chwili? Proszę go spytać czy jutro... Och dobrze, dobrze... Proszę mu powiedzieć, żeby wszedł.

— Zawsze coś się zdarza — rzekł ze złością. — Jak można pracować poważnie, kiedy wciąż przeszkadzają. — Spojrzał z łagodną irytacją na Sheilę Webb. — Gdzie jesteśmy, moja droga?

Sheila nie odpowiedziała, gdyż rozległo się pukanie do drzwi. Profesor Purdy odebrał się z trudem od kłopotów z chronologią przed trzema tysiącami lat.

— Słucham? — zapytał gniewnie. — Proszę wejść, co się stało? Mówiłem wyraźnie, żeby dziś po południu mi nie przeszkadzać.

— Ogromnie mi przykro, sir, naprawdę ogromnie przykro, ale to jest konieczne. Dobry wieczór, panno Webb.

Sheila podniosła się, odkładając notatnik. Inspektor zastanawiał się, czy w jej oczach naprawdę pojawił się nagły lęk.

— No, o co chodzi? — spytał znów szorstko profesor.

— Jestem inspektor Hardcastle, co panna Webb może potwierdzić.

— Dobrze — rzekł profesor. — Dobrze.

— Chciałbym zamienić parę słów z panną Webb.

— Nie może pan poczekać? To naprawdę bardzo niefortunny moment. Fatalny. Byliśmy właśnie w krytycznym punkcie. Panna Webb będzie wolna za kwadrans — no, może za pół godziny. Coś koło tego. Och, już jest szósta?

— Bardzo mi przykro, profesorze — inspektor był stanowczy.

— No dobrze już, dobrze. Co to jest? Wykroczenie drogowe? Jacy natrętni są ci drogowcy. Jeden utrzymywał, że zostawiłem samochód przy parkingowym liczniku na cztery i pół godziny. Jestem pewny, że to niemożliwe.

— To poważniejsza sprawa niż przekroczenie drogowe.

— No tak, tak. I pani nie ma samochodu, prawda, moje dziecko? — popatrzył niezdeterminowanie na Sheilę. — Tak, pamiętam, przyjechała pani autobusem. Więc, inspektorze, o co chodzi?

— Chodzi o dziewczynę, która nazywa się Edna Brent. — Zwrócił się do Sheili.

— Spodziewam się, że już pani wie.

Patrzyła na niego. Piękne oczy. Jak bławatki. Oczy kogoś mu przypominające.

— Edna Brent, powiada pan? — podniosła brwi. — O tak, oczywiście znam ją. Co się stało?

— Widzę, że nowiny jeszcze nie dotarły do pani. Gdzie jadła pani lunch?

Zarumieniła się.

— Jadłam lunch z kimś z przyjaciół w restauracji „Ho Tung”, jeżeli... jeżeli to pańska sprawa.

— Nie poszła pani potem do biura?

— Ma pan na myśli Biuro Cavendish? Zadzwońłam tam i powiedziano mi, że mam jechać prosto do profesora na pół do trzeciej.

— Tak jest — potwierdził profesor kiwając głową. — Pół do trzeciej. I od tego czasu pracowaliśmy. Od tego czasu. O Boże, powinienem zamówić herbatę. Strasznie mi przykro, panno Webb. Boję się, że straciła pani podwieczorek. Trzeba mi było przypomnieć.

— Ależ nie szkodzi, panie profesorze, nie szkodzi.

— Straszne zaniedbanie z mojej strony, okropne. Ale zaraz. Nie powinienem przerywać, ponieważ inspektor chce zadać pani parę pytań.

— Więc nie wie pani co się zdarzyło Ednie?

— Co się zdarzyło? — spytała gwałtownie Sheila, podnosząc głos. — Co się jej stało? Co pan ma na myśli? Miała wypadek... została przejechana?

— Bardzo niebezpieczna rzecz ta szybka jazda — wtrącił profesor.

— Tak. Coś się jej stało — przerwał inspektor, a potem oznajmił z całą brutalnością: — Została uduszona w budce telefonicznej, o pół do pierwszej.

— W budce telefonicznej? — profesor stanął na wysokości zadania, wykazując pewne zainteresowanie współczesnością.

Sheila Webb nie powiedziała nic. Wpatrywała się w niego. Jej usta otworzyły się lekko, oczy rozszerzyły. „Albo usłyszała to po raz pierwszy, albo jest cholernie dobrą aktorką”, pomyślał Hardcastle.

— O mój Boże — powiedział profesor. — Uduszona w budce telefonicznej. Niesamowite. Zdumiewające. To nie jest miejsce, które bym wybrał. To znaczy, gdybym miał zrobić coś takiego. W żadnym razie. No, no. Biedna dziewczyna. Miała pecha.

— Edna zabita! Ale dlaczego?

— Czy pani wie, panno Webb, że Edna przedwczoraj bardzo chciała zobaczyć się z panią, że poszła do domu pani ciotki, i czekała tam na panią jakiś czas?

— I znowu moja wina — wtrącił profesor ze skruchą. — Pamiętam, że zatrzymałem pannę Webb tego wieczoru do późna. Naprawdę do późna. Jeszcze mam wyrzuty sumienia z tego powodu. Musi mi pani przypominać o godzinie, moje dziecko. Koniecznie.

— Ciotka powiedziała mi o tym, ale nie wiedziałam, że to coś ważnego. To było takie istotne? Edna miała jakieś kłopoty?

— Nie wiemy — odparł inspektor. — Zapewne nigdy się nie dowiemy. Chyba, że pani może nas poinformować?

Potrząsnęła głową. — Nie mam pojęcia.

— Kiedy rozmawialiście w biurze, nie wspominała o jakimś zmartwieniu?

— Nie. Naprawdę nie. Ja... ja wcale nie byłam wczoraj w biurze. Pojechałam na cały dzień do Landis Bay, do jednego z naszych autorów.

— Nie sądzi pani, że Edna była ostatnio zaniepokojona?

— Ona zawsze wydawała się zaniepokojona albo zakłopotana. Była bardzo nieśmiała — nie wierzyła we własne siły. Nigdy nie wiedziała, czy postępuje właściwie. Kiedyś przepisując książkę Armanda Levine'a opuściła dwie strony i była, bardzo zdenerwowana, ponieważ odesłała mu ją przed odkryciem omyłki.

— Rozumiem. I poprosiła panią o radę, co z tym począć?

— Tak. A ja poradziłam jej, żeby napisała do niego szybko, gdyż autorzy nie zawsze robią natychmiast korektę. Mogłaby napisać do niego i prosić, by nie poskarżył się panie Martindale. Ale Edna nie chciała tego zrobić.

— Zwykle mając problemy prosiła panią o radę?

— O tak, zawsze. Kłopot polegał na tym, że nie zgadzałyśmy się co do sposobu postępowania. Wtedy łamała sobie głowę nadal.

— A więc było naturalne, że zwróciła się do pani, mając zmartwienie? Zdarzało się to często?

— Tak.

— Myśli pani, że tym razem sprawa mogła być poważniejsza?

— Chyba nie. Co to mogło być?

Inspektor zastanowił się, czy Sheila naprawdę była tak spokojna, jak się to wydawało.

— Nie wiem, o czym chciała ze mną mówić — ciągnęła coraz szybciej, prawie bez tchu. — Nie mam pojęcia. A już na pewno nie wiem, czemu przyszła do mojej ciotki i zamierzała rozmawiać ze mną właśnie tam.

— Nie wydaje się pani, że nie chciała o tym mówić w biurze? Może to miało zostać tylko między panią a nią?

— To bardzo mało prawdopodobne. Jestem przekonana, że to nic w tym rodzaju

— oddychała szybciej.

— Więc nie potrafi mi pani pomóc?

— Nie. Przykro mi. Naprawdę żal mi Edny, ale nie wiem o niczym, co mogłoby się panu przydać.

— O niczym, co mogłoby się wiązać ze zdarzeniem z dziewiątego września?

— Myśli pan... o tym człowieku... o tym człowieku na Wilbraham Crescent?

— Właśnie o tym myślę.

— Ale dlaczego? Co Edna mogła wiedzieć o tej sprawie?

— Może nic ważnego — odparł inspektor — ale jednak coś, co mogłoby pomóc. Choćby drobiazg. Budka, w której została zabita, stoi na Wilbraham Crescent. Czy to pani coś mówi?

— Zupełnie nic.

— Była pani dziś na Wilbraham Crescent?

— Nie byłam — powiedziała gwałtownie. — Nie byłam nawet w pobliżu. Czuję, że to okropne miejsce. Pragnęłabym nigdy nie być tam, nie zostać wmieszana w tę sprawę. Czemu wysłali mnie tam, zamówili specjalnie? Dlaczego Edna została zabita w pobliżu? Musi pan to wyjaśnić, musi pan, koniecznie!

— Zamierzamy to zrobić — odparł inspektor. W jego głosie zabrzmiała groźba, kiedy zakończył: — Mogę panią o tym zapewnić.

— Pani drży, moje dziecko — powiedział profesor. — Sądzę, że powinna pani wypić kieliszek sherry.

Rozdział dwudziesty

Relacja Colina Lamba

Zaraz po przyjeździe do Londynu zgłosiłem się do Becka. Machnął ku mnie swoim cygarem:

— A jednak może coś być w tym twoim idiotycznym pomysle z zaułkami.

— Trafiłem w końcu na coś?

— To za dużo powiedziane, ale mogłeś trafić. Nasz konstruktor, pan Ramsay z Wilbraham Crescent 62, nie jest tym, za kogo chce uchodzić. Przyjął ostatnio kilka ciekawych zleceń. Autentyczne firmy, ale bez przeszłości, a raczej z przeszłością bardzo podejrzaną. Ramsay wyjechał spieszenie około pięciu tygodni temu do Rumunii.

— Żonie powiedział co innego.

— Możliwe, ale tam właśnie pojechał. I tam przebywa w tej chwili. Chcielibyśmy dowiedzieć się o nim trochę więcej. Wiec możesz zbierać manatki i wyruszać. Masz wszystkie wizy i nowiutki paszport. Tym razem nazywasz się Nigel Trench. Musisz odświeżyć swoją wiedzę o rzadkich roślinach na Bałkanach. Jesteś botanikiem.

— Jakies specjalne instrukcje?

— Nie. Kontakt podamy ci, kiedy zabierzesz papiery. Dowiedz się wszystkiego o naszym panu Ramsayu. — Popatrzył na mnie bystro: — Nie wyglądasz na zbyt ucieszonogo — przyglądał mi się badawczo przez dym z cygara.

— To zawsze przyjemne, kiedy przeczucia się spełniają — odparłem wymijająco.

— Właściwy zaułek, zły numer. 61 jest zamieszkanym przez zupełnie niewinnego przedsiębiorcę budowlanego. Niewinnego w naszym pojęciu. Biedny, stary Hanbury dostał niewłaściwy numer, ale nie był daleko.

— Sprawdziliście innych? Czy tylko Ramsaya?

— Diana Lodge wydaje się tak czysta jak sama Diana. Długa historia kotów. McNaughton trochę bardziej zajmujący. Jak wiesz, jest profesorem na emeryturze. Matematyk. I to znakomity. Zrezygnował z katedry niespodziewanie, ze względu na zły

stan zdrowia. Może to i prawda, ale wygląda zupełnie czerstwo i zdrowo. Zerwał też chyba ze wszystkimi starymi przyjaciółmi, co jest dość dziwne.

— Problem w tym, że gdy zaczynamy myśleć o kimkolwiek, każdy wydaje się bardzo podejrzany.

— Mam nadzieję, że znajdziesz tam coś — powiedział pułkownik Beck. — Są takie chwile, że podejrzewam cię i e, Colinie, o przejście na drugą stronę. Są też takie, że podejrzewam samego siebie że pracuję dla nich, a potem znowu dla nas! Wszystko to jest wesołym galimatiasem.

Mój samolot odlatywał o dziesiątej wieczorem. Poszedłem odwiedzić Herkulesa Poirot. Tym razem pił *sirop de cassis* (dla nas to po prostu czarna porzeczka). Zaproponował mi filiżankę. Odmówiłem. George przyniósł mi whisky, jak zwykle.

— Wyglądasz na przygnębionego — zauważył Poirot.

— Wcale nie. Wyjeżdżam za granicę.

Popatrzył na mnie. Skinąłem głową.

— Więc to tak?

— Tak, istotnie.

— Życzę ci sukcesu.

— Dziękuję. A co z tobą? Jak ci idzie praca domowa?

— *Pardon?*

— Co słyhać z Zegarowym Morderstwem w Crowdean? Usiadłeś wygodnie, zamknąłeś oczy i uzyskałeś odpowiedź?

— Przeczytałem z wielkim zainteresowaniem notatki, które mi zostawiłeś.

— Nie znalazłeś tam wiele? Mówiłem ci, że z sąsiadami była kłapa...

— Przeciwnie. Przynajmniej dwoje z tych ludzi zrobiło bardzo pouczające uwagi.

— Którzy z nich? I jakie uwagi?

Poirot oznajmił w irytujący sposób, że muszę ponownie odczytać moje notatki.

— Zobaczysz wtedy sam... To się rzuca w oczy. Kolejna rzecz do zrobienia, to porozmawiać z następnymi sąsiadami.

— Nie ma więcej sąsiadów.

— Muszą być. Ktoś zawsze coś widział. To pewnik.

— Może być pewnik, ale nie w tym przypadku. Mam dla ciebie dalsze nowiny. Zdarzyło się następne morderstwo.

— Coś podobnego! Tak szybko? To ciekawe. Opowiedz mi.

Opowiedziałem. Wypytywał mnie dokładnie, aż wydobył każdy szczegół. Wspominałem o pocztówce, którą przekazałem Dickowi.

— Pamiętaj, cztery jeden trzy, albo czwarta trzynastie — powtórzył. — Tak, to ten sam schemat.

— Co masz na myśli?

Poirot zamknął oczy.

— Tej pocztówce brakuje tylko jednego: odcisków palców umoczonych we krwi.

Popatrzyłem na niego z powątpiewaniem.

— Co ty naprawdę myślisz o tej całej historii?

— Staje się coraz jaśniejsza. Jak zwykle, morderca nie może się uspokoić.

— Ale kto jest tym mordercą?

Poirot chytrze nie odpowiedział.

— Pozwolisz, abym podczas twojej nieobecności powęszył trochę?

— Za czym?

— Jutro polecę pannie Lemon napisać list do mojego przyjaciela, starego prawnika, pana Enderby. Poproszę ją też, by sprawdziła metryki ślubu w Somerset House. Wyślę także parę zagranicznych depesz.

— Nie jestem pewien, czy to jest fair — sprzeciwiłem się. — Miałeś tylko siedzieć i myśleć.

— Właśnie to robię! Panna Lemon jedynie sprawdza odpowiedzi, których sobie już udzieliłem. Proszę nie o informacje, ale o potwierdzenie.

— Nie wierzę, że wiesz cokolwiek, Poirot! To wszystko blef. Nikt jeszcze nie wie nawet, kim jest zamordowany...

— Ja wiem.

— Jak się nazywa!?

— Nie mam pojęcia. Jego nazwisko nie jest ważne. Jeżeli potrafisz zrozumieć, to wiem nie kto to jest, lecz kim jest.

— Szantażysta?

Poirot przymknął oczy.

— Prywatny detektyw?

Poirot otworzył oczy.

— Coś ci zacytuję, tak, jak zrobiłem to ostatnio. A potem nie powiem nic więcej.

I wyrecytował wręcz uroczyście: „Dzyń, dzyń, dzyń — przyjdź i zgiń”.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Inspektor Hardcastle spojrział na kalendarz na biurku. Dwudziesty wrzeźnia. Minęło dziesięć dni. Nie zrobili tak dużych postępów, jakby sobie życzył, ponieważ wciąż nie byli w stanie pokonać podstawowej przeszkody, jaką stanowiła identyfikacja zwłok. Zabrało to więcej czasu, niż się spodziewał. Wszystkie tropy prowadziły donikąd. Badanie laboratoryjne ubrania nie przyniosło nawet minimum pożytku. Sama odzież nie dawała żadnych wskazówek. Były to rzeczy w dobrym gatunku, eksportowe, nie nowe, ale i nie znoszone. Nie pomógł dentysta, pralnie, ani pralnie chemiczne. Martwy mężczyzna pozostał „tajemniczym człowiekiem”. Nie było w tym nic spektakularnego czy dramatycznego. Był po prostu człowiekiem, którego nikt nie potrafił rozpoznać. Taki był punkt wyjścia. Hardcastle westchnął na myśl o telefonach i listach, które, rzecz jasna, napłynęły po ukazaniu się w prasie zdjęcia z podpisem: CZY ZNASZ TEGO MĘŻCZYZNĘ? Zdumiewająca ilość ludzi odpowiedziała pozytywnie. Córki piszące w nadziei, że rozpoznały ojca, z którym były poróżnione od lat. Dziewięćdziesięcioletnia kobieta przekonana, że to jej syn, który wyszedł z domu przed trzydziestu laty. Niezliczona ilość żon, pewnych, że fotografia przedstawia zaginionego męża. Siostry nie były tak uparte. Może miały mniej nadziei. I, oczywiście, ogromna liczba ludzi, którzy widzieli tego człowieka w Lincolnshire, Devonie, Londynie, metro, w autobusie, czającego się na przystanku, patrzącego ponuro na rogu ulicy, próbującego ukryć twarz przy wychodzeniu z kina. Setki ścieżek, z których najbardziej obiecujące sprawdzono i okazało się, że prowadzą donikąd.

Dziś jednak inspektor miał trochę więcej nadziei. Spojrział znowu na list leżący na biurku. Merlina Rival. Imię nie podobało mu się. Nikt o zdrowych zmysłach nie mógł ochrzcić dziecka imieniem Merlina. Bez wątpienia było to imię przybrane przez nadawczynię. Natomiast list zrobił na nim dobre wrażenie. Nie był ekstrawagancki ani poufality. Zwyczajnie mówił, że pisząca uważa za możliwe, iż mężczyzna jest jej mężem, z którym rozstała się kilka lat temu. Miała przyjść tego ranka. Nacisnął guzik i sierżant Cray

stanął w drzwiach.

— Pani Rival jeszcze nie przyszła?

— Właśnie weszła. Miałem pana zawiadomić.

— Jak wygląda?

— Trochę teatralnie — odparł Cray po zastanowieniu. — Mocny makijaż i to nie w najlepszym stylu. Ale raczej solidna kobieta.

— Zdenerwowana?

— Nie. Przynajmniej nie widać.

— Dobrze. Niech wejdzie.

Cray wyszedł i zaraz wrócił, mówiąc: — Pani Rival, sir.

Inspektor wstał i podał jej rękę. Około pięćdziesiątki na pierwszy rzut oka — ocenił; z bardzo daleka mogła wyglądać na trzydziestkę. Z bliska na więcej niż pięćdziesiąt lat, w wyniku niedbałego makijażu. Ciemne farbowane włosy. Bez kapelusza, średniej wagi i budowy, nosiła ciemny płaszcz i takąż spódniczkę oraz białą bluzkę. Trzymała wielką, kraciastą torbę. Brzęcząca bransoleta i jeden czy dwa pierścionki. Kierując się bogatym doświadczeniem, Hardcastle zakwalifikował ją do kategorii „dość przyzwoita”. Zapewne nie nadmiernie skrupulatna, łatwa w pożyciu, dosyć hojna, raczej sympatyczna. Solidna? Oto pytanie. Nie liczył na to, ale też nie powinien był liczyć.

— Miło mi panią poznać — powiedział — i mam nadzieję, że będzie pani w stanie nam pomóc.

— Oczywiście wcale nie jestem tego pewna — odrzekła przepaszająco. — Wygląda jednak całkiem jak Harry. Bardzo podobny. Jestem przygotowana na przegraną i mam nadzieję, że nie zabiorę wiele pańskiego czasu.

Wydawała się skruszona z tego powodu.

— Nie musi się pani przejmować. Bardzo potrzebujemy pomocy w tej sprawie.

— Rozumiem. Mam nadzieję, że będę mogła mieć pewność. Dużo czasu upłynęło, od kiedy go widziałam.

— Możemy ustalić kilka faktów? Kiedy zatem widziała pani męża po raz ostatni?

— Cały czas w pociągu próbowałam uzmysłwić to sobie dokładnie. Okropne, jak uciekają i mylą się wspomnienia. Pisałam w liście, że to było około dziesięciu lat temu, ale pewnie jeszcze dawniej. Myślę, że bliżej piętnastu. Czas płynie tak szybko. Przypuszczam, że człowiek ma skłonność do skracania okresów, ponieważ to odmładza? Nie sądzi pan?

— To możliwe — odparł inspektor. — W każdym razie uważa pani, że od ostatniego waszego spotkania minęło z grubsza piętnaście lat.. Kiedy się pobraliście?

— To musiało być jakieś trzy lata wcześniej.

— Gdzie państwo mieszkali?

— W miejscowości Shipton Bois, w Suffolk. Miłe, handlowe miasteczko. Dosyć bied-

ne, jeśli wie pan, co mam na myśli.

— Co robił pani mąż?

— Był agentem ubezpieczeniowym. Przynajmniej... — przerwała — tak mówił.

Inspektor spojrzał bacznie.

— Wykryła pani, że to nieprawda?

— Nie od razu. Po pewnym czasie zaczęłam podejrzewać, że być może nie jest tym, za kogo się podaje. Mężczyźni łatwo jest udawać różne rzeczy.

— Sądzę, że w pewnych okolicznościach to rzeczywiście łatwe.

— Daje to pretekst, aby być dużo poza domem.

— A pani mąż bywał w domu mało?

— Tak. Początkowo nie zastanawiałam się nad tym...

— A później?

Nie odpowiedziała natychmiast. Po chwili rzekła:

— Możemy to załatwić? Mimo wszystko, jeśli to nie Harry...

Był ciekaw, co miała na myśli. W jej głosie wyczuwało się napięcie, jakąś emocję? Nie był pewien.

— Rozumiem, że chciałaby pani mieć to za sobą. Idziemy.

Wstał i poprowadził ją do czekającego samochodu. Kiedy dotarli na miejsce, nie była bardziej zdenerwowana niż inni ludzie w tej sytuacji. Powiedział zwykłą uspokajającą formułkę:

— Wszystko będzie dobrze. To nic strasznego. Potrwa tylko chwilę.

Szuflada została wysunięta, asystent zdjął prześcieradło. Kobieta przyglądała się chwilę, oddychając szybciej. Westchnęła cicho, potem odwróciła się nagle i oświadczyła:

— To jest Harry. Tak. Jest znacznie starszy, wygląda inaczej... Jednak to on.

Inspektor skinął asystentowi, ujął kobietę pod ramię i zabrał do samochodu. Wrócili do komisariatu. Inspektor milczał. Pozwolił jej przyjść do siebie. Gdy weszli do pokoju, natychmiast zjawił się policjant z tacą.

— Proszę bardzo, pani Rival. Proszę wypić filiżankę herbaty, to pozwoli pani otrząsnąć się. Potem porozmawiamy.

— Dziękuję.

Posłodziła obficie herbatę i wypila szybko.

— Już lepiej — powiedziała. — To naprawdę nic takiego. Tylko... Tylko robi się troszkę mdło.

— Twierdzi pani stanowczo, że to pani mąż?

— Jestem tego pewna. Oczywiście postarzał się, ale nie zmienił aż tak bardzo. Zawsze wyglądał bardzo elegancko. Przystojny, wie pan, z klasą.

Tak, pomyślał Hardcastle, to niezły opis. Zapewne Harry zdawał się należeć do lepszej sfery, niż to istotnie było. Niektórzy mężczyźni mają taką prezencję i to pomaga im

w osiągnięciu celów.

Pani Rival potwierdziła to: — Zawsze był bardzo wybredny na punkcie ubrania. Dlatego wpadały tak łatwo. Nigdy nie podejrzewały niczego.

— Kto wpadał? — zapytał łagodnie inspektor.

— Kobiety — odparła. — Kobiety. Właśnie to zajmowało mu większość czasu.

— Rozumiem. I pani dowiedziała się o tym.

— Ja... ja podejrzewałam. To znaczy, on bywał dużo poza domem. Wiedziałam, jacy są mężczyźni. Myślałam, że od czasu do czasu jest jakaś dziewczyna. Niedobrze jest pytać mężów o te sprawy. Zaczynają kłamać. Ale nie przypuszczałam, naprawdę nie przypuszczałam, że zrobił z tego interes.

— A zrobił?

Skinęła głową. — Uważam, że tak było.

— Jak pani to wykryła?

— Wrócił pewnego dnia z podróży, rzekomo do Newcastle. W każdym razie wrócił i oświadczył, że musi się szybko zmywać. Powiedział, że wpadł. Jakaś kobieta była przez niego w kłopotach. Nauczycielka. Mogły być nieprzyjemności. Poprosiłam go o wyjaśnienia. Nie chciał mówić. Pewnie myślał, że wiem więcej niż naprawdę wiedziałam. Podrywał kobiety dosyć łatwo. Dawał im pierścionek i mówił że są zaręczeni, a potem proponował, że zainwestuje ich pieniądze. Zwykle wręczały mu je bez trudności.

— Z panią próbował tego samego?

— Tak, ale nie dałam mu gotówki.

— Dlaczego? Nie wierzyła mu pani już wtedy?

— Jestem taka, że nie wierzę nikomu. Miałam trochę doświadczeń z mężczyznami i znałam odwrotną stronę medalu. Tak czy owak nie chciałam, by lokował moje pieniądze. Mogłam inwestować sama. Zawsze trzymaj rękę na forsie, a będziesz ją miał! Widziałam zbyt wiele kobiet wystrychniętych na dudka.

— Kiedy chciał lokować pani pieniądze? Przed ślubem czy po?

— Wydaje mi się, że proponował mi wcześniej, a kiedy nie zareagowałam, porzucił natychmiast temat. Po ślubie powiedział mi o pewnej cudownej okazji, która się trafiła. „Nic z tego” — odpowiedziałam. I to nie tylko dlatego, że mu nie wierzyłam, lecz słyszałam, jak mężczyźni mówili o cudownych interesach, a potem okazywało się, że zrobili z siebie durniów.

— Czy mąż miał kłopoty z policją?

— Nie ma obawy. Kobiety nie lubią, kiedy świat dowiadyje się o ich naiwności. Ale tym razem sprawy potoczyły się inaczej. Ta dziewczyna czy kobieta była osobą wykształconą. Nie dała się tak łatwo zwieść jak inne.

— Była w ciąży?

— Tak.

- Czy zdarzało się to również przedtem?
- Sądzę, że tak. Szczerze mówiąc, nie wiem, co go skłoniło do tego procederu. Czy chodziło tylko o pieniądze, o sposób zarabiania na życie, czy też był mężczyzną, który musi mieć kobiety i uważał, że powinny płacić za jego zabawę.
- Hardcastle zapytał łagodnie:
- Kochała go pani?
- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Wydaje mi się, że tak, w przeciwnym razie nie wyszłabym za niego...
- A była pani — proszę mi darować — była pani jego żoną?
- Nawet tego nie jestem pewna — odparła pani Rival szczerze. — Wzięliśmy ślub, jak trzeba. W kościele również, ale nie wiem czy nie żenił się też z innymi kobietami pod innym nazwiskiem. Kiedy wychodziłam za niego, nazywał się Castleton. Nie sądzą, że to jego własne nazwisko.
- Harry Castleton. Tak?
- Tak.
- I mieszkała pani jako żona tego człowieka w Shipton Bois. Jak długo?
- Żyliśmy tam około dwóch lat. Przedtem krótko koło Doncaster. Nie powiem, że bym była bardzo zaskoczona, kiedy pewnego dnia przyszedł i opowiedział mi tę historię. Już od pewnego czasu zdawałam sobie sprawę, że on nie jest w porządku, ale trudno było w to uwierzyć, ponieważ zawsze wyglądał tak nobliwie. Absolutny dżentelmen!
- I co zdarzyło się potem?
- No właśnie, tamtego dnia oświadczył, że musi szybko zwiewać, a ja na to, że chwala Bogu, i że nie chcę tolerować czegoś takiego! — Zadumała się: — Dałam mu dziesięć funtów, wszystko, co miałam w domu. Powiedział, że jest spłukany... Nie widziałam go więcej, ani nie słyszałam o nim. Aż do dzisiaj. A raczej aż do dnia, kiedy ujrzałam w gazecie jego zdjęcie.
- Miał znaki szczególne? Blizny? Ślady po operacjach, złamaniach czy coś w tym rodzaju?
- Potrząsnęła głową.
- Chyba nie.
- Używał kiedykolwiek nazwiska Curry?
- Curry? Nie sądzą. W każdym razie nic mi nie wiadomo.
- Hardcastle podał jej wizytówkę.
- Była w jego kieszeni.
- Widzę, że wciąż podawał się za agenta ubezpieczeniowego — zauważyła.
- Przypuszczam, że używa, to znaczy używał, wielu nazwisk.
- Nigdy nie słyszała pani o nim przez ostatnie piętnaście lat?

— Nie przysłał mi nawet życzeń świątecznych — oświadczyła pani Rival z nagłym błyskiem humoru. — Myślę, że nie wiedział, gdzie jestem. Po naszym rozstaniu wróciłam na jakiś czas na scenę. Przeważnie byłam na *tournee*. To nie było dobre życie. Porzuciłam nazwisko Castleton i wróciłam do Merliny Rival.

— Merlina... ee... to nie jest pani prawdziwe imię?

Potrząsnęła głową, uśmiechając się lekko.

— Wymyśliłam je. Jest niezwykle. Naprawdę nazywam się Flossie Gapp. Pewnie ochrzczono mnie Florence, ale wszyscy zawsze nazywali mnie Flossie albo Flo. Flossie Gapp. Niezbyt romantycznie, co?

— Co pani robi teraz? Gra pani jeszcze?

— Rzadko — odparła powściągliwie pani Rival. — Sporadycznie.

Hardcastle był taktowny.

— Rozumiem.

— Zajmuję się różnymi rzeczami — powiedziała. — Pomagam w urządzaniu przyjęć, jestem hostessą. To nie jest złe życie. W każdym razie spotyka się ludzi. Od czasu do czasu bywa ciężko.

— Więc nie słyszała pani o Harrym Castletonie, od kiedy rozstaliście się.

— Ani słowa. Sądziłam, że wyjechał za granicę albo nie żyje.

— Chcę panią zapytać jeszcze o jedno. Czy nie przychodzi pani do głowy, po co Castleton poszedł na Wilbraham Crescent?

— Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, co robił przez te lata.

— Czy możliwe, że sprzedawał fałszywe polisy, albo coś w tym rodzaju?

— Po prostu nie wiem. Nie wydaje mi się to prawdopodobne. Harry był zawsze bardzo ostrożny. Nie zaryzykowałby, żeby potem być notowanym. To raczej jakaś afera z kobietami.

— Jak pani myśli, może to szantaż?

— Cóż, nie wiem... Możliwe. Niektóre kobiety nie chcą odgrzebywać czegoś ze swojej przeszłości. On czułby się dobrze na tym gruncie. Nie twierdzę, że tak było, ale mogło być. Nie żądałby dużo pieniędzy. Nie chciałby doprowadzić nikogo do rozpacz, ale mógłby zainkasować małą sumkę. — Skinęła głową. — Tak.

— Kobiety go lubiły?

— Tak. Zawsze łatwo traciły dla niego głowę. Przede wszystkim dlatego, że wyglądał tak godnie i z klasą. Były dumne dokonując takiego podboju. Widziały przyjemną, bezpieczną przyszłość z nim. Sama tak czułam — dodała szczerze.

— Jest jeszcze jeden mały punkt. — Hardcastle zwrócił się do podwładnego. — Daj te zegary.

Wniesiono na tacy, przykryte serwetą. Inspektor zdjął przykrycie i zaprezentował kolekcję pani Rival. Obejrzała je z zainteresowaniem i aprobatą.

— Ładne, prawda? Ten mi się podoba — wskazała połączony zegar.

— Nie widziała pani kiedyś żadnego z nich? Nie przypominają pani czegoś?

— Nie. A powinny?

— Nie znajduje pani jakiegoś związku między pani mężem a imieniem Rosemary?

— Rosemary? Zaraz. Była taka ruda — nie, nazywała się Rosalie. Obawiam się, że nie mogę przypomnieć sobie nikogo. Ale mogę nie wiedzieć. Harry był w swoich sprawach dyskretny.

— Gdyby zobaczyła pani zegar wskazujący czwartą trzynastą... — Hardcastle przerwał, bo pani Rival zachichotała:

— Pomyślałabym, że pora na herbatę.

Inspektor westchnął.

— Jesteśmy pani bardzo wdzięczni, pani Rival. Jak mówiłem, odroczone rozprawa odbędzie się pojutrze. Zechce pani dokonać identyfikacji?

— Tak. Oczywiście. Mam powiedzieć, kim on jest? Nie muszę wdawać się w szczegóły? W jego tryb życia?

— Nie, to nie będzie potrzebne. Wszystko, na co musi pani przysiąc, to że ten człowiek jest Harrym Castletonem, pani mężem. Dokładna data ślubu będzie w metryce. Gdzie braliście ślub? Pamięta pani?

— W miejscowości Donbrook, w kościele Świętego Michała. Mam nadzieję, że to nie było dawniej niż dwadzieścia lat temu. Czuję się, jakbym była jedną nogą w grobie.

Wstała i wyciągnęła rękę. Hardcastle pożegnał ją. Wrócił do biurka i siedział stukając ołówkiem. Niebawem wszedł sierżant Cray.

— Zadowolony pan? — zapytał.

— Chyba tak — odparł inspektor. — Nazywa się Harry Castleton. Możliwe, że to pseudonim. Musimy spróbować znaleźć więcej informacji o tym facecie. Możliwe, że jest kilka kobiet, które chciałyby się na nim zemścić.

— A wyglądał tak nobliwie — rzekł Cray.

— To jego główny towar — odparł inspektor.

Pomyślał jeszcze raz o zegarze z napisem Rosemary. Wspomnienie?

Rozdział dwudziesty drugi

Relacja Colina Lamba

I

— A więc wróciłeś — przywitał mnie Poirot.

Starannie założył książkę zakładką. Tym razem obok niego stała filiżanka gorącej czekolady. Na pewno miał najokropniejszy gust, jeśli chodzi o napoje! Przynajmniej raz nie należał, abym mu towarzyszył.

— Jak się masz? — spytałem.

— Jestem zaniepokojony. Bardzo zaniepokojony. W tych mieszkaniach robią renowację, zmianę wnętrza, przebudowę.

— Ależ to poprawi ich standard!

— Owszem, ale spowoduje mnóstwo utrapień dla mnie. Wszystko będzie zdezorganizowane. A zapach farby! — patrzył na mnie z oburzeniem.

Potem, usuwając trudy remontu skinieniem ręki, zapytał:

— Odniosłeś sukces?

Odpowiedziałem powoli: — Nie wiem.

— Ach, więc to tak.

— Odkryłem to, po co zostałem wysłany. Nie znalazłem samego człowieka. Właściwie nie wiem, czego ode mnie chciano, informacji? A może zwłok?

— Skoro mowa o zwłokach: czytałem sprawozdanie z odroczonej rozprawy w Crowdean. Morderstwo z premedytacją popełnione przez osobę lub osoby nieznane. A twoje zwłoki mają nareszcie nazwisko.

Przytaknąłem.

— Harry Castleton, kimkolwiek jest.

— Zidentyfikowany przez żonę. Byłeś w Crowdean?

— Jeszcze nie. Zamierzam pojechać jutro.

— Och, masz wolny czas?

— Nie. Wciąż pracuję. To moja praca wiedzie mnie tam... — Przerwałem na chwilę, a potem powiedziałem: — Nie wiem zbyt wiele o tym, co się zdarzyło kiedy byłem za granicą, tyle tylko, że była identyfikacja. Co myślisz o tym?

Poirot wzruszył ramionami.

— Spodziewałem się tego.

— Tak, policja dobrze się spisala.

— A żony są bardzo uprzejme.

— Pani Merlina Rival! Co za imię!

— To mi coś przypomina — rzekł Poirot. — Zaraz, co to było?

Patrzył na mnie z namysłem, ale nie mogłem mu pomóc.

— Wizyta w domu przyjaciela na wsi... — zastanawiał się, potem potrząsnął głową.

— Nie, to zbyt dawno.

— Kiedy wrócę do Londynu, przyjdę i opowiem ci wszystko, co Hardcastle wyszukał na temat pani Rival — obiecałem.

Poirot machnął ręką: — To nie jest konieczne.

— Uważasz, że wiesz o niej wszystko, choć ci nic nie mówiono?

— Nie. Chcę powiedzieć, że mnie to nie interesuje.

— Nie interesuje... ale dlaczego? Nie pojmuję.

— Trzeba skupić się na sprawach zasadniczych. Mów mi o tej Ednie, którą zabito w budce telefonicznej.

— Nie potrafię powiedzieć ci więcej niż do tej pory. Nie wiem o niej nic.

— Więc wszystko, co wiesz — rzekł Poirot oskarżycielskim tonem — to informacja, że dziewczyna była jak biedny królik, że widziałeś ją w biurze, trzymającą obcas urwany na kracie... gdzie była ta kratka, nawiasem mówiąc?

— Doprawdy, Poirot, skąd mam wiedzieć?

— Mógłbyś wiedzieć, gdybyś zapytał. Skąd możesz wiedzieć cokolwiek, jeśli nie zadajesz właściwych pytań?

— Jakie znaczenie ma miejsce, gdzie odpadł obcas?

— To może nie mieć znaczenia, ale powinniśmy znać dokładnie miejsca, w których ta dziewczyna była, gdyż to może wiązać się z osobą, którą tam widziała albo ze zdarzeniem, które tam miało miejsce.

— Za daleko się posuwasz. W każdym razie wiem, że było to zupełnie blisko biura, ponieważ mówiła o tym, i że kupiła bułkę i dokuśtykała z powrotem i jadła tę bułkę w pokoju i zakończyła lamentem na temat, w jaki sposób dostanie się do domu.

— A jak się tam dostała? — zapytał Poirot z zainteresowaniem.

Gapilem się na niego:

— Nie mam pojęcia.
— Ach, to jest nie do zniesienia, ten zwyczaj, żeby nigdy nie zadać właściwego pytania! W rezultacie nie wiesz niczego, co jest ważne.
— Pojedź do Crowdean i zapytaj sam — odparłem zirytowany.
— W tym momencie to niemożliwe. W przyszłym tygodniu jest bardzo interesująca aukcja rękopisów...
— To wciąż twoje hobby?
— Ależ tak. — Oczy detektywa zabłyśły. — Weź prace Johna Dicksona albo Cartera Dicksona, jak się czasem nazywał...
Uciekłem tłumacząc się pilnym spotkaniem, zanim zdołał się rozgadać. Nie byłem w nastroju, aby słuchać wykładu o dawnych mistrzach powieści kryminalnej.

II

Następnego wieczoru siedziałem na frontowych schodach domu Hardcastle'a i kiedy wracał, wyłoniłem się z ciemności, aby go powitać.
— Hallo, Colin! To ty? Więc znowu spadłeś z nieba?
— Bardziej właściwe byłoby określenie z piekła.
— Jak długo siedzisz na moich schodach?
— Jakies pół godziny.
— Przykro mi, że nie mogłeś dostać się do domu.
— Potrafiłbym się dostać z największą łatwością — oświadczyłem z oburzeniem.
— Nie znasz naszego treningu!
— Więc czemu nie wszedłeś?
— Nie chciałem podważać twojego prestiżu — wyjaśniłem. — Inspektor policji straciłby twarz, gdyby do jego domu włamano się bez trudu.
Hardcastle wyjął klucze i otworzył frontowe drzwi.
— Wejdz i nie gadaj głupstw.
Wprowadził mnie do salonu i zabrał się do przygotowywania orzeźwiających płynów.
— Mów, kiedy to będzie.
Odpowiedziałem, że nie tak szybko i zasiedliśmy z drinkami w rękach.
— Sprawy nareszcie ruszyły — rzekł Hardcastle. — Zidentyfikowaliśmy zwłoki.
— Wiem, przejrzałem gazety. Kto to jest Harry Castleton?
— Szanowny człowiek, który spędzał życie zawierając liczne małżeństwa albo zaręczając się z zamożnymi, naiwnymi kobietami. Powierzały mu swoje oszczędności będąc pod wrażeniem jego orientacji w sprawach finansowych, a wkrótce potem on zniknął.
— Nie wyglądał na takiego — zauważyłem.

- To było jego główne źródło utrzymania.
- Nigdy nie był ścigany sędownie?
- Nie. Prowadziliśmy śledztwo, ale niełatwo jest zdobyć informacje. Zmieniał często nazwisko. A choć w Yardzie uważają, że Harry Castleton, Raymond Blair, Lawrence Dalton i Roger Byron to ta sama osoba, nie potrafią tego udowodnić. Widzisz, kobiety nie chcą mówić. Wolą stracić pieniądze. Ten człowiek był przede wszystkim nazwiskiem. Zawsze stosował ten sam schemat, był jednak nieuchwytny. Roger Byron, powiedzmy, znika z Southend, a człowiek nazwiskiem Lawrence Dalton rozpoczyna operację w Newcastle czy Tyne. Nie lubił się fotografować — umykał swoim przyjaciółkom, gdy chciały zrobić mu zdjęcie. Trwało to dość długo — piętnaście do dwudziestu lat. W tym czasie zniknął naprawdę. Mówiono, że nie żyje, niektórzy twierdzili, że wyjechał za granicę...
- W każdym razie nie słyszano o nim nic, aż do czasu, gdy pojawił się martwy na dywanie w salonie panny Pebmarsh?
- Właśnie.
- To otwiera pewne możliwości.
- Owszem.
- Wzgardzona kobieta, która nie zapomniała? — podsunąłem.
- To się zdarza. Są kobiety obdarzone dobrą pamięcią...
- A gdyby taka kobieta była niewidoma... drugie nieszczęście nakłada się na pierwsze...
- To tylko domysł. Jak dotąd nic konkretnego.
- Jaka była ta żona... pani, jak? Merlina Rival? Co za imię! Chyba nie jej własne.
- Jej własne brzmi Flossie Gapp. Tamto jest wymyślone. Odpowiedniejsze dla jej stylu życia.
- Czym się zajmuje? Jest kokotą?
- Nie zawodową.
- Coś, co się określa jako dama lekkich obyczajów?
- Powiedziałbym, że jest życzliwą kobietą, która chętnie sprawia przyjemność swoim przyjaciołom. Podaje się za byłą aktorkę. Od czasu do czasu pracuje jako „hostessa”. Zupełnie sympatyczna osoba.
- Solidna?
- Owszem. Rozpoznała zwłoki stanowczo. Żadnego wahania.
- To dobrodziejstwo losu.
- Tak. Już ogarniała mnie rozpacz. Ilość żon, które tu miałem! Zacząłem myśleć, że kobieta znająca swego męża jest kobietą mądrą. Wiesz, uważam, że pani Rival wie o swoim mężu więcej, niż to ujawniła.
- Czy ona sama może być wmieszana w sprawy kryminalne?

— Nie do tego stopnia, żeby być notowana. Może mieć paru niewyraźnych przyjaciół. Nic poważnego — po prostu oszustwa czy coś podobnego.

— A co z zegarami?

— Nic dla niej nie znaczą. Sądzę, że mówi prawdę. Wytropiliśmy, skąd się wzięły. Przynajmniej dwa: pozłacany i miśnieński z Portobello Market. Niewiele to nam pomogło! Wiesz, co się tam dzieje w soboty. Pomocnik sprzedawcy uważa, że kupiła je Amerykanka, ale sam wiesz, że to tylko zgadywanie. Portobello Market jest pełen amerykańskich turystów. Żona tego faceta twierdzi, że nie Amerykanka, tylko jakiś mężczyzna. Nie pamięta, jak wyglądał. Ten srebrny pochodzi od złotnika w Bournemouth. Wysoka dama kupiła go na prezent dla swojej małej córeczki! Wszystko co pamiętają, to że nosiła zielony kapelusz.

— A czwarty? Ten, który zniknął?

— *No comments* — odparł Hardcastle.

Wiedziałem, co chce przez to powiedzieć.

Rozdział dwudziesty trzeci

Relacja Colina Lamba

Hotel, w którym zatrzymałem się, był nędznym małym budynkiem w pobliżu dworca. Podawano w nim przyzwoite mięso z rusztu i to wszystko, co można o nim powiedzieć. Poza tym, oczywiście, że był tani.

O dziesiątej następnego ranka zadzwoniłem do Biura Cavendish i zamówiłem stenotypistkę, która miała napisać parę listów i przepisać umowę. Nazywam się Douglas Weatherby i mieszkam w hotelu „Clarendon”. Niezwykle szmatławe hotele mają zazwyczaj napuszone nazwy. Czy mógłbym zamówić pannę Sheilę Webb? Mój przyjaciel uważa ją za bardzo biegłą.

Miałem szczęście. Sheila mogła przyjść natychmiast. Była jednak zamówiona na dwunastą. Odparłem, że skończymy wcześniej, zwłaszcza, że sam byłem umówiony.

Kiedy zjawiła się Sheila, czuwałem przed wejściem do hotelu.

— Pan Douglas Weatherby, do usług.

— To ty dzwoniłeś?

— Tak.

— Ależ nie możesz tego robić — wydawała się zgorzona.

— Dlaczego? Jestem przygotowany, aby zapłacić za twoje usługi. Jakaż to różnica, że spędzimy twój cenny czas w „Buttercup Café” po drugiej stronie ulicy, zamiast dyktować nudne listy, zaczynające się od słów „Pańskie pismo z dnia...”. Chodźmy wypić marną kawę w spokojnym otoczeniu.

„Buttercup Café” była, zgodnie ze swoją nazwą, jaskrawo i agresywnie żółta. Laminat na stołach, plastikowe krzesła, filiżanki i spodeczki, wszystko było kanarkowego koloru.

Zamówiłem kawę i parę rogalików. Było dość wcześnie, więc praktycznie mieliśmy cały lokal dla siebie.

— U ciebie w porządku, Sheilo?

— Co masz na myśli?
Miała ciemne kręgi pod oczami, które wskutek tego wydawały się raczej fiołkowe niż niebieskie.

— Miałaś trudne chwile?
— Tak... Nie... nie wiem. Myślałam, że wyjechałeś?
— Wyjechałem. Ale wróciłem.
— Dlaczego?
— Wiesz, dlaczego.
Spuściła oczy.
— Boję się go — przyznała po minucie, która bardzo mi się dłużyła.
— Kogo się boisz?
— Twojego przyjaciela, tego inspektora. On uważa... uważa, że to ja zabiłam tamtego mężczyznę i Ednę także...
— Ma taki sposób bycia — uspokoiłem ją. — Zawsze wygląda, jakby podejrzewał każdego.
— Nie, Colin, to mi się wcale nie podoba. Pocieszanie mnie nie ma sensu. On uważa, że od początku miałam coś wspólnego z tą sprawą.
— Dziewczyno, nie ma dowodów przeciw tobie. Tylko dlatego, że znalazłaś się na miejscu, że ktoś cię tam wysłał...
Przerwała mi.
— On uważa, że sama tam poszłam. Myśli, że to z góry ukartowana historia. Że Edna jakoś się dowiedziała o tym, że rozpoznała w telefonie mój głos, jak udawałam pannę Pebmarsh.
— A to był twój głos?
— Oczywiście że nie. Nigdy nie telefonowałam. Mówiłam ci.
— Słuchaj, Sheilo — powiedziałem. — Co mówisz innym, to mówisz, ale mnie musisz wyjawić prawdę.
— Więc nie wierzysz w żadne moje słowo!
— Wierzę. Mogłaś dzwonić wtedy z jakiegoś niewinnego powodu. Ktoś mógł cię o to prosić mówiąc, że to część dowcipu, a potem mogłaś zacząć kłamać ze strachu. Czy zdarzyło się coś takiego?
— Nie, nie, nie! Ile razy mam ci to powtarzać?
— To bardzo dobrze, Sheilo, ale jest coś, czego mi nie powiedziałaś. Chcę, żebyś mi ufała. Jeżeli Hardcastle ma przeciwko tobie coś, o czym mi nie mówił...
Znowu przerwała mi.
— Przypuszczasz, że on mówi ci wszystko?
— No, nie ma powodu, żeby tego nie robił. Ostatecznie jesteśmy niemal tej samej profesji.

W tym momencie kelnerka przyniosła kawę. Ciecz była blada, jak najmodniejszy odzien norek.

— Nie wiedziałam, że masz coś wspólnego z policją — rzekła Sheila, mieszając bez końca kawę.

— To nie jest dosłownie policja. To całkiem inna dziedzina. Ale zdążam do tego, że Dick nie mówi mi pewnych rzeczy o tobie ze szczególnych powodów. Uważa, że jestem tobą zainteresowany. Cóż, to prawda. Nawet więcej. Jestem po twojej stronie, Sheilo, niezależnie od tego, co zrobiłaś. Wypadłaś wówczas z tego domu śmiertelnie przerażona. Byłaś przerażona naprawdę. Nie mogłaś zagrać roli aż tak naturalnie.

— Jasne, że byłam przerażona. Byłam w panice.

— I tylko znalezienie ciała tak cię przestraszyło? A może jeszcze coś?

— Co jeszcze miało tam być?

Sprężyłem się.

— Dlaczego zwędziłaś ten zegar z napisem „Rosemary”?

— Co masz na myśli? Czemu miałabym go zabierać?

— To ja pytałem, dlaczego?

— Nigdy go nie tknęłam.

— Powiedziałaś, że wracasz do pokoju po rękawiczki. Tamtego dnia nie nosiłaś rękawiczek. To był piękny, wrześnieowy dzień. Nigdy nie widziałem cię w rękawiczkach. A więc wróciłaś do pokoju i wzięłaś ten zegar. Nie okłamuj mnie. Tak właśnie zrobiłaś?

Milczała chwilę, krusząc rogalik na talerzyku.

— Dobrze — powiedziała prawie szeptem. — Dobrze. Zrobiłam to. Wzięłam zegar, schowałam do torebki i wyszłam.

— Ale dlaczego to zrobiłaś?

— Z powodu imienia Rosemary. To moje imię.

— Nazywasz się Rosemary?

— Mam dwa imiona. Rosemary Sheila.

— I to wystarczyło? Fakt, że nosisz imię wypisane na jednym z zegarów?

Słyszała niedowierzanie w moim głosie, ale wytrwała przy swoim.

— Mówiłam ci, że byłam przerażona.

Popatrzyłem na nią. Sheila była moją dziewczyną, dziewczyną, której pragnąłem — na zawsze. Ale nie mogłem mieć iluzji. Była kłamczuchą i to prawdopodobnie zawsze. Szybkie, łatwe, gładkie zaprzeczenie, to był jej sposób walki o przetrwanie. Była to broń dziecinna i pewnie nigdy nie przestanie jej używać. Jeśli chcę mieć Sheilę, muszę akceptować ją taką, jaka jest i być w pogotowiu by móc podeprzeć słabości charakteru mojej dziewczyny. Ja też miałem słabostki, inne, ale miałem.

Powziąłem decyzję i zaatakowałem. To był jedyny sposób.

— To był twój zegar, prawda? Należał do ciebie.

Złapała gwałtownie oddech.

— Skąd wiesz?

— Opowiedz mi o tym.

Wyrzuciła z siebie tę historię w bezładnych słowach. Miała ten zegar całe życie. Do szóstego roku życia używała imienia Rosemary, ale nienawidziła go i postanowiła zostać Sheila. Ostatnio zegar zaczął się psuć. Wzięła go, aby zanieść do zegarmistrza w pobliżu biura, ale musiała go gdzieś zostawić: w autobusie, albo w barze, gdzie wpadła na sandwicza.

— Jak długo przed morderstwem zgubiłaś ten zegar?

Wydawało się jej, że około tygodnia. Nie przejęła się zbyt, ponieważ zawsze chodził źle, był stary i naprawdę lepiej było kupić nowy.

A potem:

— Z początku nie zauważyłam go tam. W każdym razie w chwili wejścia do pokoju. Potem znalazłam martwego człowieka. Byłam sparaliżowana. Po tym jak go dotknęłam, wyprostowałam się i stałam patrząc bezmyślnie — wtedy zobaczyłam przed sobą mój zegar. Na stole obok kominka stał mój zegar, ja na rękach miałam krew, i ona weszła, i ja zapomniałam o wszystkim, ponieważ ona zamierzała nadebrać na leżącego. I... i wtedy... uciekłam. Uciec — to wszystko, czego pragnęłam.

Skinałam głowę.

— A później?

— Zaczęłam myśleć. Ona twierdziła, że nie dzwoniła po mnie, więc kto... kto mnie tam wezwał i kto postawił tam mój zegar? Powiedziałam, że zostawiłam rękawiczki i wsadziłam zegar do torebki. Sądzę, że to było głupie.

— Nic głupszego nie mogłaś zrobić. Ale rozumiem — przerażenie odebrało ci rozum.

— I ktoś próbuje mnie zrobić. Ta pocztówka! Musiał wysłać ją ktoś, kto wie, że wzięłam zegar. I sama kartka — Old Bailey. Jeżeli mój ojciec był kryminalistą...

— Co wiesz o rodzicach?

— Zginęli w wypadku, kiedy byłam niemowlęciem. Tak powiedziała ciotka, tak mówiono mi zawsze. Ale ciotka nigdy nie mówi o nich, nigdy nie opowiada niczego. Kiedy dopytywałam się, parę razy wspominała wydarzenia, które nie zgadzały się z faktami, o jakich mówiła poprzednio. Więc zawsze wiedziałam, że coś tam jest nie w porządku.

— Mów dalej.

— Pomyślałam, że — być może — mój ojciec był kryminalistą, nawet mordercą. Albo matka. Ludzie nie mówią ci bez powodu, że rodzice nie żyją, a potem nie są w stanie nic o nich opowiedzieć, chyba, że zdarzyło się coś tak okropnego, że nie powinieś wiedzieć.

— Więc wymyśliłaś wszystko sama. To pewnie prosta sprawa. Może jesteś nieślub-

nym dzieckiem.

— O tym też myślałam. Ludzie czasem próbują ukryć to przed dziećmi. To bardzo głupie. O wiele lepiej powiedzieć im prawdę. Dzisiaj to nie jest taki problem. Rzecz polega na tym, że ja nic nie wiem. Nie rozumiem, co się za tym kryje. Dlaczego nazywałam się Rosemary? To nie jest imię tradycyjne w mojej rodzinie. To oznacza jakieś wspomnienie, prawda?

— Którego treść może być miła.

— Tak, to możliwe... Ale nie sądzę. W każdym razie od tamtego dnia, którego inspektor mnie wypytywał, zaczęłam myśleć. Dlaczego ktoś chciał mnie tam sprowadzić? Zetknąć z obcym człowiekiem, który nie żył? A może ten martwy człowiek chciał się tam ze mną spotkać? Może to był mój ojciec i chciał, żebym zrobiła coś dla niego? A potem przyszedł ktoś i zabił go? A może od początku chciano rzucić podejrzenie na mnie. Och, wszystko mi się pomyliło, byłam przerażona. Wydawało mi się, że zrobiono tak, żeby wskazać na mnie. Moje zjawienie się tam i martwy mężczyzna, i moje imię — Rosemary — na moim własnym zegarze, który został tam przyniesiony. Więc wpadłam w panikę i zrobiłam coś, co, jak mówisz, było głupie.

Potrząsnąłem głową.

— Czytałaś albo przepisywałaś za dużo thrillerów i tajemniczych historii — powiedziałem. — A co z Edną? Nie wiesz, co ona wbiła sobie do głowy na twój temat? Dlaczego szła taki kawał, żeby pomówić z tobą, choć widywała cię codziennie w biurze?

— Nie mam pojęcia. Nie mogła myśleć, że mam coś wspólnego z morderstwem. Absolutnie nie.

— Może podsłuchiwała coś i źle zrozumiała?

— Nie było nic — powiadam ci. Nic!

Zastanawiałem się. Nic nie mogłem poradzić, że nawet teraz nie wierzyłem, by Sheila mówiła prawdę.

— Masz jakichś osobistych wrogów? Nieprzyjaznych młodych ludzi, zazdrosne dziewczęta, kogoś trochę niezrównoważonego, kto mógłby mieć coś przeciw tobie?

— Jasne, że nie — zabrzmiało nieprzekonywająco.

Więc to było tak. Nawet teraz nie byłem pewien tej historii z zegarem. Była zbyt fantastyczna. 413. Co znaczyły te cyfry? Dlaczego napisano je na pocztówce razem ze słowem PAMIĘTAJ? Widocznie znaczyły coś dla adresatki.

Westchnąłem, zapłaciłem rachunek i wstałem.

— Nie denerwuj się — powiedziałem. (Na pewno najgłupsze zdanie w angielskim i innych językach). — Prywatna Służba Colina Lamba działa. Wszystko będzie dobrze, wyjdiesz za mąż i będziesz żyła szczęśliwie za grosz rocznie. Nawiasem mówiąc — dodałem, nie mogąc się powstrzymać, choć wiedziałem, że lepiej byłoby zakończyć ro-

mantyczną nutą, ale powodowała mną Prywatna Ciekawość Colina Lamba — co zrobiłaś z zegarem? Ukryłaś w szafie pod pończochami?

Zawahała się moment, zanim odpowiedziała:

— Wrzuciłam do kubła ze śmieciami w sąsiednim domu.

To zrobiło na mnie wrażenie: proste i skuteczne. Pomyślałem, że także sprytne. Może nie doceniałem Sheili.

Rozdział dwudziesty czwarty

Relacja Colina Lamba

I

Po odejściu Sheili poszedłem do hotelu, zapakowałem torbę i zostawiłem ją u portiera. Był to hotel, w którym zwracają uwagę na obowiązek wyprowadzenia się przed południem.

Wyruszyłem do komisariatu i po chwili wahania zapytałem o Hardcastle'a. Okazało się, że zastałem go. Kiedy wszedłem, przyglądał się ze zmarszczonymi brwiami trzymanemu listowi.

— Wyjeżdżam dziś wieczór, Dick. Wracam do Londynu.

Popatrzył na mnie w zamyśleniu.

— Chcesz mojej rady?

— Nie — odparłem natychmiast.

Nie zwrócił na to uwagi. Ludzie nigdy nie zrezygnują, kiedy zamierzają ci coś poradzić.

— Wyjechałbyś i został w Londynie, jeśli chcesz wiedzieć, co jest dla ciebie najlepsze.

— Nikt nie może przesądzać, co jest najlepsze dla drugiego.

— Nie jestem pewien.

— Powiem ci coś, Dick. Kiedy skończę obecną sprawę, jestem wolny. Przynajmniej tak sędzę.

— Dlaczego?

— Bo jestem, jak staroświecki, wiktoriański duchowny. Mam Wątpliwości.

— Poczekaj trochę.

Nie bardzo wiedziałem, co ma na myśli i co go tak denerwuje.

— Przeczytaj — podał mi list.

„Szanowny Panie,

właśnie pomyślałam o czymś. Pytał pan, czy mój mąż miał jakieś znaki szczególne, a ja odpowiedziałam, że nie. Myliłam się. W istocie miał małą bliznę za lewym uchem. Zaciął się brzytwą przy goleniu, kiedy pies skoczył na niego i rana musiała być szyta. Blizna była tak mała i błaha, że nie myślałam o niej od tamtego dnia.

Oddana
Merlina Rival”

— Ma ładny charakter pisma — zauważyłem, choć nigdy nie podobał mi się purpurowy atrament. — Czy nieboszczyk miał bliznę?

— Owszem, miał. Właśnie tam, gdzie ona ją opisuje.

— Nie zobaczyła jej, gdy pokazywano ciało?

Hardcastle zaprzeczył.

— Ucho ją zasłaniało. Trzeba je odchylić, żeby ujrzeć ślad.

— Zatem wszystko w porządku. Niezłe potwierdzenie. Co cię gryzie?

Hardcastle powiedział posępnie, że to piekielna sprawa! Zapytał, czy mógłbym zobaczyć się w Londynie z moim francuskim czy belgijskim przyjacielem.

— Chyba tak. Po co?

— Wspomniałem o nim komisarzowi, który powiada, że pamięta go doskonale w związku ze sprawą zamordowania harcerki. Mam mu przekazać serdeczne pozdrowienia, gdyby tutaj przyjechał.

— Nic z tego — odparłem. — Facet siedzi w domu jak przyspawany.

II

Kwadrans po dwunastej zadzwoniłem do domu numer 62 przy Wilbraham Crescent. Drzwi otworzyła pani Ramsay. Ledwie spojrzała na mnie.

— Co takiego? — spytała.

— Mógłbym porozmawiać z panią chwilkę? Byłem tu jakieś dziesięć dni temu. Może mnie pani nie pamiętać.

Przyjrzała mi się dokładniej. Zmarszczyła brwi.

— Przyszedł pan... Był pan z inspektorem policji, prawda?

— Tak jest. Mogę wejść?

— Pewnie tak, jeśli pan sobie życzy. Nie można odmówić policji. Źle na to patrzę.

Poprowadziła mnie do salonu, szorstko wskazała krzesło i usiadła naprzeciw. Jej głos brzmiał cierpko, ale w sposobie bycia wyczuwało się pewną apatię, której poprzednio

nie było.

— Wydaje się tu dzisiaj spokojnie... — powiedziałem. — Chłopcy wrócili już do szkoły?

— Tak. Można to zauważyć. Przypuszczam, że chce mi pan zadać trochę pytań w sprawie ostatniego morderstwa? Tej dziewczyny w budce telefonicznej.

— Niezupełnie. Naprawdę nie jestem powiązany z policją.

Kobieta wydawała się lekko zdziwiona.

— Myślałam, że to sierżant Lamb?

— Moje nazwisko brzmi Lamb, ale pracuję w zupełnie innym departamencie.

Apatia pani Ramsay znikła. Rzuciła mi szybkie, twarde spojrzenie.

— No więc o co chodzi?

— Pani mąż jeszcze bawi za granicą?

— Tak.

— Wyjechał na długo? I dosyć daleko?

— Co pan o tym wie?

— Wyjechał za Żelazną Kurtynę, prawda?

Milczała chwilę, potem powiedziała spokojnym, bezbarwnym głosem:

— Tak. Ma pan rację.

— Wie pani, dokąd?

— Mniej więcej. — Po chwili dodała — Chciał, żebym przyjechała tam do niego.

— Myślał o tym już od pewnego czasu?

— Chyba tak. Powiedział mi dopiero ostatnio.

— Pani nie podziela jego poglądów?

— Kiedyś tak. Ale musi pan wiedzieć, że... Sprawdzacie takie rzeczy dokładnie, prawda? Sięgacie w przeszłość, odkrywacie, kto był sympatykiem, a kto członkiem partii?

— Jest pani w stanie przekazać nam informacje, które byłyby dla nas bardzo pożyteczne.

Potrząsnęła głową.

— Nie. Nie potrafię. To nie znaczy, że nie chcę. Widzi pan, on nigdy nie mówi mi nic konkretnego. Nie chciałam wiedzieć. Byłam zmęczona i chora od tego wszystkiego! Nie zaskoczyło mnie, gdy Michael zawiadomił mnie, że opuszcza kraj, zmywa się i jedzie do Moskwy. Musiałam wtedy zdecydować, co ja zamierzam zrobić.

— I doszła pani do wniosku, że nie podziela wystarczająco poglądów męża?

— Nie chciałabym tak tego wyrażać. Moje poglądy są sprawą osobistą. Uważam, że z kobietami w końcu zawsze tak jest, chyba że są fanatyczkami. Kobiety potrafią mieć bardzo krańcowe poglądy, ale ja nie. Zawsze byłam tylko osobą łagodnie lewicującą.

— Czy pani mąż był wmieszany w sprawę Larkina?

— Nie wiem. Możliwe. Nigdy nie opowiadał mi niczego.

Popatrzyła na mnie z większym ożywieniem.

— Lepiej postawmy sprawę jasno, panie Lamb. Albo panie Wolf w skórze pana Lamba, czy kim tam pan jest. Kochałam mojego męża. Może wystarczająco, żeby pojechać z nim do Moskwy, niezależnie od tego, czy zgadzam się z jego poglądami politycznymi. Chciał jednak, abym przywiozła chłopców. A ja nie życzyłam sobie tego! To było proste. Postanowiłam więc zostać z nimi. Nie wiem, czy kiedykolwiek zobaczę Michaela. Wybrał swoją drogę, a ja swoją, ale jedną rzecz wiem jasno po naszej rozmowie na ten temat. Chcę, by synowie wychowali się we własnym kraju. Są Anglikami. Chcę, żeby dorastali jak zwykli, angielscy chłopcy.

— Rozumiem.

— To chyba wszystko — powiedziała pani Ramsay wstając.

Jej ruchy były teraz zdecydowane.

— To musiał być trudny wybór — stwierdziłem. — Bardzo pani współczuję.

Rzeczywiście tak było. Może mi uwierzyła, bo uśmiechnęła się blado.

— Naprawdę pan tak myśli...? Sądzę, że w swojej pracy musi pan mniej lub bardziej wchodzić w cudzą skórę, wiedzieć, co czują lub myślą inni. To był dla mnie nokaut, ale najgorsze już przeszłam... Teraz muszę zaplanować co robić, dokąd iść, czy zostać tutaj, czy się przenieść. Muszę zacząć pracować. Kiedyś byłam sekretarką. Pewnie zrobię krótki kurs pisania na maszynie i stenografii.

— Proszę tylko nie angażować się do pracy w Biurze Cavendish.

— Dlaczego?

— Dziewczętom, które tam pracują, przydarzają się dosyć nieprzyjemne przygody.

— Jeśli myśli pan, że coś o tym wiem, jest pan w błędzie.

Życzyłem jej szczęścia i poszedłem. Nie dowiedziałam się od niej niczego. I spodziewałem się tego. Ale trochę się uporządkowało.

III

Wychodząc na ulicę zderzyłem się prawie z panią McNaughton. Niosła torbę z zakupami i zdawała się ledwie trzymać na nogach.

— Proszę pozwolić — powiedziałem i wziąłem od niej ciężar. Najpierw miała zamiar wyrwać mi torbę z rąk, potem pochyliła głowę przyglądając mi się bacznie, wreszcie rozluźniła chwyt.

— Pan jest młodym człowiekiem z policji — oznajmiła. — Nie poznałam pana w pierwszej chwili.

Zaniósłem torbę do jej frontowych drzwi, a ona słała się koło mnie. Torba była nieoczekiwanie ciężka. Ciekawe, co tam było. Kilogramy ziemniaków?

— Proszę nie dzwonić — powiedziała. — Drzwi nie są zamknięte.

Na Wilbraham Crescent chyba nikt nie zamyka drzwi.

— Jak idą sprawy? — spytała tonem pogawędki. — Wydaje się, że on był ożeniony znacznie poniżej swojej klasy.

Nie wiedziałem, o czym mówi.

— Kto taki... nie było mnie tutaj — wyjaśniłem.

— Pewnie śledził pan kogoś. Miałam na myśli panią Rival. Poszłam na rozprawę. Taka pospolita kobieta. Nie wydawała się wstrząśnięta śmiercią męża.

— Nie widziała go od piętnastu lat — wyjaśniłem.

— Angus i ja jesteśmy małżeństwem od dwudziestu lat — westchnęła. — To długo. On ma tyle do roboty w ogrodzie, teraz, kiedy nie pracuje... Nie wiadomo, co zrobić z sobą.

W tej chwili zza węgła wyszedł pan McNaughton z łopata w ręce.

— Wróciłaś, moja droga. Pozwól, że wezmę sprawunki...

— Proszę to postawić w kuchni — powiedziała prędko do mnie pani McNaughton, a jej łokieć wbił się w moje żebra. — Tylko płatki kukurydziane, jaja i melon — rzekła do męża, uśmiechając się promiennie.

Złożyłem torbę na kuchennym stole. Coś zabrzęczało.

Płatki kukurydziane, niech mnie kule biją! Pozwoliłem wziąć górę moim szpiegowskim instynktom. Zakamuflowane listkami żelatyny, leżały trzy butelki whisky.

Zrozumiałem, czemu pani McNaughton była czasami tak promienna i szczebiotliwa, i miała trochę niepewny chód. I dlaczego, być może, profesor zrezygnował z katedry.

To był ranek poświęcony sąsiadom. Blanda spotkałem idąc ulicą w kierunku Albany Road. Wydawał się w dobrej formie. Poznał mnie natychmiast.

— Jak się pan miewa? Jak tam zbrodnia? Słyszałem, że zidentyfikowaliście ciało. Podobno obszedł się bardzo źle z żoną. Przy okazji, proszę wybaczyć, pan chyba nie jest z tutejszej policji?

Odpowiedziałem wymijająco, że przyjechałem z Londynu.

— Więc Yard interesuje się tym?

— Cóż... — przeciągnąłem dyplomatycznie.

— Zrozumiałem. Nie musi pan zdradzać tajemnic. Nie było jednak pana na rozprawie.

Powiedziałem, że byłem za granicą.

— Tak jak ja, chłopcze, tak jak ja! — mrugnął do mnie.

— Wesoły Paryż? — zapytałem, odwzajemniwszy mrugnięcie.

— Bardzo bym chciał. Nie, tylko jednodniowa podróż do Boulogne — dał mi sówkę łokciem w bok, całkiem jak pani McNaughton. — Nie zabrałem żony. Poderwałem ładny kasek. Blondynka. Niezły numer.

— Podróż w interesach? — spytałem. Zaśmialiśmy się, jak światowi mężczyźni, po

czym on skierował się w stronę domu, a ja na Albany Road.

Byłem z siebie niezadowolony. Jak twierdził Poirot, można wydobyć więcej z sąsiadów. To stanowczo nienormalne, żeby nikt nic nie widział! Może Hardcastle zadawał niewłaściwe pytania? Ale jak wymyślić lepsze? Kiedy skręciłem w Albany Road, miałem już w pamięci listę faktów i wątpliwości. Wyglądała mniej więcej tak:

Pan Curry (Castleton) został uśpiony — Kiedy?

ditto został zabity — Gdzie?

ditto został przeniesiony pod nr 19 — Jak?

Ktoś musiał coś widzieć! — Kto?

ditto — Co?

Skręciłem znowu w lewo. Teraz szedłem przez Wilbraham Crescent tędy, jak dzień wcześniej. Powinienem może wstąpić do panny Pebmarsh? Zadzwoić i powiedzieć... zaraz, co powiedzieć?

Wstąpić do panny Waterhouse? Ale co, na miłość boską, mam mówić?

Może pani Hemming? Tu nie byłoby z tym problemu, bo i tak by nie słuchała, ale jej słowa, choć przypadkowe i bez związku, mogły dokądś prowadzić.

Szedłem ulicą notując w pamięci numery, jak to robiłem tamtego dnia. Czy zmarły pan Curry też szedł ulicą sprawdzając numery, aż doszedł do tego, który zamierzał odwiedzić?

Wilbraham Crescent nigdy nie wyglądał bardziej nobliwie. Byłem bliski zawołania, jak w wiktoriańskiej epoce „Och, gdyby te kamienie mogły mówić!” To był ulubiony cytat owych czasów. Kamienie jednak milczały, podobnie jak cegły i cement, a nawet tynk i stiuki. Wilbraham Crescent pozostawał niemy. Staroświecki, stojący na uboczu, spatynowany i nie mający ochoty na konwersację. Nie aprobujący, byłem tego pewien, wędrownych włóczęgów, którzy nawet nie wiedzą, czego szukają.

Na ulicy widać było niewielu ludzi, paru chłopców na rowerach i dwie kobiety z torbami na zakupy. Domy wydawały się martwe jak mumie, gdyż wszelkie oznaki życia kryły się w ich wnętrzach. Wiedziałem, czemu tak było. Właśnie zbliżała się święta godzina pierwsza, poświęcona tradycyjnie spożywaniu lunchu. W jednym czy dwóch domach mogłem zobaczyć przez nie zasłonięte okno grupę ludzi wokół obiadowego stołu, ale nawet to było niezmiernie rzadkie. Albo okna były przesłonięte dyskretnie nylonową siatką, stanowiącą przeciwieństwo tak kiedyś popularnej koronki nottingham, albo — co bardziej prawdopodobne — wszyscy jedli w „nowoczesnej” kuchni, zgodnie ze zwyczajem lat sześćdziesiątych.

Doszedłem do wniosku, że była to idealna pora do popełnienia morderstwa. Czy morderca pomyślał o tym? Czy była to część jakiegoś planu? Doszedłem wreszcie do

numeru 19.

Podobnie jak wielu niedorozwiniętych członków społeczeństwa, przystanąłem i gapiłem się. W zasięgu wzroku nie było już widać żywej duszy. — Nie ma sąsiadów — rzekłem smutno. — Nie ma inteligentnych widzów.

Poczułem ostry ból w ramieniu. Myliłem się. Był sąsiad, bardzo użyteczny, gdyby tylko potrafił mówić. Stałem oparty o skrzynkę pocztową domu numer 20, na której siedział ten sam wielki, rudy kot, którego widziałem poprzednio. Zatrzymałem się i zamieniłem z nim kilka słów, usuwając najpierw figlarne pazury z mego ramienia.

— Gdyby koty umiały mówić — rozpocząłem konwersację.

Rudzielec otworzył pyszczek, wydając melodyjne miauknięcie.

— Wiem, że umiesz — odparłem. Wiem, że umiesz tak dobrze jak ja. Ale nie mówisz moim językiem. Siedziałeś tutaj tamtego dnia? Widziałeś, kto wchodził albo wychodził? Wiesz wszystko o tym, co się tu zdarzyło? Nie chciałbym mówić za ciebie, kocurku.

Kot obraził się. Odwrócił się tyłem i zaczął wymachiwać ogonem.

— Przepraszam Wasza Królewska Mość — powiedziałem.

Popatrzył na mnie chłodno przez ramię i zaczął się pracowicie myć. Sąsiedzi, pomyślałem gorzko. Bez wątpienia, sąsiadów na Wilbraham Crescent brakowało. To, czego potrzebowałem, raczej czego potrzebował Hardcastle, to miła, plotkująca, podglądająca i wściubiająca nos starsza dama, z mnóstwem czasu do dyspozycji. Kłopot w tym, że takie stare damy są dziś na wymarciu. Wszystkie siedzą w domach opieki, albo zajmują szpitalne łóżka, potrzebne rzeczywiście chorym. Chromi, kulawi i starzy nie mieszkają we własnych domach, dogładani przez wierną służbę czy głupkowatych, niezamożnych krewnych, radych z posiadania przytuliska. To było powodem poważnego opóźnienia się śledztwa.

Popatrzyłem na drugą stronę ulicy. Dlaczego tam nie ma sąsiadów? Czy nie mógłby tu stać zgrabny rząd domków, zamiast wielkich, wyglądających niehumanitarnie, betonowych bloków? Rodzaj ludzkich uli, zamieszkałych przez pszczoły robotnice, które przebywały cały dzień poza domem i wracały wieczorem, aby wyprać bieliznę, zrobić makijaż i wyjść na spotkanie z chłopcem. Przez kontrast z nieczłowieczym charakterem tych bloków, nabrałem życzliwości dla wyblakłej wiktoriańskiej dystynkcji Wilbraham Crescent.

Moje oko uchwyciło błysk światła gdzieś w połowie budynku-ula. To mnie zaintrygowało. Patrzyłem nadal. Tak, pojawił się znowu. Otwarte okno i ktoś przez nie patrzący. Twarz lekko zamazana przez coś trzymanego w ręku. Światło błysnęło ponownie. Zanurzyłem rękę w kieszeni. Przechowuję tam sporo rzeczy, które mogą się przydać. Bylibyście zdziwieni, widząc to: kawałeczek przylepca, kilka niewinnie wyglądających instrumentów zdolnych otworzyć najdokładniej zamknięte drzwi, puszka szarego proszku, której etykieta nie odpowiadała zawartości i rozpylacz, umożliwiający uży-

cie owego proszku. Parę małych gadżetów, których przeznaczenia większość ludzi nie śmiałyby odgadnąć. Wśród innych przedmiotów miałem także lornetkę do obserwowania ptaków. Powiększającą niezbyt silnie, ale wystarczającą do mego celu. Wyjąłem ją i podniosłem do oczu. W oknie było dziecko, dziewczynka. Mogłem dostrzec długi warkocz przerzucony przez ramię. Trzymała niedużą, teatralną lornetkę i przyglądała mi się z pochlebną uwagą. Może zresztą nie tak pochlebną, ponieważ wokół nie było niczego, na co mogłaby patrzeć. W tej chwili nic się nie działo na Wilbraham Crescent. Ale oto ulicą przejechał wolno bardzo stary rolls-royce z wiekowym szoferem. Kierowca wyglądał dostojnie, ale jego mina wyrażała dezaprobatę wobec życia. Przejechał koło mnie uroczyście, jakby prowadził całą kolumnę samochodów. Zauważyłem, że moja nieletnia obserwatorka skierowała teraz swoją lornetkę na niego. Stałem, zastanawiając się.

Wierzyłem zawsze, że jeśli czeka się dosyć długo, zasłuży się na błysk szczęścia. Zdarzy się coś nieprzewidzianego, na co się nie liczyło. Czy to możliwe, że właśnie to mi się przytrafiło? Znowu popatrzyłem na zwalisty budynek. Zapamiętałem pozycję okna, policzyłem odległość od każdego końca i od dołu. Trzecie piętro. Potem poszedłem ulicą, aż dotarłem do wejścia. Dom miał szeroki opasujący go podjazd, z ładnymi klombami w odpowiednio usytuowanych punktach.

Wiedziałem, że zawsze należy wykonać wszystkie ruchy w grze, więc poszedłem podjazdem do bloku, popatrzyłem w górę, jakby zaskoczony, schyliłem się nad trawnikiem, udałem, że czegoś szukam, wreszcie wyprostowałem się i pozornie przełożyłem coś z ręki do kieszeni. Potem obszedłem dom, aż trafiłem na wejście.

Przez większą część dnia był tam zapewne portier, ale w tej świętej porze między pierwszą a drugą wejście do hallu było puste. Widać było dzwonek z wielkim napisem PORTIER, ale nie zadzwoniłem. Znalazłem windę i nacisnąłem guzik na trzecie piętro. Potem musiałem sprawdzić wszystko bardzo starannie.

Zlokalizowanie jakiegoś pokoju z zewnątrz budynku wydaje się łatwe, ale od wewnątrz staje się skomplikowane. Mam jednak sporo praktyki w tych sprawach i wiedziałem, że powinienem wybrać drzwi po prawej. Numer, na dolę i niedolę, był 77. — Dobrze — pomyślałem. — Siódemka jest szczęśliwa. Jazda. — Nacisnąłem dzwonek i czekałem na rezultat.

Rozdział dwudziesty piąty

Relacja Colina Lamba

Musiałem poczekać chwilę, zanim drzwi się otworzyły.

Duża nordycka blondynka z zaróżowioną twarzą, ubrana w kolorową sukienkę, patrzyła na mnie pytająco. Jej spiesznie wytarte ręce nosiły ślady mąki, widać też było mąkę na jej nosie, można więc było łatwo zgadnąć, co robi.

— Przepraszam — powiedziałem. — Jest tu chyba mała dziewczynka. Upuściła coś przez okno.

Dziewczyna uśmiechnęła się zachęcająco. Język angielski nie był jej mocną stroną.

— Przepraszam, co pan mówi?

— Dziecko, mała dziewczynka.

— Tak, tak — skinęła głową.

— Upuściła coś przez okno.

Wykonałem kilka gestów.

— Podniosłem i przyniosłem tutaj.

Wyciągnąłem otwartą dłoń, z leżącym na niej srebrnym nożykiem do owoców. Dziewczyna patrzyła, nie poznając.

— Nie myślę... nie widziałam...

— Jest pani zajęta gotowaniem — powiedziałem współczująco.

— Tak, tak, ja zwykle gotuję. Właśnie tak — skinęła żywo głową.

— Nie chcę pani przeszkadzać. Jeśli pani pozwoli, zaniosę jej.

— Przepraszam?

Po chwili sens tego co mówiłem, dotarł do niej. Poprowadziła mnie przez hali i otworzyła drzwi bawialni. Do okna przysunięto kanapę, na której siedziało dziecko dziewięcioletnie, z nogą w gipsie.

— Ten džentelmen, on mówi, ty upuszczasz...

W tej chwili, w samą porę, z kuchni napłynął silny zapach spalenizny. Moja przewod-

niczka wydała okrzyk przerażenia.

— Wybaczyć, proszę wybaczyć.

— Niech pani idzie — powiedziałem życzliwie. — Potrafię to załatwić.

Pobiegła skwapliwie. Wszedłem do pokoju, zamknąłem drzwi i zbliżyłem się do kanapy.

— Jak się masz? — spytałem.

Dziecko odpowiedziało grzecznie i oceniało mnie długim, przenikliwym spojrzeniem, które mnie prawie onieśmieliło. Była to niezbyt ładna dziewczynka, z prostymi, mysimi włosami, zaplecionymi w dwa warkoczyki. Miała wypukłe czoło, ostry podbródek i bardzo inteligentnie spoglądające szare oczy.

— Jestem Colin Lamb — przedstawiłem się. — Jak się nazywasz?

Odpowiedziała natychmiast:

— Geraldine Mary Aleksandra Brown.

— Ojej, a to dopiero imię. A jak cię nazywają?

— Geraldine. Czasami Geny, ale nie lubię tego. I tatuś nie pochwała zdrobnień.

Jedną z wielkich zalet ułatwiających stosunki z dziećmi jest to, że mają własną logikę. Każdy dorosły zapytałby mnie natychmiast, czego chcę. Geraldine była gotowa wdać się w rozmowę bez uciekania się do głupich pytań. Siedziała sama, nudziła się i wejście jakiegokolwiek gościa było sympatyczną nowością. Dopóki nie okaże się facetem mało zabawnym, była gotowa do konwersacji.

— Twój tatuś zapewne wyszedł.

Odpowiedziała z tą samą gotowością i dokładnością, którą już zaprezentowała:

— Zakłady Mechaniczne Cartinghaven, Baverbridge. Dokładnie czternaście i trzy czwarte mili stąd.

— A twoja mama?

— Mamusia nie żyje — powiedziała Geraldine równie pogodnie. — Umarła, kiedy miałam dwa miesiące. Leciła samolotem z Francji. Rozbił się. Wszyscy zginęli.

Mówiła o tym z pewną satysfakcją i pojąłem, że dla dziecka, którego matka już nie żyje, jej śmierć w tragicznym, nieszczęśliwym wypadku staje się źródłem dumy.

— Rozumiem. Masz zatem... — spojrzałem ku drzwiom.

— To jest Ingrid. Przyjechała z Norwegii. Jest tutaj tylko dwa tygodnie. Jeszcze nie potrafi mówić po angielsku. Uczę ją.

— A ona uczy cię norweskiego?

— Nie bardzo.

— Lubisz ją?

— Tak. Jest w porządku. Jej potrawy są czasem dziwne. Wie pan, lubi jeść surowe ryby.

— Jadłem surowe ryby w Norwegii. Niektóre są bardzo dobre.

Geraldine miała wyraźne wątpliwości.
— Dziś próbuje zrobić placek z melasą.
— To chyba dobre.
— Aha... Tak, lubię placek z melasą. — Uprzejmie zapytała: — Przyszedł pan na lunch?
— Raczej nie. Szczerze mówiąc przechodziłem właśnie i wydawało mi się, że upuściłaś coś przez okno.
— Ja?
— Tak — podsunąłem jej nożyk do owoców.
Geraldine obejrzała go, najpierw podejrzliwie, potem z aprobatą.
— Jest dosyć ładny — stwierdziła. — Co to jest?
— Nożyk do owoców.
Otworzyłem go.
— Ach, wiem, można nim obrać skórkę z jabłek.
— Tak.
Westchnęła.
— Nie jest mój. Nie zgubiłam go. Dlaczego pan tak pomyślał?
— Cóż, patrzyłaś przez okno i...
— ...wyglądam prawie cały czas — wyjaśniła. — Upadłam i złamałam nogę.
— Pech.
— To nie był pech. Nie złamałam jej w interesujący sposób. Wysiadałam z autobusu i wóz nagle ruszył. Noga była także skaleczona i na początku trochę bolała, ale już nie boli.
— Musi ci być nudno.
— Tak. Ale tatuś przynosi mi różne rzeczy. Plastelinę, książki, kredki i układanki, i inne prezenty, ale robienie czegoś w końcu też nudzi, więc spędzam mnóstwo czasu patrząc przez to.
Pokazała mi z ogromną dumą małą lornetkę teatralną.
— Mogę popatrzeć? — spytałem.
Wziąłem ją, przystosowałem do moich oczu i wyjrzałem.
— Ale świetna — powiedziałem z uznaniem.
Rzeczywiście była znakomita. Tatuś Geraldine, jeśli to on był ofiarodawcą, nie żałował pieniędzy. Zdumiewające, jak wyraźnie widać było Wilbraham Crescent 19 i sąsiednie domy. Zwróciłem ją dziewczynce.
— Znakomita. Pierwsza klasa.
— Jest prawdziwa — oświadczyła Geraldine z dumą. — Nie udawana, albo dla dzieci.
— Nie... To widać.

— Prowadzę dziennik — wyjaśniła Geraldine.
Pokazała mi zeszyt.

— Zapisuję zdarzenia i ich czas. Zupełnie jak przy rozkładzie jazdy pociągów. Mam kuzyna, nazywa się Dick i zna się świetnie na lokomotywach. Gramy też w numery samochodowe. Wie pan, zaczyna się od 1 i sprawdza się, jak daleko można dojść.

— To dosyć fajna zabawa.

— Tak. Niestety tą ulicą jeździ mało samochodów, więc musiałam na razie skapitułować.

— Pewnie wiesz wszystko o tych domach na dole, kto tam mieszka i tak dalej. Rzuciłem to mimochodem, ale Geraldine zareagowała szybko.

— O tak. Oczywiście nie znam ich prawdziwych nazwisk, więc nadałam im własne.

— To musi być zabawne.

— To jest markiza Carrabas — powiedziała Geraldine. — Ta pod tymi zaniedbanymi drzewami. Jak kot w butach. Ma całe masy kotów.

— Rozmawiałem dziś z jednym. Z takim rudym.

— Tak, widziałam pana.

— Musisz być bardzo bystra. Pewnie nie przegapiasz wiele.

Geraldine uśmiechnęła się miło. Ingrid weszła zadyszana.

— Wszystko w porządku?

— Wszystko w porządku — powiedziała Geraldine stanowczo. — Nie musisz się niepokoić, Ingrid.

Kiwnęła energicznie głową i wykonała kilka pantomimicznych ruchów rękami.

— Wracaj i gotuj.

— Dobrze, idę. To miło, że masz gościa.

— Jak gotuje, jest zdenerwowana — wyjaśniła Geraldine. — Zwłaszcza kiedy próbuje czegoś nowego. Dlatego mamy czasem spóźnione posiłki. Cieszę się, że pan przyszedł. Kiedy ktoś rozproszy uwagę, nie myśli się wciąż o głodzie.

— Opowiedz mi więcej o ludziach z tamtych domów — zaproponowałem. — I o tym, co widzisz. Kto mieszka w następnym domu, tym ładnym?

— Tam żyje niewidoma kobieta. Jest zupełnie ślepa, ale potrafi chodzić tak dobrze, jakby widziała. Portier mi to powiedział. Harry. Jest bardzo miły i opowiada mi masę rzeczy. Powiedział mi o morderstwie.

— O morderstwie? — w moim głosie brzmiało stosowne zdumienie.

Geraldine przytaknęła. Promieniała ważnością udzielonej informacji.

— W tym domu popełniono morderstwo. Właściwie widziałam je.

— To bardzo ciekawe.

— Prawda? Nigdy przedtem nie widziałam morderstwa. To znaczy, nigdy nie widziałam miejsca, w którym stało się coś takiego.

— A co widziałaś?

— O tej porze niewiele się dzieje. Jest raczej pusto. To bardzo emocjonujące, jak ktoś wybiega z domu krzycząc. Wtedy zaraz wiadomo, że coś się stało.

— Kto krzyczał?

— Kobieta. Młoda i ładna. Wybiegła z domu i okropnie wrzeszczała. Ulicą szedł młody człowiek, a ona wybiegła przez furtkę i złapała go — o tak. — Pokazała jak, rzucając szybkie spojrzenie na mnie. — Był podobny do pana.

— Muszę mieć sobowtóra — powiedziałem lekko. — I co było dalej? To bardzo ciekawe.

— Posadził ją jakoś na ziemi, a sam wszedł do domu. Cesarz — ten rudy kot, nazwałam go Cesarzem, bo wygląda tak wyniosłe — przestał się myć i wydawał się zdziwiony, a potem panna Pikestaff wyszła ze swojego domu, tego numer 18 i stała na schodach gapiąc się.

— Panna Pikestaff?

— Nazywam ją tak, bo jest taka zwyczajna. Ma brata i tyranizuje go.

— Mów dalej — zachęciłem ją.

— Potem zdarzyły się różne rzeczy. Ten człowiek wyszedł z domu — jest pan pewny, że to nie był pan?

— Wyglądam bardzo pospolicie — rzekłem skromnie. — Jest wielu takich jak ja.

— Tak, to chyba prawda — odparła Geraldine z okrutną szczerością. — W każdym razie ten mężczyzna poszedł i zatelefonował z budki. Natychmiast przyjechała policja. — Jej oczy iskrzyły się. — Mnóstwo policji. Zabrali ciało w takim ambulansie. Oczywiście przyszło dużo ludzi i gapili się. Zobaczyłam Harry'ego, portiera z naszego domu. Potem opowiedział mi wszystko.

— Mówił, kto został zamordowany?

— Powiedział, że mężczyzna. Nikt nie wiedział, jak się nazywa.

— To szalenie ciekawe.

Modliłem się żarliwie, żeby Ingrid nie wybrała tego momentu, aby wnieść placek z melasą lub inne delicje.

— Cofnij się trochę. Opowiedz, co było wcześniej. Widziałaś, jak ten zamordowany przyszedł do domu?

— Nie, nie widziałam. Myślę, że musiał być tam cały czas.

— To znaczy, że tam mieszkał?

— Ależ nie, tam mieszka tylko panna Pebmarsh.

— Znasz jej prawdziwe nazwisko?

— Tak, było w gazetach. Pisali o tym. Dziewczyna, która krzyczała nazywa się Sheila Webb. Harry mówił mi, że ten zamordowany ma nazwisko Curry. Śmieszne nazwisko, jak coś do jedzenia. I, wie pan, zdarzyło się drugie morderstwo. Później, w budce tele-

fonicznej, tam dalej. Mogę ją dojrzeć stąd, jak się bardzo wychyłę. Oczywiście nic nie widziałam, ponieważ musiałabym się spodziewać, że coś się zdarzy, żeby patrzeć. Ale, rzecz jasna, nic nie wiedziałam. Tego ranka było tam dużo ludzi, gapiących się na domy. To głupie zajęcie, prawda?

— Tak, bardzo głupie.

W tym momencie ukazała się znowu Ingrid.

— Idę wkrótce — powiedziała uspokajająco. — Idę bardzo niedługo.

Wyszła ponownie.

— Naprawdę nie potrzebujemy jej — oświadczyła Geraldine. — Denerwuje się posiłkami. To jedyny, który ma ugotować, oprócz śniadania. Wieczorem tatuś idzie do restauracji i przynosi mi coś stamtąd. Rybę, albo coś podobnego. Nie prawdziwy obiad — dodała smutno.

— O której zwykle jadasz lunch?

— Ma pan na myśli mój obiad? Teraz zjem obiad. Nie jem obiadu wieczorem, to jest kolacja. Naprawdę jadam wtedy, kiedy Ingrid zdąży ugotować. Jest dosyć zabawna, jeśli chodzi o czas. Śniadanie robi punktualnie, ponieważ tatuś się gniewa, ale obiad robi o różnych porach. Czasem jemy o dwunastej, a czasem aż o drugiej. Ingrid mówi, że posiłków nie jada się o stałej porze, tylko gdy są gotowe.

— To wygodne. A kiedy jadłaś lunch — to znaczy obiad — w dniu morderstwa?

— To był jeden z tych dni z obiadem o dwunastej. Ingrid wychodzi. Idzie do kina albo uczesać się, a pani Perry przychodzi i dotrzymuje mi towarzystwa. Ona jest okropna. Głaszcz mnie.

— Głaszcz? — spytałem zaintrygowany.

— Po głowie. Mówi „słodkie dziewczątko”. Nie jest osobą, z którą można porozmawiać serio. Ale przynosi słodycze.

— Ile masz lat, Geraldine?

— Dziesięć. Dziesięć i trzy miesiące.

— Wydaje mi się, że nadajesz się do inteligentnej rozmowy.

— To dlatego, że dużo rozmawiam z tatusiem — odparła poważnie.

— Więc w dniu morderstwa jadłaś obiad wcześniej?

— Tak, i Ingrid mogła pozmywać i wyjść zaraz po pierwszej.

— A rano wyglądałaś przez okno, obserwując ludzi?

— Tak. Przez jakiś czas. Wcześniej, koło dziesiątej, rozwiązywałam krzyżówkę.

— Ciekaw jestem, czy widziałaś, jak pan Curry przybywa do tego domu?

Geraldine potrząsnęła głową.

— Nie widziałam. To rzeczywiście dziwne.

— Może przyszedł tam bardzo wcześnie.

— Nie wszedł frontowymi drzwiami, ani nie dzwonił do nich. Widziałabym go.

— Może przyszedł przez ogród. To znaczy z drugiej strony domu.

— Ach nie. Ogród graniczy z innymi domami. Ci ludzie nie życzyliby sobie, żeby ktoś przechodził przez ich posiadłość.

— To prawda.

— Chciałabym wiedzieć, jak on wyglądał.

— Był dosyć stary. Miał około sześćdziesiątki. Gładko wygolony, nosił ciemnoszare ubranie.

Geraldine potrząsnęła głową.

— To brzmi okropnie zwyczajnie — stwierdziła z dezaprobatą.

— Sądzę, że trudno ci odróżnić jeden dzień od drugiego, kiedy tak leżysz tutaj.

— To wcale nie jest trudne. Potrafię opowiedzieć panu wszystko o tamtym ranku. Wiem, o której przyszła pani Crab i o której wyszła.

— To sprzątaczką, prawda?

— Tak. Zmyka, jak krab. Ma małego chłopca. Czasem przyprowadza go ze sobą, ale tamtego dnia była sama. Około dziesiątej wychodzi panna Pebmarsh. Idzie uczyć dzieci w szkole dla niewidomych. Pani Crab wychodzi o dwunastej. Niekiedy ma ze sobą paczkę, której nie miała przychodzić. Pewnie trochę masła i sera, ponieważ panna Pebmarsh nie może zobaczyć. Dobrze pamiętam, co się stało tamtego ranka, bo Ingrid i ja posprzeczałyśmy się i ona nie chciała się do mnie odzywać. Uczę ją angielskiego i ona pytała, jak się mówi „do zobaczenia”. Powiedziała mi to po niemiecku. *Auf Wiedersehen*. Wiem, bo byłam kiedyś w Szwajcarii i ludzie tak mówili. Pozdrawiali się też *gruss Gott*. Po angielsku to brzmi jakoś niezbyt grzecznie.

— Więc co kazałaś Ingrid powiedzieć?

Geraldine zaczęła chichotać złośliwie i przez długą chwilę nie mogła się uspokoić, wreszcie wykrztusiła:

— Kazałam jej powiedzieć „wynoś się stąd do diabła!”. Powiedziała tak pani Bulstrode, która mieszka obok i oczywiście obraziła się. Ingrid odkryła to i była na mnie bardzo zła i nie byłyśmy przyjaciółkami aż do podwieczorku następnego dnia.

Przetrawiłem tę informację.

— Wobec tego skupiłaś się na swojej lornetce.

Geraldine przytaknęła.

— I stąd wiem, że pan Curry nie wszedł od frontu. Myślałam, że może jakoś dostał się tam w nocy i ukrył na strychu. Uważa pan, że to możliwe?

— Wszystko jest możliwe, ale to nie wydaje mi się prawdopodobne.

— Nie — zgodziła się dziewczynka. — Zgłodniałby, prawda? Nie mógł poprosić panny Pebmarsh o śniadanie, jeżeli ukrywał się przed nią.

— I nikt nie przyszedł do tego domu? Zupełnie nikt? Nikt w samochodzie — żaden dostawca, goście?

— Dostawca ze sklepu spożywczego przyjeżdża w poniedziałki i czwartki, mleko przywożą o pół do dziewiątej rano.

To dziecko było istną encyklopedią.

— Kalafiory i zieleninę panna Pebmarsh kupuje sama. Nie przyjeżdżał nikt oprócz wozu z pralni. Z nowej pralni — dodała.

— Z nowej pralni?

— Tak. Zwykle przyjeżdża Southern Downs Laundry. Tym razem była nowa, Snowflake Laundry. Nie znam jej. Musieli dopiero zacząć.

Walczyłem ciężko, żeby opanować ton zainteresowania w głosie. Nie chciałem, żeby zaczęła fantazjować.

— Odstawiali pranie czy przyjechali po bieliznę?

— Odwozili — odparła Geraldine. — W wielkim koszu. Znacznie większym niż zwykle.

— Panna Pebmarsh odebrała pranie sama?

— Nie, przecież znowu wyszła.

— O której to było?

— Dokładnie o 13.35. Zanotowałam to — powiedziała dumnie.

Podsunęła mi zeszyt i otworzywszy go wskazała dość brudnym palcem napis: 13.35 *przyjechała pralnia*. Nr 19.

— Powinnaś pracować w Scotland Yardzie.

— Mają tam kobiety detektywów? To by mi się podobało. Nie myślę o policjantkach. Uważam, że policjantki są głupie.

— Nie opowiedziałas mi dokładnie o wozie z pralni.

— Nic się nie stało. Kierowca wysiadł, otworzył samochód, wyjął kosz i pociągnął go naokoło domu do tylnych drzwi. Pewnie nie mógł wejść. Panna Pebmarsh musi je zamykać, więc zostawił kosz i wrócił.

— Jak wyglądał?

— Zwyczajnie.

— Tak jak ja?

— Nie, był znacznie starszy niż pan. Nie widziałam go dobrze, bo jechał tędy — pokazała na prawo. — Zatrzymał się przed numerem 19, choć to niewłaściwa strona ulicy. Potem wszedł przez furtkę, schylony nad koszem. Widziałam tylko tył głowy. Kiedy wychodził, wycierał twarz. Pewnie zgrzał się i zmęczył wynoszeniem kosza.

— A potem odjechał?

— Tak. Dlaczego uważa pan, że to takie ciekawe?

— Cóż, nie wiem. Może on widział coś interesującego?

Ingrid otworzyła gwałtownie drzwi. Wtoczyła stolik na kółkach.

— Teraz jemy obiad — oświadczyła wesoło.

— Pysznie — powiedziała Geraldine. — Umieram z głodu.

Wstałem.

— Muszę iść. Do widzenia, Geraldine.

— Do widzenia. A co z tym? — wzięła do ręki nożyk. — Nie jest mój — jej głos posmutniał. — Chciałabym, żeby był.

— Wygląda, jakby był niczyj.

— Jak znaleziony skarb?

— Coś takiego. Lepiej zatrzymaj go, dopóki ktoś się nie zgłosi. Ale nie sądzę — dodałem zgodnie z prawdą — że ktoś upomni się o to.

— Przynieś mi jabłko, Ingrid — zażądała Geraldine.

— Jabłko?

— Pomme! Apfel!

Dokładała wszelkich starań. Zostawiłem je z tym językowym problemem.

Rozdział dwudziesty szósty

Pani Rival otworzyła drzwi „Peacock’s Arms” i podeszła do baru odrobinę niepewnie. Mruczała coś pod nosem. Nie była tu obca i barman powitał ją życzliwie.

— Jak się masz, Flo. Jak leci?

— To nie jest w porządku — powiedziała pani Rival.

— To nie fair. Nie, to absolutnie nie w porządku. Wiem co mówię, Fred, a mówię, że to nie w porządku.

— Jasne, że nie — odparł Fred łagodząco. — Chciałbym wiedzieć, co ma być. To co zawsze, skarbie?

Pani Rival wyraziła zgodę skinieniem. Zapłaciła i zaczęła popijać. Fred przeniósł uwagę na innego klienta. Drink rozweselił trochę panią Rival. Jeszcze mamrotała pod nosem, ale trochę pogodniej. Kiedy Fred znalazł się w pobliżu, zwróciła się do niego troszkę łagodniej.

— Mimo wszystko nie zamierzam pogodzić się z tym. Nie zamierzam. Jeśli czegoś nie mogę znieść, to kłamstwa. Nie toleruję kłamstwa, nigdy nie tolerowałam.

— Jasne, że nie — zgodził się Fred.

Ocecił ją wprawnym okiem. — Wypiła, już trochę — pomyślał — potrafi wytrzymać jeszcze parę kieliszków. Coś ją niepokoi.

— Kłamstwo — rzekła pani Rival. — Kręta... kręta... — wiesz, jakie słowo mam na myśli.

— Jasne, że wiem.

— Odwrócił się, by powitać kolejnego znajomego. Zaczęto omawiać niezbyt chwalebne wyczyny pewnych kumpli. Pani Rival nadal mamrotała.

— Nie lubię i nie będę tolerować. Powiem tak. Ludzie nie mogą traktować mnie w ten sposób. Absolutnie nie mogą. To nie w porządku i jeśli się nie przeciwstawisz, nikt nie weźmie cię w obronę. Nalej mi jeszcze jednego, kochanie.

Fred usłuchał.

— Na twoim miejscu poszedłbym do domu po tym kieliszku — poradził.

Zastanawiał się, co też zdenerwowało staruszkę aż tak bardzo. Zwykle bywa w pogodnym nastroju. Przyjazna dusza, skora do śmiechu.

— To mi popsuje opinię — oświadczyła. — Kiedy ludzie proszą o zrobienie czegoś, powinni wszystko wyjaśnić. Muszą powiedzieć, o co chodzi i co zamierzają zrobić. Kłamcy. Parszywi kłamcy. Nie będę tego znosić.

— Na twoim miejscu zmykałbym do domu — poradził Fred, zauważywszy łzę spływającą po grubym makijażu. — Zanosi się na deszcz i to solidny. Zniszczy ci ten śliczny kapelusz.

Pani Rival uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

— Zawsze lubiłam bławatki. Och, nie wiem co robić.

— Poszedłbym do domu i uderzył w kimono — odparł barman życzliwie.

— No tak, ale...

— Słuchaj, nie chcesz chyba stracić tego ślicznego kapelusza.

— To prawda. To święta prawda. To bardzo głę... Gołąb... nie, to nie to... co ja chciałam powiedzieć?

— Głęboka uwaga.

— Dziękuję ci.

— Proszę bardzo — powiedział Fred.

Pani Rival zsunęła się z wysokiego stołka i ruszyła chwiejnie do drzwi.

— Chyba coś zdenerwowało starą Flo dziś wieczór — zauważył jeden z bywalców.

— Zwykle jest wesoła jak ptaszek, wszyscy jednak mamy wzloty i upadki — dorzucił drugi, ponury typ.

— Gdyby mi ktoś powiedział, że Jerry Grainger przyjdzie piąty, daleko za Królową Karoliną, nie uwierzyłbym. Jestem pewien, że to kant. Wyścigi dziś nie są uczciwe. Oni dają koniom narkotyki. Wszyscy tak robią.

Pani Rival wyszła z „Peacock’s Arms”. Popatrzyła w niebo dosyć niepewnie. Tak, może zanosilo się na deszcz. Szła dość spieszenie ulicą, skręciła w lewo, potem w prawo i zatrzymała się przed odrapanym domem. Kiedy wyjęła klucz i wchodziła po frontowych schodach, z dołu odezwał się głos, a z drzwi w kąciku wysunęła się głowa.

— Na górze czeka na panią jakiś dżentelmen.

Pani Rival zdziwiła się trochę.

— Na mnie?

— No, mam wrażenie, że pani nazwie go dżentelmenem. Dobrze ubrany, ale nie jest to lord Algernon Vere de Vere.

Pani Rival, znalazwszy szczęśliwie dziurkę od klucza otworzyła i weszła.

Dom śmierdział kapustą, rybami i eukaliptusem. Ta ostatnia woń była w hallu stałym elementem. Gospodyni pani Rival dbała o płuca podczas zimowych chłódów, a za-

czyniała troszczyć się o zdrowie już w połowie września. Pani Rival wdrapała, się na schody z pomocą poręczy, otworzyła drzwi na pierwszym piętrze, weszła i zamarła, a potem cofnęła się o krok.

— Och — powiedziała — to pan.

Inspektor Hardcastle podniósł się z krzesła.

— Dobry wieczór, pani Rival.

— Czego pan chce? — spytała niezbyt delikatnie.

— Przyjechałem służbowo do Londynu, a ponieważ chciałem poruszyć z panią pewne drobne kwestie, przyszedłem, licząc, że zastanę panią. Ta... ee... ta kobieta na dole była zdania, że zjawi się pani lada chwila.

— Och — powiedziała pani Rival. — No, nie wiem...

Inspektor podał jej krzesło.

— Proszę siadać — rzekł grzecznie.

Ich role były odwrócone. On zachowywał się jak gospodarz, ona jak gość. Pani Rival usiadła. Wpatrywała się w niego intensywnie.

— Co miał pan na myśli, mówiąc o paru drobiazgach?

— Szczegóły. Szczególiki, które wyszły na jaw.

— O Harrym?

— Właśnie.

— Chwileczkę — zaczęła kobieta wojowniczo. Woń alkoholu dotarła do nozdrzy inspektora. — Żyłam z Harrym. Nie chcę o nim więcej myśleć. Zgłosiłam się, kiedy zobaczyłam jego zdjęcie w gazecie? Przyszłam i powiedziałam panu o nim. Minęło już sporo czasu i nie mam ochoty wspominać tego. Nie potrafię nic więcej sobie przypomnieć. Przekazałam panu wszystko i nie chcę o nim więcej słyszeć.

— Jest maleńki punkt do wyjaśnienia — przerwał jej przepraszająco inspektor.

— No dobrze — rzekła pani Rival niechętnie. — Załatwmy tę sprawę.

— Rozpoznała pani tego człowieka jako swego męża, czy też mężczyznę z którym przeżyła pani rodzaj małżeństwa, około piętnastu lat temu. Dobrze mówię?

— Myślę, że do tego czasu powinien pan wiedzieć doskonale, ile lat temu to było.

„Bardziej bystra, niż sądziłem”, pomyślał inspektor.

— Ma pani rację. Sprawdziliśmy to. Wzięliście ślub 15 maja 1948 roku.

— Mówią, że maj jest nieszczęśliwy dla panny młodej. Mnie rzeczywiście nie przyniósł szczęścia.

— Mówią, że maj jest nieszczęśliwy dla panny młodej. Mnie rzeczywiście nie przyniósł szczęścia.

— Mimo upływu lat potrafiła pani rozpoznać męża bez trudności.

Pani Rival poruszyła się niespokojnie.

— Nie postarzał się bardzo. Zawsze dbał o siebie.

— I dała nam pani dodatkową wskazówkę. Napisała pani o bliźnie.

— To prawda. Była za lewym uchem. Tutaj — wskazała miejsce.

— Za lewym uchem? — Hardcastle zaakcentował słowo „lewym”.

— Noo... — kobieta jakby zwątpiła. — Tak mi się wydaje. Nigdy się nie pamięta, że czyjaś lewa strona jest u stojącego przed nim prawą. Ale tak, to była lewa strona jego szyi. Tutaj — wskazała znowu to samo miejsce.

— I skaleczył się przy goleniu?

— Tak. Pies skoczył na niego. Mieliśmy wtedy bardzo żywego psa. Skoczył na Harry’ego, gdy trzymał brzytwę i ostrze weszło głęboko. Bardzo krwawił. Zagoiło się, ale ślad pozostał — mówiła już pewniej.

— To bardzo cenna informacja. Ostatecznie jeden mężczyzna może być podobny do drugiego, zwłaszcza gdy minie wiele lat. Ale znaleźć mężczyznę podobnego do pani męża, który ma bliznę w tym samym miejscu, to potwierdzenie identyfikacji. Wydaje się, że posunęliśmy się do przodu.

— Cieszę się, że jest pan zadowolony.

— Kiedy zdarzył się ten wypadek z brzytwą?

Pani Rival zastanowiła się.

— To było jakieś sześć miesięcy po ślubie. Tak. Dostaliśmy psa w lecie.

— Więc to się stało w październiku lub listopadzie 1948 roku. Tak?

— Tak jest.

— A po odejściu męża w roku 1951...

— Nie tyle odszedł, co go wyrzuciłam — rzekła pani Rival z godnością.

— Tak. Jakkolwiek to pani określi. W każdym razie, po wyrzuceniu męża w 1951 nie widziała go pani aż do momentu ujrzania zdjęcia w gazecie.

— Tak. Powiedziałam to panu.

— I jest pani tego zupełnie pewna?

— Oczywiście. Nie widziałam Harry’ego do chwili... no... w kostnicy.

— Wie pani, to dziwne. To bardzo dziwne.

— Co... co pan ma na myśli?

— Ciekawa rzecz, tkanka bliznowata. Dla nas nie znaczy wiele. Blizna to blizna. Ale lekarze potrafią powiedzieć na ten temat znacznie więcej. Są w stanie określić z grubszą wiek blizny.

— Nie wiem, o co panu chodzi.

— To proste. Według naszego lekarza i innych, z którymi się konsultowaliśmy, blizna za uchem pani męża nie może być starsza niż pięć do sześciu lat.

— Bzdura — oświadczyła pani Rival. — Nie wierzę w to. Ja... nikt nie potrafi powiedzieć. W każdym razie nie było...

— Więc widzi pani — powiedział Hardcastle gładko — jeśli ta blizna ma pięć czy

sześć lat, to znaczy, że ten mężczyzna nie miał blizny przed 1951 rokiem, do kiedy był pani mężem.

— Może nie miał. W każdym razie to Harry.

— Ale od tego czasu pani go nie widziała. To skąd pani wie o bliźnie?

— Pan mi wszystko pomylił — rzekła pani Rival. — Okropnie pan poplątał. Może to nie było w 1948 roku. Nie można dokładnie zapamiętać. W każdym razie Harry miał tę bliznę i ja o tym wiem.

— Rozumiem — powiedział Hardcastle wstając.

— Sądzę, że powinna pani przemyśleć swoje zeznanie. Nie chcę, żeby wpadła pani w kłopoty.

— Co ma pan na myśli?

— Cóż — odrzekł inspektor — krzywoprzysięstwo.

— Krzywoprzysięstwo. Ja!

— Tak. To bardzo poważne przekroczenie prawa. Mogłaby pani mieć kłopoty. Nawet znaleźć się w więzieniu. Oczywiście nie była pani zaprzysiężona, ale może będzie pani musiała złożyć to zeznanie w prawdziwym sądzie, pod przysięgą. A zatem, powinna pani przemyśleć to bardzo starannie. Może ktoś podsunął pani myśl, aby opowiedzieć nam tę historię o bliźnie?

Pani Rival podniosła się. Wyprostowała się, jej oczy błyszczały. Była w tym momencie wspaniała.

— Jak żyję, nie słyszałam takich bzdur. Zupełny idiotyzm. Spełniam swój obowiązek. Przychodzę i mówię wszystko, co mogę sobie przypomnieć. Jeśli zrobiłam błąd, to chyba naturalne. Ostatecznie spotykałam wielu — no — zaprzyjaźnionych panów i każdemu może się coś pomylić. Ale nie sądzę, że tak jest. Ten mężczyzna to Harry, a Harry miał bliznę za lewym uchem, tego jestem pewna. A teraz, inspektorze Hardcastle, niech pan sobie pójdzie, zamiast insynuować, że ja kłamię.

Inspektor wstał natychmiast.

— Dobranoc, pani Rival. Proszę to przemyśleć. To wszystko.

Pani Rival pogardliwie odrzuciła głowę. Hardcastle wyszedł i w tej samej chwili wyzywająca postawa kobiety zmieniła się błyskawicznie. Wydawała się przestraszona i niespokojna.

— Tak mnie zrobić — mruknęła. — Nie będę tego ciągnąć. Nie zamierzam dla kogoś wpaść w kłopoty. Żeby opowiadać mi niestworzone historie, okłamywać mnie, oszukiwać. To potworne. Naprawdę potworne. Tak powiem.

Chodziła chwiejnie po pokoju, aż powziąwszy decyzję wyjęła z kąta parasolkę i wyszła. Dotarła do końca ulicy, zawahała się przy budce telefonicznej, poszła jeszcze kawałek na pocztę i zmieniła pieniądze. Weszła do jednej z telefonicznych kabin. Wykręciła numer centrali i zamówiła rozmowę. Stała czekając, aż zabrzmi sygnał.

— Proszę mówić. Pani zamawiany numer na linii.

— Hallo... — zaczęła ach, to ty. Tutaj Flo. Wiem, że nie kazałeś mi dzwonić, ale musiałam. Nie byłeś ze mną uczciwy. Nie powiedziałeś mi, w co daję się wrobić. Mówiłeś tylko, że będzie dla ciebie okropne, jeśli zidentyfikują tego człowieka. Ani przez chwilę nie śniłam, że będę wmieszana w morderstwo... Tak, oczywiście, wspomniałeś, ale to nie było to... Tak, uważam, że jesteś w to wmieszany... Powiadam ci, że nie zamierzam tolerować... Chodzi o to, że się jest współ... wiesz, o jakie słowo chodzi, współsprawca, czy coś takiego. W każdym razie oznacza to, że się jest czymś po fakcie i jestem przerażona... Ten pomysł, żebym napisała do nich i zasunęła ten kawałek o bliźnie. Teraz okazuje się, że on miał tę bliźnię tylko rok czy dwa, a ja przysięgałam, że miał ją odchodząc ode mnie całe lata temu... i to jest krzywoprzysięstwo, i mogę pójść za to do więzienia. Te twoje próby skołowania mnie to nic dobrego... Nie... Zawdzięczać coś komuś to jedno... Wiem... Wiem, że zapłaciłeś za mnie. I do tego wcale nie dużo... No dobrze, posłucham cię, ale nie zamierzam... Dobrze, dobrze, uspokoję się... Co mówisz?... Ile?... To kupa forsy. Skąd mam wiedzieć, że akurat masz... Tak, to co innego. Przysięgasz, że nie miałaś z tym nic wspólnego? To znaczy z zabiciem kogokolwiek... Nie, jestem pewna, że ty nie. Czasem wiązałeś się z innymi osobami i one posuwały się dalej, niż ty byś to zrobił, ale to nie twoja wina... Zawsze wyjaśniasz wszystko tak wiarygodnie... Ty zawsze... Dobrze, pomyślę, ale to musi nastąpić niebawem... Jutro? O której?... Tak... Przyjadę, ale nie chcę czeku. Może być bez pokrycia... Nie wiem do prawdy, czy powinnam mieszać się w takie sprawy, nawet... Dobra, jeśli tak mówisz... Nie chciałam być nieprzyjemna. No to w porządku.

Wyszła z urzędu pocztowego i szła zygzakiem po chodniku, uśmiechając się do siebie.

Dla takich pieniędzy warto zaryzykować mały kłopot z policją. To by ją urządziło. A ryzyko nie było wcale tak wielkie. Musi tylko powiedzieć, że zapomniała. Mnóstwo kobiet nie umie sobie przypomnieć rzeczy, które zdarzyły się zaledwie przed rokiem. Powinna twierdzić, że pomyliła Harry'ego z innym mężczyzną. Och, może wymyślić masę rzeczy.

Pani Rival posiadała wrodzony spryt. Jej nastrój poprawił się tak szybko, jak poprzednio podupadł. Zaczęła dumać poważnie, na co by wydać pieniądze...

Rozdział dwudziesty siódmy

Relacja Colina Lamba

I

— Chyba nie wyciągnąłeś zbyt wiele od tej Ramsay — pułkownik Beck był niezadowolony.

— Nie było wiele do wyciągania.

— Jesteś tego pewien?

— Tak.

— Nie jest aktywnym członkiem partii?

— Nie.

Beck popatrzył na mnie badawczo.

— Zadowolony? — zapytał.

— Niezupełnie.

— Miałeś nadzieję na coś więcej?

— To nie wypełnia luki.

— Musimy rozejrzeć się jeszcze gdzieś... zrezygnować z zaułków, co?

— Tak.

— Jesteś bardzo lakoniczny. Masz kaca?

— Nie nadaję się do tej roboty — powiedziałem powoli.

— Chcesz, żebym pogłaskał cię po główce i powiedział „no, no”?

Wbrew sobie uśmiechnąłem się.

— To już lepiej — zauważył Beck. — A teraz, o co chodzi? Pewnie kłopoty z dziewczyną.

Potrząsnąłem głową. — To narasta od jakiegoś czasu.

— Szczerze mówiąc, spostrzegłem to — powiedział Beck niespodziewanie. — Na

świecie wszystko się pokręciło. Rozwiązania nie są klarowne jak kiedyś. Kiedy różnie zniechęcenie, zaczyna się rozpad. Grzyb niszczący ściany. Jeżeli tak jest, przestałeś być dla nas użyteczny. Zrobiłeś kawał dobrej roboty, mój, chłopcze. Ciesz się z tego. Wracaj do swoich przeklętych wodorostów. — Przerwał i zapytał: — Naprawdę lubisz te ohydne rzeczy!

— Cała dziedzina wydaje mi się pasjonująca.

— Ja uważam to za wstrętne. Wspaniała różnorodność w naturze, co? Mam na myśli upodobania. Co z twoim osobliwym morderstwem? Stawiałem na dziewczynę.

— Jest pan w błędzie — odparłem.

Beck pogroził mi palcem ostrzegawczo i dobrotliwie.

— Powiadam ci „czuj czuwaj” i to nie w harcerskim sensie.

Poszedłem przez Charing Cross Road głęboko zamyślony. Na stacji metra kupiłem gazetę.

Przeczytałem, że wczoraj, w godzinach szczytu, na stacji Victoria zasłabła kobieta i zabrano ją do szpitala. Po przybyciu na miejsce okazało się, że została zasztyletowana. Zmarła nie odzyskawszy przytomności.

Nazywała się Merlina Rival.

II

Zadzwoiłem do Hardcastle'a.

— Tak — odparł w odpowiedzi na moje pytanie. — Właśnie tak, jak pisać.

Jego głos brzmiał surowo i gorzko.

— Poszedłem do niej poprzedniego wieczoru. Powiedziałem, że historia o bliźnię nie trzyma się kupy. Tkanka blizny jest stosunkowo świeża. Śmieszne, jak ludzie robią gafy. Próbuja przedobrzyć. Ktoś zapłacił tej kobiecie za zidentyfikowanie zabitego jako jej męża, który uciekł od niej przed laty. — Zrobiła to bardzo dobrze! Uwierzyłem jej. Potem jednak zrobiła się zbyt chytra. Gdyby przypomniała sobie tę małą, nieważną bliźniękę po namyśle, byłoby przekonujące i zakończyłoby identyfikację. Gdyby wyskoczyła z tym natychmiast, mogłoby być za gładkie.

— Więc Merlina Rival siedziała w tym po szyję?

— Raczej w to wątpię. Przypuszczalnie stary przyjaciel lub znajomy przyszedł do niej i powiedział: „Słuchaj, jestem w kropce. Facet, z którym miałem interesy, został zamordowany. Jeżeli go zidentyfikują i nasze sprawy wyjdą na jaw, to będzie klęska. Ale jeżeli pójdziesz na policję i powiesz, że to jest twój mąż Harry Castleton, który prysnął wiele lat temu, cała sprawa zakończy się na tym”. I w tym momencie wspomniał o przyjemnej sumce. A ona powiedziała O.K. i zrobiła to.

— Nie podejrzewała nic?

— Nie była kobietą podejrzliwą. Na Boga, Colin, za każdym razem kiedy łapiemy mordercę, ludzie znający go nie mogą uwierzyć, że mógł zrobić coś podobnego!

— A co się stało, kiedy poszedłeś do niej?

— Napędziłem jej stracha. Po moim wyjściu zrobiła to, czego się spodziewałem. Spróbowała skontaktować się z osobą, która ją w to wplątała. Oczywiście kazałem ją śledzić. Poszła na pocztę i rozmawiała z automatu. Niestety nie był to aparat, o którym myślałem, na końcu jej ulicy. Musiała zmienić pieniądze. Wyszła z kabiny zadowolona. Obserwowaliśmy ją, ale nie działo się nic interesującego, aż do wczorajszego wieczoru. Poszła na dworzec Victoria i kupiła bilet do Crowdean. Było pół do siódmej, godzina szczytu. Nie pilnowała się. Sądziła, że spotka się z kimś w Crowdean. Jednak przebiegły diabeł wyprzedził ją o krok. Najłatwiejsza rzecz dla gangu, to zebrać się w kilka osób za ofiarą i wbić nóż... Przypuszczam, że nie wiedziała nawet, że została zakłuta. Ludzie zwykle nie zdają sobie sprawy. Pamiętasz przypadek Bartona w sprawie rabunku dokonanego przez gang Levitti? Przeszedł całą ulicę, zanim padł. Tylko ostry ból, potem myślisz, że wszystko jest w porządku. A nie jest. Idziesz martwy, choć o tym nie wiesz. — Niech to jasna cholera! — zakończył.

— Sprawdzaleś kogoś?

Musiałem zapytać o to. Nie mogłem się powstrzymać.

Odpowiedział szybko i ostro.

— Ta Pebmarsh była wczoraj w Londynie. Załatwiła jakieś sprawy dla instytutu i wróciła do Crowdean pociągiem o 19.40. — Przerwał. — A Sheila Webb wzięła maszynopis, aby sprawdzić go z zagranicznym autorem, który był w Londynie w drodze do Nowego Jorku. Wyszła z „Ritza” około 17.30 i przed powrotem do domu poszła do kina, sama.

— Słuchaj, Hardcastle — powiedziałem. — Mam coś dla ciebie. Potwierdzone przez naocznego świadka. Dziewiątego września o 13.35 na Wilbraham Crescent zajeżdżał wóz z pralni. Mężczyzna, który go prowadził, odstawił ogromny kosz pod tylne drzwi domu nr 19. Był to szczególnie duży kosz.

— Pralnia? Co za pralnia?

— Snowflake Laundry. Znasz taką?

— W tej chwili nie pamiętam. Wciąż pojawiają się nowe firmy. To bardzo pospolita nazwa pralni.

— Dobrze, sprawdź. Mężczyzna prowadził samochód i mężczyzna ciągnął kosz do domu...

W głosie Hardcastle’a zabrzmiało podejrzenie.

— Zmyśliłeś to, Colin?

— Nie. Mówię ci, że mam świadka. Sprawdź to, Dick. Rusz się.

Rozłączyłem się, zanim zaczął mnie piłować dalej.

Wyszedłem z budki i spojrzałem na zegarek. Miałem sporo do zrobienia, a chciałem być z daleka od Hardcastle’a, kiedy to będę robił. Musiałem ułożyć moje dalsze życie.

Rozdział dwudziesty ósmy

Relacja Colina Lamba

I

Pięć dni później o jedenastej wieczorem przybyłem do Crowdean. Udałem się do hotelu „Clarendon”, wziąłem pokój i poszedłem spać. Poprzedniego wieczoru zmęczyłem się, więc zasnęłem. Obudziłem się za kwadrans dziesiąta.

Zamówiłem kawę, tost i gazetę. Wszystko przyniesiono razem z wielką, kwadratową kopertą, zaadresowaną do mnie, ze słowami DO RĄK WŁASNYCH w lewym górnym rogu.

Obejrzałem ją z pewnym zdziwieniem. Papier był gruby i kosztowny, napis wyraźny.

Pooglądawszy, wreszcie ją otworzyłem.

Wewnątrz była kartka papieru. Wielkimi literami wydrukowano na niej te słowa:

HOTEL „CURLEW” 11.30

POKÓJ 413

(Pukać trzy razy)

Przyglądałem się kartce, obracając ją w rękach — co to znaczy?

Zwróciłem uwagę na numer pokoju — 413 — to samo, co na zegarach. Zbieg okoliczności? A może nie?

Zamierzałem zadzwonić do hotelu. Zamierzałem zadzwonić do Hardcastle’a. Nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy.

Moja ospałość minęła. Ogoliłem się, umyłem, ubrałem i poszedłem do hotelu „Curlew” o oznaczonej godzinie.

Lato prawie minęło. W hotelu nie było wielu ludzi.

Nie zasięgnąłem informacji w recepcji. Pojechałem windą na czwarte piętro i udałem się do pokoju numer 413.

Stałem tam chwilę, potem, czując się jak kompletny dureń, zapukałem trzy razy...

Jakiś głos powiedział: — Proszę wejść.

Nacisnąłem klamkę; drzwi nie były zamknięte. Wszedłem do środka i stanąłem jak wryty.

Zobaczyłem ostatnią osobę, jakiej się spodziewałem.

Przede mną siedział Herkules Poirot. Na mój widok rozpromienił się.

— *Une petite surprise, n'est ce pas?** — zapytał. — Mam nadzieję, że przyjemna.

— Poirot, stary lisie — wykrzyknąłem. — Skąd się tu wzięłeś?

— Przyjechałem bardzo wygodnie limuzyną daimler.

— Ale co tu robisz?

— Sytuacja była irytująca. Oni upierali się bardzo stanowczo przy odnowieniu mojego mieszkania. Wyobraź sobie ten kłopot. Co robić? Dokąd iść?

— Jest mnóstwo miejsc — odparłem chłodno.

— Możliwe, ale lekarz zalecił mi morskie powietrze.

— Jeden z tych usłużnych lekarzy, którzy dowiadują się, dokąd pacjent chce pojechać i to właśnie mu doradzają! To ty przysłałeś mi tę rzecz? — potrząsnąłem otrzymanym listem.

— Naturalnie — a któż by inny?

— I to jest zbieg okoliczności, że masz pokój numer 413?

— Ależ nie. Zamówiłem go specjalnie.

— Dlaczego?

Poirot przechylił głowę i mrugnął na mnie.

— Wydało mi się to stosowne.

— A trzykrotne pukanie?

— Nie potrafiłem się oprzeć. Gdyby można było załączyć gałązkę rozmarynu, byłoby jeszcze lepiej. Myślałem też żeby zaciąć się w palec i zrobić krwawy odcisk na drzwiach. Ale co za dużo to niezdrowo! Mógłbym dostać zakażenia.

— Przypuszczam, że to zdziwienie — zauważyłem oziębłe. — Kupię ci balonik i pluszowego misia dziś po południu.

— Widzę, że moja niespodzianka nie uradowała cię. Nie wyrażasz radości z powodu ujżenia mnie.

— Spodziewałeś się tego?

— *Pourquoi pas?*** No, bądźmy poważni. Teraz ja muszę mieć swoją częśćkę błazena-

*fr. mała niespodzianka, prawda?

**fr. dlaczego nie?

dy. Sądę, że będę mógł wam pomóc. Zadzwoiłem do komisarza, który był niesłychanie uprzejmy i teraz oczekuję twojego przyjaciela, inspektora Hardcastle'a.

— I co zamierzasz mu powiedzieć?

— Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy porozmawiać w trójkę.

Spojrzałem na niego i uśmiechnąłem się. Mógł to nazywać rozmową, ale ja wiedziałem, kto wygłosi odczyt.

Herkules Poirot!

II

Zjawił się Hardcastle. Nastąpiło przedstawianie i powitania. Usiedliśmy swobodnie. Dick od czasu do czasu patrzył ukradkiem na Poirota, jak człowiek w zoo studiujący nowy, zadziwiający nabytek. Wątpię czy kiedyś spotkał kogoś podobnego do Herkulesa Poirot!

Kiedy wreszcie wymieniono uprzejmości i komplementy, Hardcastle odchrząknął:

— Przypuszczam, panie Poirot — zaczął ostrożnie — że zechce pan poznać całą sprawę osobiście? To nie będzie łatwe... — zawahał się. — Komisarz polecił mi, abym zrobił dla pana wszystko co możliwe. Musiał pan zdawać sobie sprawę, że będą trudności, pytania, sprzeczności. Skoro jednak przyjechał pan specjalnie...

Poirot przerwał mu z pewnym chłodem.

— Przyjechałem tu ze względu na przebudowę i remont mego mieszkania w Londynie.

Zarząłem głośnym śmiechem i Poirot rzucił mi spojrzenie pełne wyrzutu.

— Pan Poirot nie musi oglądać miejsca zbrodni. Upiera się, że można zrobić wszystko siedząc w fotelu. Ale to nie jest prawda, co przyjacielu? Po co tu przyjechałeś?

Poirot odparł z godnością:

— Mówiłem, że nie ma potrzeby być psem gończym, biegającym za tropem. Przyznam jednak, że do polowania pies jest konieczny. Pies myśliwski, młodzieńcze. Dobry pies myśliwski.

Zwrócił się do inspektora. Podkręcił wąsa z satysfakcją.

— Niech pan powie, czy nie przypominam Anglika z tą psią obsesją? Ja sam mogę żyć bez psa. Niemniej akceptuję wasz ideał. Człowiek kocha swego psa i dba o niego. Ulega mu, chełpi się jego inteligencją i mądrością. Teraz niech pan wyobrazi sobie odwrotną sytuację! Pies lubi swego pana. Ulega mu! Chełpi się jego inteligencją, jego mądrością. Skoro pan, nie mając na to ochoty, wychodzi z psem, żeby sprawić mu przyjemność, pies będzie usiłował się odwdziaczyć.

— Tak też było z moim sympatycznym przyjacielem, Colinem. Przyszedł mnie odwiedzić, a nie prosić o pomoc w rozwiązaniu swego problemu; był przeświadczony, że

potrafi rozwiązać go sam i zamierzam to zrobić. Po prostu zaniepokoił się, że nie mam nic do roboty i jestem od dawna samotny, więc przyniósł mi problem, który według niego powinien być mnie zainteresować i zająć. W ten sposób wyzwał mnie — wyzwał, abym zrobił to, co przedstawiłem mu jako możliwe — abym rozwiązał zagadkę, siedząc we własnym fotelu. Podejrzewam, że kryła się w tym mała, nieszkodliwa złośliwość. Chciał udowodnić mi, że to wcale nie jest łatwe. *Mais oui, mon ami* to prawda! Chciałeś mnie wyśmiać, choć tylko troszeczkę! Nie robię ci wyrzutów. Mówię jedynie, że nie znalazłem swojego Herkulesa Poirot.

Wypiął pierś i podkręcił wąsa.

Popatrzyłem na niego uśmiechając się czule.

— Dobrze więc — powiedziałem. — Daj mi odpowiedź na tę zagadkę, jeśli ją znasz.

— Ależ oczywiście znam!

Hardcastle patrzył na niego z niedowierzaniem.

— Powiada pan, że wie, kto zabił mężczyznę na Wilbraham Crescent 19?

— Oczywiście.

— I kto zabił Ednę Brent?

— Naturalnie.

— I zna pan tożsamość zabitego?

— Wiem, kim on musi być.

Hardcastle miał minę pełną wątpliwości. Pamiętając o komisarzu był uprzejmy. W jego głosie brzmiał jednak sceptycyzm.

— Proszę wybaczyć, panie Poirot, pan utrzymuje, że zna pan zabójcę trzech osób.

I zna pan pobudki tej osoby?

— To również.

— Ma pan sprawę zapiętą na ostatni guzik?

— Co to, to nie.

— Wszystko co masz, to są domysły — wtrąciłem niegrzecznie.

— Nie będę się kłócił z tobą o słowo, *mon cher* Colin. Mówię, że wiem!

Hardcastle westchnął.

— Widzi pan, panie Poirot, ja potrzebuję dowodów.

— Naturalnie, ale ma pan do dyspozycji środki, z pomocą których zdobędzie je pan.

— Nie jestem pewien.

— Proszę posłuchać, inspektorze. Jeśli pan naprawdę wie, czyż nie jest to pierwszy krok? Czy nie może pan, prawie zawsze, zacząć od tego?

— Nie zawsze — powiedział Hardcastle z westchnieniem. — Po świecie chodzi dziś wielu ludzi, którzy powinni być w pudle. Oni wiedzą o tym i my również.

— Jest to bardzo mały procent...

Przerwałem mu.

— Dobra, dobra. Ty wiesz... Teraz podziel się tym z nami!

— Widzę, że wciąż jesteś sceptyczny. Pozwól najpierw powiedzieć mi jedno: być pewnym oznacza, że gdy dojdzie do wyjaśnienia, wszystko będzie pasowało. Uświadomisz sobie, że zdarzenia nie mogły przebiegać inaczej.

— Do pioruna — wykrzyknąłem — zacznij wreszcie! Przyznaję ci wszystkie zdobyte punkty.

Poirot usadowił się wygodniej i dał znak inspektorowi, aby ponownie napełnił jego szklaneczkę.

— Musicie, drodzy przyjaciele, zrozumieć jedną rzecz. Żeby rozwiązać jakiś problem, trzeba znać fakty. Do tego niezbędny jest pies gończy, który przyniesie je, jeden po drugim i położy je u...

— U stóp pana — wtrąciłem. — To zostało udowodnione.

— Nie można siedząc w fotelu wyjaśnić sprawy wyłącznie na podstawie czytanych gazet. Po pierwsze, fakty muszą być ściśle, a gazety rzadko bywają dokładne. Donoszą, że coś zdarzyło się o czwartej, kiedy było kwadrans po czwartej, że mężczyzna miał siostrę Elżbietę, gdy naprawdę miał szwagierkę imieniem Aleksandra. I tak dalej. W osobie Colina mam psa o dużych zdolnościach, które daleko go zaprowadzą. Zawsze miał znakomitą pamięć. Potrafi powtórzyć panu, nawet kilka dni później, słyszaną rozmowę. Powtórzy ją ściśle, a nie jak większość z nas, tylko w ogólnym zarysie. Dla przykładu: on nie mówi „pocztę przyniesiono dwadzieścia po jedenastej”, zamiast opisu zdarzenia, mianowicie, że ktoś zapukał do drzwi i wszedł do pokoju z listami w ręce. To jest bardzo ważne. To znaczy, że obaj słyszeliśmy i widzieliśmy to samo.

— Tylko biedny pies nie umie dedukować?

— A więc, mam fakty, tyle ile to jest możliwe. Jestem wprowadzony. To twoje określenie? Kiedy Colin relacjonował mi tę historię, uderzył mnie natychmiast jej nierealny charakter. Cztery zegary, wszystkie śpieszące się o przeszło godzinę wniesiono do domu bez wiedzy właściciela, przynajmniej według jego słów. Dlaczego mamy wierzyć we wszystko, co się nam mówi, zanim sprawdzimy zeznania?

— Pański umysł pracuje w taki sam sposób jak mój — rzekł Hardcastle z aprobatą.

— Na podłodze leży mężczyzna — szacownie wyglądający, starszy mężczyzna. Nikt nie wie, kim jest (lub wszyscy tak twierdzą). W kieszeni ma wizytówkę z nazwiskiem R.H. Curry, Denvers Street 7, Stołeczne Towarzystwo Ubezpieczeń. Ale Stołeczne Towarzystwo Ubezpieczeń nie istnieje i, jak się zdaje, pan Curry również. Nie ma Denvers Street. Jest to dowód negatywny, ale jednak dowód. Idziemy dalej. Za dziesięć druga agencja biurowa otrzymała rzekome zamówienie od panny Millicent Pebmarsh, by wysłać stenografkę na Wilbraham Crescent, na trzecią. Chodziło specjalnie o pannę Sheilę Webb. Panna Webb została wysłana. Przybyła na miejsce parę minut przed trze-

cią; zgodnie z instrukcją weszła do bawialni, znajdując tam na podłodze martwego mężczyznę. Wybiegła z domu, krzycząc i rzuciła się w ramiona pewnego młodego człowieka.

Poirot przerwał i spojrzał na mnie. Potwierdziłem:

— Wchodzi nasz młody bohater.

— Widzisz — rzekł Poirot. — Nie potrafisz oprzeć się użyciu żartobliwego tonu, kiedy mówisz o tym. Cała historia jest melodramatyczna, dziwaczna i zupełnie nierealna. Przypomina historyjki z książek Garry'ego Gregsona. Wspomnę, że w momencie przybycia Colina z tą opowieścią rozpocząłem przegląd autorów powieści kryminalnych z ostatnich sześćdziesięciu lat. Niezmiernie interesujące. Pozwala na przyjrzenie się współczesnym zbrodniom w świetle fikcji. Kiedy stwierdzam, że pies nie szczekał, wtedy gdy powinien, powiadam: „Ha! Zbrodnia w stylu Sherlocka Holmesa!”. Podobnie, jeśli zwłoki znaleziono w dokładnie zamkniętym pokoju, mówię naturalnie: „Ha! Przypadek Dicksona Carra!”. Jest jeszcze moja przyjaciółka, pani Oliver. Gdybym znalazł... ale nie powiem więcej. Rozumiecie, o co mi chodzi? Jeśli przedstawia się zbrodnię w tak szalenie nieprawdopodobnych okolicznościach, natychmiast opanowuje człowieka myśl, że ta książka jest nieprawdziwa. Wszystko jest nierealne. Niestety, nie można tak powiedzieć w przypadku waszej historii. To się zdarzyło naprawdę. Daje to dużo do myślenia.

Hardcastle wyłożyłby sprawę inaczej, ale zgadzał się z tą opinią i przytaknął żywo. Poirot ciągnął:

— Jest to jakby przeciwieństwo chestertonowskiego „Gdzie ukryć liść? W lesie. Gdzie ukryć kamyk? Na plaży”. Tutaj mamy wybryk, fantazję, teatralność. Jeśli będę imitował dalej Chestertona: „gdzie kobieta w średnim wieku ukrywa więdnącą urodę?”, nie odpowiadam „między innymi więdnącymi twarzami w średnim wieku”. Wcale nie. Ukrywa ją pod makijażem, pod różem i tuszem, wśród eleganckich futer, w które się otula, w biżuterii na szyi i w uszach. Podąża pan za moją myślą?

— No... — powiedział inspektor, tając fakt, że niezupełnie nadaża.

— A to dlatego, że ludzie będą patrzeć na futra i biżuterię, fryzurę i *haute couture* i nie zwrócą uwagi, do kogo jest podobna kobieta! Powiedziałem zatem do mego przyjaciela Colina: „skoro to morderstwo ma tyle dziwacznych ozdóbek, mających rozproszyć uwagę, to musi być bardzo proste”. Tak rzekłem?

— Tak jest — odparłem. — Wciąż jednak nie wiem, dlaczego miałbyś mieć rację.

— Na to musisz poczekać. Odrzucamy więc ozdóbki i docieramy do sedna. Zabito mężczyznę. Dlaczego? I kim on jest? Odpowiedź na pierwsze pytanie zależy oczywiście od odpowiedzi na drugie. I dopóki nie uzyskamy tych odpowiedzi, nie zaczniemy posuwać się naprzód. Mógł być szantażystą, oszustem lub mężem, który obrzydł żonie, albo stał się dla niej niebezpieczny. Mógł być jedną z tuzina innych osób. Im więcej słu-

chałem, tym bardziej wszyscy zdawali się być zgodni, że wyglądał na zwykłego, szanowanego, zamożnego mężczyznę. I nagle pomyślałem sobie: „Mówisz, że to powinna być prosta zbrodnia? Bardzo dobrze, ujmijmy to w taki sposób. Niech ten człowiek będzie dokładnie tym, na kogo wygląda — zamożnym, szanowanym, starszym obywatelem”. — Rozumie pan?

— No... — powiedział znowu inspektor i umilkł grzecznie.

— A więc jest ktoś — zwyczajny, przyjemny, starszy mężczyzna, na którego usunięciu zależy innej osobie. Komu? Tu można nieco zawęzić pole poszukiwań. Potrzebna jest znajomość zachowania panny Pebmarsh, pracy Biura Cavendish, pracującej w Biurze dziewczyny nazwiskiem Sheila Webb. Powiedziałem do mego przyjaciela Colina: sąsiedzi. Rozmawiaj z nimi. Dowiaduj się o nich. O ich przeszłość. Ale przede wszystkim rozmawiaj. W rozmowie nie otrzymujesz odpowiedzi na zadane pytania, w zwyczajnej paplaninie rozmówca może się wygadać. Ludzie mają się na baczności, gdy temat wydaje się im niebezpieczny, ale moment normalnej gadaniny rozluźnia ich, nie mogą się oprzeć pokusie mówienia prawdy, co jest łatwiejsze niż kłamanie. I w ten sposób pozwalają, by wymknął się im mały fakt, którego ukrycie jest ważną sprawą.

— Przekonywający wywód — zauważyłem. — Szkoda, że w tym wypadku tak się nie stało.

— Ależ, *mon cher*, stało się. Jedno małe zdanie, niesłuchanie ważne.

— Co takiego? — zawołałem. — Kto je powiedział? I kiedy?

— Wszystko w odpowiednim czasie, *mon cher*.

— Więc powiada pan, panie Poirot... — inspektor grzecznie skierował rozmowę na właściwy temat.

— Jeżeli zakreśli pan krąg wokół numeru 19, okaże się, że każda mieszkająca tam osoba mogła zabić pana Curry. Pani Hemming, państwo Bland, państwo McNaughton, panna Waterhouse. Jeszcze ważniejsi są ci, którzy znaleźli się na miejscu zbrodni. Panna Pebmarsh mogła zabić go, zanim wyszła o 13.35, a panna Webb była w stanie zaaranżować spotkanie w tym domu i zamordować, zanim wybiegła z domu i podniosła alarm.

— Ach — rzekł inspektor — teraz przechodzi pan do sedna.

— I oczywiście — oświadczył Poirot, zwracając się do mnie — ty, mój drogi Colinie. Ty także znalazłeś się na miejscu zbrodni. Szukając wysokiego numeru tam, gdzie były niskie.

— No nie — odparłem oburzony. — Co jeszcze wymyślisz?

— Nic — oznajmił Poirot uroczyście.

— A jednak to ja jestem osobą, która przychodzi i wysypuje przed tobą całą sprawę!

— Mordercy często bywają zarozumiali — podkreślił Poirot. — A przy tym zrobienie takiego kawału moim kosztem mogło cię bawić.

— Jeżeli będziesz mówić dalej, uda ci się przekonać nawet mnie — zacząłem się czuć nieprzyjemnie.

Poirot zwrócił się do Hardcastle'a.

— Powiedziałem sobie, że musi to być prosta zbrodnia. Trzeba na razie odsunąć obecność zegarów, nie mających z tym nic wspólnego, przyśpieszenie czasu o godzinę, przygotowania robione rozmyślnie dla odkrycia ciała. Te sprawy są, jak mówi się w waszej nieśmiertelnej *Alicji*, jak „but, łódź i lak, kapusta i królowie”. Istotą rzeczy jest śmierć pewnego, zwyczajnego, starszego człowieka, którego ktoś chciał zabić. Jeżeli dowiemy się, kim był zamordowany, wskaże to jego zabójcę. Gdyby był znanym szantaży-
stą, trzeba szukać człowieka szantażowanego. Gdyby był detektywem, szukajmy kogoś, kto chce ukryć przestępstwo. Jeżeli był bogaczem, rozejrzyjmy się wśród spadkobierców. Jeśli jednak nie wiemy, kim on jest, musimy podjąć trudniejsze zadania, szukając w kręgu otaczającym miejsce zbrodni człowieka, który miał powód zabić pana Curry.

— Skreślając pannę Pebmarsh i Sheilę Webb, kto w tym kręgu mógł być inną osobą, niż się wydawał? Odpowiedź rozczarowuje. Z wyjątkiem pana Ramsaya, który, o ile rozumieć nie jest tym, za kogo miał uchodzić — tu Poirot popatrzył pytająco na mnie, a ja skinąłem głową — wszyscy, *bona fides*, byli autentyczni. Bland jest znanym przedsiębiorcą budowlanym, McNaughton miał katedrę w Cambridge, pani Hemming jest wdową po miejscowym licytatorze, rodzeństwo Waterhouse to szanowni mieszkańcy z długim stażem. Wracamy więc do pana Curry. Skąd przyjechał? Co sprowadziło go na Wilbraham Crescent 19? Jest pewna cenna uwaga, wypowiedziana przez jedną z sąsiadek. Kiedy usłyszała, że zmarły nie mieszkał w domu panny Pebmarsh, zauważyła: „Och, rozumiem. Po prostu przyszedł, żeby zostać zabity. Jakie to dziwne”. Ta kobieta ma dar, posiadany często przez ludzi zbyt zajętych własnymi sprawami, by zwracać uwagę na innych. Oni trafiają w samo sedno. Podsumowała całą zbrodnię. Pan Curry przyszedł na Wilbraham Crescent, żeby zostać zabitym. W tym cała rzecz!

— Wtedy jej uwaga zrobiła na mnie wrażenie — stwierdziłem.

Poirot nie zwrócił na mnie uwagi.

— *Dzyń, dzyń, dzyń — przyjdź i zgiń*. Pan Curry przyszedł — i został zabity. Ale to nie Wszystko. Ważne było, żeby nie został zidentyfikowany. Nie miał portfela ani żadnych papierów, usunięto z ubrania etykiety od krawca. Ale to nie dosyć. Wizytówka z nazwiskiem Curry była tylko środkiem tymczasowym. Jeżeli tożsamość jego miała być ukryta trwale, musiał uzyskać fałszywą osobowość. Byłem pewien, że prędzej czy później pojawi się ktoś, kto go rozpozna. Brat, siostra, żona. To była żona. Pani Rival — samo nazwisko mogło wzbudzić podejrzenia. W Somerset jest miasteczko — mieszkałem w pobliżu u przyjaciół — miasteczko Curry Rival. Podświadomie wybrano te dwie nazwy. Pan Curry — pani Rival.

— Jak dotąd, plan jest jasny, ale zastanowiło mnie, dlaczego nasz morderca był aż tak

pewny, że nie będzie prawdziwej identyfikacji. Jeżeli ten człowiek nie miał rodziny, to są przecież gospodynie, służba, powiązania zawodowe. To doprowadziło mnie do następnego wniosku — mężczyzna nie był uważany za zaginionego. To nasunęło przypuszczenie, że nie jest Anglikiem, tylko odwiedził wasz kraj. Wskazuje na to brak śladów jego leczenia dentystrycznego w tutejszej dokumentacji.

— Zacząłem mieć niewyraźny obraz ofiary i mordercy. Zbrodnia została dobrze zaplanowana i inteligentnie przeprowadzona, ale zdarzył się pewien drobny incydent, zwyczajny pech, którego morderca nie mógł przewidzieć.

— Co to było? — spytał Hardcastle.

Niespodziewanie Poirot odchylił głowę i wyrecytował dramatycznie:

Przez brak gwoździa, koń stracił podkowę,
Przez brak podkowy przepadł koń,
Przez brak konia przegrano bitwę,
Przez bitwę przepadło królestwo,
A wszystko przez brak gwoździa w podkowie.

Pochylił się do przodu.

— Sporo ludzi mogło zabić pana Curry. Ale tylko jedna osoba mogła zabić, a raczej miała powód zabić Ednę.

Obaj wpatrywaliśmy się w niego.

— Zastanówmy się nad Biurem Cavendish. Pracuje tam osiem dziewcząt. Dziewiątego września cztery z nich wyszły na umówione spotkania w niewielkiej odległości i te zjadły lunch z klientami. To były te dziewczyny, które normalnie idą na lunch w pierwszej turze, między 12.30 a 13.30. Pozostałe cztery, Sheila Webb, Edna Brent, Janet i Maureen jadły „na drugą zmianę”, od 13.30 do 14.30. Tego dnia jednak Edna Brent tuż po wyjściu z biura miała wypadek. Oderwała obcas na kracie koło sklepu. Z tego powodu nie mogła chodzić. Kupiła parę bułeczek i wróciła do biura.

Poirot pogroził nam znacząco palcem.

— Mówiono nam, że Edna Brent czymś się martwiła. Próbowiła spotkać się ze Sheilą Webb poza biurem, ale nie udało się jej. Przypuszczaliście, że miało to związek z Sheilą, ale nie było dowodu. Mogła pragnąć porady Sheili, albo zwierzyć się jej z czegoś. Ale jedno było jasne: chciała rozmawiać ze Sheilą poza biurem.

— Jedynym kluczem, prowadzącym do tego, co ją trapiło, były słowa wypowiedziane do policjanta po rozprawie: „Nie rozumiem, jak to, co ona powiedziała, mogło być prawdą”. Tego ranka zeznawały trzy kobiety. Edna mogła mieć na myśli pannę Pebmarsh. Albo, jak przypuszczano, Sheilę Webb. Jest jednak trzecia możliwość — może mówiła o panie Martindale?

— O panie Martindale? Zeznawała tylko parę minut.

— Właśnie. Zeznanie dotyczyło wyłącznie telefonu, który rzekomo odebrała od panny Pebmarsh.

— Masz na myśli, że Edna wiedziała, iż telefon nie był od panny Pebmarsh?

— Uważam, że to prostsze. Chcę powiedzieć, że nie było żadnej rozmowy telefonicznej.

Ciągnął:

— Edna złamała obcas. Kratka, na której to się stało, znajdowała się w pobliżu biura. Dziewczyna wróciła, ale panna Martindale, siedząca w swoim gabinecie, nie wiedziała o tym. Sądziła, że jest w biurze sama. Wszystko, czego potrzebowała, to powiedzieć, że o 13.49 był telefon. Edna początkowo nie rozumiała znaczenia posiadanej informacji. Sheila zostaje wezwana do szefowej i powiadomiona o zleceniu. Nikt nie wspomina Ednie, jak i kiedy spotkanie zostało ustalone. Przychodzi wiadomość o morderstwie i stopniowo cała historia staje się jasna. Panna Pebmarsh zadzwoniła i prosiła o przysłanie Sheili Webb. Panna Pebmarsh twierdzi jednak, że nie dzwoniła. Mówi się, że rozmowa odbyła się za dziesięć drugą. Edna wie, że to nie jest prawda. Nie było żadnej rozmowy telefonicznej. Panna Martindale musiała się zatem pomylić, ale to się jej przecież nie zdarza. Im więcej Edna o tym myśli, tym bardziej sprawa ją zadziwia. Musi zapytać o to Sheilę. Sheila będzie wiedziała

— Potem przychodzi dzień rozprawy. Wszystkie dziewczęta idą na nią. Panna Martindale powtarza swoją historię o rozmowie telefonicznej i teraz Edna wie, że zeznanie jej szefowej, złożone tak jasno, z taką stanowczością co do czasu, jest nieprawdziwe. Pyta policjanta, czy mogłaby mówić z inspektorem. Wydaje mi się, że panna Martindale wychodząc z Cornmarket w tłumie ludzi, podsłuchiwała tę rozmowę. Być może już wcześniej słyszała żarty dziewcząt na temat przygody Edny z bucikiem, nie wiedząc z czym ona się wiąże. W każdym razie poszła za dziewczyną na Wilbraham Crescent. Ciekaw jestem, po co Edna tam się wybrała?

— Po prostu pogapić się na miejsce zdarzenia — westchnął Hardcastle. — Ludzie tak robią.

— Tak, to prawda. Może panna Martindale zagadała tam do niej, szły razem ulicą i Edna wyskoczyła ze swoim pytaniem. Panna Martindale działa szybko. Są przy budce telefonicznej. Mówi: „To jest bardzo ważne. Musisz zaraz zadzwonić na policję. Numer jest taki. Dzwoni i powiedz im, że zaraz obie przyjeżdżamy”. Wykonywanie poleceń stanowi drugą naturę Edny. Wchodzi, bierze słuchawkę, a szefowa wszedłszy za dziewczyną zaciska szalik na jej szyi.

— I nikt tego nie zobaczył?

Poirot wzruszył ramionami.

— Mógł zobaczyć, ale nie zobaczył! Była właśnie pierwsza. Pora lunchu. A ludzie

znajdujący się na ulicy byli zbyt zajęci gapieniem się na miejsce zbrodni. Było to ryzyko podjęte przez kobietę zuchwałą i pozbawioną skrupułów.

Hardcastle potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Panna Martindale? Nie mogę pojąć, po co miałyby się w to mieszać.

— Początkowo nikt tego nie rozumiał. Ale ponieważ niewątpliwie zabiła Ednę, bo tylko ona mogła ją zabić, zatem musi być wpłątana. Zacząłem podejrzewać, że w tej kobiecie mamy lady Makbet tej zbrodni, zabójczynię, która jest bezlitosna i pozbawiona wyobraźni.

— Pozbawiona wyobraźni? — zapytał Hardcastle.

— O tak, całkowicie. A przy tym bardzo sprawna. Dobra organizatorka.

— Ale dlaczego? Jaki miała motyw?

Herkules Poirot pogroził mi znowu palcem:

— Więc pogawędki z sąsiadami nie przydały ci się? Ja natrafiłem na niesłychanie pocuczające zdanie. Pamiętasz, jak po rozmowie o ewentualnym zamieszkaniu za granicą pani Bland stwierdziła, że lubi życie w Crowdean, ponieważ ma tutaj siostrę. Ale pani Bland nie powinna mieć siostry. Odziedziczyła przed rokiem wielki majątek po kanadyjskim stryjecznym dziadku, ponieważ była jedynym żyjącym członkiem tej rodziny.

Hardcastle wyprostował się poruszony.

— Więc myśli pan...

Poirot odchylił się w fotelu składając dłonie czubkami palców. Przymknął oczy i mówił sennym głosem:

— Powiedzmy, że jest pan zwykłym człowiekiem, nie mającym zbyt wielu skrupułów, a przy tym w złej kondycji finansowej. Pewnego dnia przychodzi list z firmy prawniczej, że pańska żona odziedziczyła wielką fortunę po stryjecznym dziadku z Kanady. List jest zaadresowany do pani Bland i jest tylko jedna trudność, że nie jest to właściwa pani Bland. Jest drugą żoną, a nie pierwszą. Wyobraźcie sobie to zmartwienie! Tę wściekłość! A potem przychodzi pomysł. Któż wie, że to nie jest właściwa pani Bland? Nikt w Crowdean nie wie, że Bland był wcześniej żonaty. Jego pierwsze małżeństwo zostało zawarte przed laty, podczas wojny, kiedy był za morzem. Przymuszczałnie jego pierwsza żona zmarła wkrótce potem, a on ożenił się powtórnie prawie natychmiast. Ma oryginalny akt małżeństwa, różne rodzinne papiery, zdjęcia kanadyjskich krewnych, teraz już nie żyjących. Wszystko pójdzie jak po maśle. W każdym razie gra jest warta świeczki. — Ryzykują i udaje się. Pokonują prawne formalności. No i mamy Blandów bogatych i prosperujących, wszelkie trudności finansowe znikają...

— I właśnie teraz, rok później, coś się zdarza. Co takiego? Zakładam, że przyjechał z Kanady ktoś, kto znał pierwszą panią Bland wystarczająco dobrze, by nie dać się zwieść. Mógł to być starszy członek firmy prawniczej lub bliski przyjaciel rodziny, ale kimkolwiek był, musiałby wiedzieć... Może myśleli o sposobach uniknięcia spotkania.

Pani Bland mogła symulować chorobę, wyjechać za granicę, ale to wszystko wzbudzało podejrzenia. Gość mógł się upierać przy chęci zobaczenia kobiety, dla której przyjechał...

— A więc morderstwo?

— Tak. I tu, jak przypuszczam, siostra pani Bland była duszą przedsięwzięcia. Wymyśliła i zaplanowała całą rzecz.

— Pan zakłada, że panna Martindale i pani Bland są siostrami?

— To jedyna sytuacja, nadająca całej sprawie sens.

— Pani Bland przypominała mi kogoś, kiedy ją zobaczyłem — powiedział Hardcastle. — One mają różny sposób bycia, ale istnieje między nimi podobieństwo fizyczne. Tylko — jak mogli liczyć, że się im upieczą? Jeśli ten człowiek by zniknął, musiało dojść do wszczęcia śledztwa...

— Jeżeli podróżował za granicę dla przyjemności, nie w interesach, nie miał zapewne sprecyzowanych planów. List z jednej miejscowości, kartka z drugiej — upłynęłoby sporo czasu, zanim ludzie zaczęliby się zastanawiać, dlaczego o nim nic nie słychać. Kto wówczas powiązałby człowieka zidentyfikowanego i pochowanego jako Harry Castleton z bogatym przybyszem z Kanady, którego nikt nawet nie widział w tych stronach? Gdybym był mordercą, wymknąłbym się na jednodniową wycieczkę do Francji lub Belgii i wyrzucił paszporty ofiary w pociągu czy tramwaju, tak żeby śledztwo przeprowadzono w innym kraju.

Poruszyłem się mimowolnie i oczy Poirota spoczęły na mnie.

— Co takiego?

— Bland wspominał mi, że ostatnio odbył jednodniową wycieczkę do Boulogne z jakąś blondynką...

— Co sprawia, że cała rzecz jest prawdopodobna. Ma pewnie taki zwyczaj.

— To wciąż domysły — sprzeciwił się Hardcastle.

— Ale można przeprowadzić śledztwo — powiedział Poirot.

Wziął kartkę hotelowego papieru z półki i wręczył inspektorowi.

— Jeżeli napisze pan do pana Enderby, Ennismore Gardens 10, S.W.7, to otrzyma pan pewne informacje, które miał zebrać dla mnie w Kanadzie. Jest to znany prawnik o międzynarodowej sławie.

— A co z tą historią z zegarami?

— Ach! Zegary. Słynne zegary! — Poirot uśmiechnął się. — Odkryje pan, że to robota panny Martindale. Ponieważ zbrodnia, jak mówiłem, była prosta, stworzono pozory niezwykłości. Ten zegar z napisem Rosemary, który Sheila niosła do naprawy, zostawiła przez zapomnienie w biurze. Panna Martindale wzięła go jako podstawę swojego koszmarnego planu i częściowo dlatego wybrała Sheilę na osobę, która miała odkryć ciało...

Hardcastle wybuchnął.

— I pan mówi, że ta kobieta jest pozbawiona wyobraźni? Jeśli mogła wykombinować to wszystko?

— Ależ ona tego nie wykombinowała. To wszystko istniało, czekało na nią. Od pierwszego momentu zauważyłem w tej zbrodni schemat — schemat, który znałem. Miałem szczęście. Jak powie panu Colin, byłem w tym tygodniu na aukcji rękopisów. Było wśród nich kilka Garry’ego Gregsona. Ledwie śmiałem marzyć. Szczęście jednak mi towarzyszyło. Oto... — błyskawicznym ruchem magika wyjął z szuflady dwa sfatygowane zeszyty. — To wszystko jest tutaj! Wśród wielu fabuł planowanych książek. Nie dożył napisania tej właśnie, ale panna Martindale, jego sekretarka, musiała ją znać. Po prostu zwędziła to, co odpowiadało jej celowi.

— Ale zegary musiały pierwotnie coś znaczyć? Mam na myśli fabułę Gregsona.

— O tak. Jego zegary wskazywały minutę po piątej, cztery minuty po piątej i siedem minut po piątej. To był numer kombinacji otwierającej sejf, 515457. Sejf był ukryty za reprodukcją Mony Lizy. Znajdowały się w nim carskie klejnoty koronne. *Un tas de bêtises**. I do tego historia prześladowanej dziewczyny. O tak, to było bardzo wygodne dla tej Martindale. Wybrała tylko miejscowe postaci i adaptowała fabułę do sytuacji. Dokąd prowadziły te obiecujące tropy? Absolutnie nigdzie! Tak, kompetentna kobieta. Ciekawe, czy Gregson zostawił jej jakiś legat? Interesuje mnie też, w jaki sposób umarł.

Hardcastle odmówił grzebania się w minionych dziejach. Zgarnął zeszyty i kartkę hotelowego papieru. Przez ostatnie dwie minuty patrzyłem na nią zafascynowany. Hardcastle nabazgrał adres Enderby’ego, nie kłopotując się odwróceniem kartki we właściwą stronę. Adres hotelu znalazł się w lewym, dolnym rogu.

Zapatrzony w kartkę papieru, zrozumiałem, jakim byłem durniem.

— Dziękuję, panie Poirot — rzekł Hardcastle. — Na pewno dał nam pan wiele do myślenia. Czy coś z tego wyjdzie...

— Jestem zachwycony, że mogłem pomóc — Poirot udawał skromnego.

— Sprawdzę różne rzeczy...

— Naturalnie... naturalnie...

Pożegnaliśmy się. Hardcastle wyszedł.

Poirot przeniósł uwagę na mnie. Podniósł brwi.

— *Eh bien!* Co cię gryzie? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

— Zobaczyłem, jakim byłem idiotą.

— Ach, to się zdarza wielu z nas.

Ale zapewne nie Herkulesowi Poirot! Musiałem go zaatakować.

— Powiedz mi jedno, Poirot! Jeżeli mogłeś dokonać tego wszystkiego siedząc

*fr. kupa głupstw

w swoim fotelu w Londynie i mogłeś w każdej chwili skłonić mnie i Dicka, żebyśmy cię tam odwiedzili, po co w ogóle tu przyjechałeś?

— Powiedziałem ci, że w moim mieszkaniu jest remont.

— Mogli ci dać inne. Albo mogłeś zamieszkać u „Ritza”, gdzie byłoby ci wygodniej, niż tutaj.

— Niewątpliwie — odparł Poirot. — Ta tutejsza kawa, *mon Dieu*, ta kawa!

— A zatem, dla czego?

Poirot wpadł we wściekłość.

— *Eh bien*, ponieważ jesteś za głupi, żeby zgadnąć, powiem ci. Jestem człowiekiem, prawda? Potrafię być maszyną, jeśli to konieczne. Umiem położyć się i myśleć. Mogę w ten sposób rozwiązać problem. Ale, powiadam ci, jestem istotą człowieczą. A problemy dotyczą istot ludzkich.

— A więc?

— Wyjaśnienie jest tak proste, jak proste było morderstwo. Przyjechałem tu z prostej ludzkiej ciekawości — powiedział Herkules Poirot, usiłując zachować godność.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Jeszcze raz znalazłem się na Wilbraham Crescent, idąc w kierunku zachodnim.

Zatrzymałem się przed bramą numer 19. Tym razem nikt nie wybiegł z domu z krzykiem. Domek stał schludny i spokojny.

Podszedłem do frontowych drzwi i zadzwoniłem.

Otworzyła mi panna Millicent Pebmarsh.

— Tu Colin Lamb — powiedziałem. — Mogę wejść i porozmawiać z panią?

Szła przede mną do bawialni.

— Pan chyba spędza tu sporo czasu, panie Lamb. Zdawało mi się, że nie jest pan związany z lokalną policją...

— Dobrze się pani zdawało. Myślę, że wiedziała pani, kim jestem od pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy.

— Nie bardzo wiem, co pan ma na myśli.

— Byłem niezwykle głupi, panno Pebmarsh. Przyszedłem tutaj szukając pani. Znalazłem panią już pierwszego dnia i nie wiedziałem o tym!

— Zapewne morderstwo rozproszyło pana uwagę.

— Ma pani rację. Byłem także dość głupi, aby patrzeć na kawałek papieru ze złej strony.

— I o co panu chodzi?

— Po prostu gra jest skończona, panno Pebmarsh. Znalazłem kwaterę główną, w której ustala się plany. Wszystkie, dokumenty i notatki trzyma pani na mikrofilmach, wykropkowane pismem Braille'a. Informacje uzyskane przez Larkina w Portlebury przekazywano pani. Stąd szły na miejsce przeznaczenia przy pomocy Ramsaya. W razie potrzeby przychodził do pani w nocy, przez ogród. Pewnego dnia zgubił w pani ogrodzie czeską monetę...

— To bardzo nieostrożnie.

— Wszyscy jesteśmy od czasu do czasu nieostrożni. Pani maska była bardzo dobra.

Jest pani niewidoma, pracuje w instytucie dla upośledzonych dzieci, ma pani w domu książki dla dzieci pisane brajlem — co jest zupełnie naturalne, ponadto jest pani kobietą o niezwyklej inteligencji i osobowości. Nie wiem, co jest pani siłą napędową...

— Powiedzmy, że się poświęciłam.

— Tak właśnie myślałem.

— A dlaczego mi pan to mówi? To niezwykle.

Popatrzyłem na zegarek.

— Ma pani dwie godziny, panno Pebmarsh. Za dwie godziny ludzie ze służb specjalnych przyjdą tutaj i zajmą się...

— Nie rozumiem pana. Dlaczego przychodzi pan przed swoimi ludźmi i ostrzega mnie...

— Tak, to jest ostrzeżenie. Przyszedłem tu sam i pozostanę do przyjścia agentów, aby pilnować czy nic nie opuszcza tego domu, z jednym wyjątkiem. Tym wyjątkiem jest pani. Jeśli zdecyduje się pani wyjść, ma pani dwugodzinne wyprzedzenie.

— Ale dlaczego? Dla czego?

Odpowiedziałem wolno:

— Ponieważ jest niewielka szansa, że mogłaby pani zostać wkrótce moją teściową... Oczywiście mogą się mylić.

Zapanowała cisza. Millicent Pebmarsh wstała i podeszła do okna. Nie zdejmowałem z niej wzroku. Nie miałem iluzji. Nie wierzyłem jej za grosz. Była ślepa, ale nawet ślepa kobieta może cię dopaść, jeśli się nie pilnujesz. Jej kalectwo byłoby handicapem, gdyby udało się jej przycisnąć rewolwer do kręgosłupa.

Spokojnie powiedziała.

— Nie wyjawię panu, czy ma pan rację, czy się myli. Ale jak pan się domyślił?

— Oczywiście.

— Ale nie mamy podobnego usposobienia.

— Nie.

Powiedziała wręcz wyzywająco.

— Zrobiłam to, co było dla niej najlepsze.

— To kwestia zapatrywań. Dla pani ważniejsza była sprawa, o którą pani walczy.

— Tak powinno być.

— Nie zgadzam się.

Znowu zapadła cisza. Potem spytałem: — Czy tamtego dnia wiedziała pani, kim ona jest?

— Nie, dopóki nie usłyszałam jej nazwiska. Zawsze wstrzymywałam się od dowiadywania się o nią.

— Nigdy nie była pani tak nieludzka, jak pani zamierzała.

— Proszę nie mówić bzdur.

Popatrzyłem znów na zegarek.
— Czas ucieka.
Podeszła do biurka.
— Mam tu jej zdjęcie z dzieciństwa...
Stałem za nią, gdy otworzyła szufladę. To nie był rewolwer, lecz mały, ostry nóż...
Ścisnąłem jej rękę i odebrałem mordercze narzędzie.
— Mogę mieć miękkie serce, ale nie jestem głupcem.
Poszukała palcami fotela i usiadła.
— Nie przyjmuję pańskiej ofiary. Do czego by się przydała? Zostanę tu, aż przyjdą.
Zawsze są okazje — nawet w więzieniu.
— Ma pani na myśli okazję do indoktrynacji?
— Może to pan tak tłumaczyć.
Siedzieliśmy pełni wrogości, ale rozumiejący się.
— Zrezygnowałem ze Służby — powiedziała jej. — Zamierzam wrócić do swego zawodu, biologii morskiej. Jest dobra posada na uniwersytecie w Australii.
— Myślę, że dobrze pan robi. Nie posiada pan tego, czego wymaga ta praca. Jest pan jak ojciec Rosemary. Nie potrafił zrozumieć powiedzenia Lenina: „Precz ze słabością”.
Pomyślałem o słowach Herkulesa Poirot i powtórzyłem głośno:
— Cieszę się, że jestem istotą ludzką.
Siedzieliśmy w milczeniu, przekonani, że punkt widzenia drugiego z nas jest błędny.

List inspektora Hardcastle’a do pana Herkulesa Poirot:

„Szanowny Panie Poirot,
jesteśmy w posiadaniu pewnych faktów i mam wrażenie, że mogą one pana zainteresować.

Niejaki pan Quentin Duguesclin z Quebecu wyjechał przed czterema tygodniami z Kanady do Europy. Nie miał bliskich krewnych, a plany jego powrotu były nieokreślone. Jego paszport został znaleziony przez właściciela małej restauracyjki w Boulogne i przekazany policji. To zgadza się z tym, o czym mówiliśmy.

Pan Duguesclin był długoletnim przyjacielem rodziny Montresor z Quebecu. Głowa rodziny, pan Henry Montresor, zmarł osiemnaście miesięcy temu, zostawiając znaczną fortunę jedynej żyjącej krewnej, stryjecznej wnuczce Valerii, żonie Josaiaha Blanda z Portlebury w Anglii. Dla kanadyjskich wykonawców testamentu działała bardzo szacowna firma prawnicza z Londynu. Wszelkie kontakty między panią Bland a jej rodziną zostały zerwane od czasu zawarcia przez nią małżeństwa, którego rodzina nie aprobowała. Pan Duguesclin wspomniał jednemu z przyjaciół, że podczas pobytu w Anglii za-

mierza się zobaczyć z Blandami, ponieważ zawsze bardzo lubił Valerie.

Ciało uchodzące dotychczas za zwłoki Harry'ego Castletona, zostało stanowczo zidentyfikowane jako Quentin Duguesclin.

W rogu działki budowlanej Blanda znaleziono kilka desek. Choć zostały spieszenie pomalowane, po obróbce przez naszych ekspertów łatwo można było odczytać na nich słowa SNOWFLAKE LAUNDRY.

Nie chce kłopotać pana pomniejszymi szczegółami, ale oskarżyciel publiczny stwierdza, że może wydać nakaz aresztowania pana Josaiaha Blanda. Obecna pani Bland i panna Martindale są, jak pan słusznie przypuszczał, siostrami, ale choć zgadzam się z panem co do udziału tej ostatniej w zbrodni, dowody są trudne do zdobycia. Jest to niewątpliwie osoba bardzo sprytna. Mam pewną nadzieję co do pani Bland. Jest typem kobiety, która zdradza.

Można jasno udowodnić śmierć pierwszej pani Bland wskutek działań wojennych we Francji i małżeństwo Blanda z Hildą Martindale (która była w NAAFI)*, mimo zniszczenia wielu akt.

Spotkanie z panem tamtego dnia było wielką przyjemnością i muszę podziękować za niezmiernie pożyteczne sugestie. Mam nadzieję, że odnowienie i przebudowa pańskiego mieszkania zadowolą pana.

Oddany
Richard Hardcastle"

Dalsza wiadomość od R.H. dla H.P.

„Dobre nowiny! Hilda (vel Valerie) Bland załamała się! Przyznała się do wszystkiego!!! Zwała całą winę na siostrę i męża. Ona sama «nigdy nie zrozumiała, co oni chcą zrobić, aż było za późno!» Sądziła, że tylko «zamierzają go uśpić, aby nie mógł rozpoznać, iż ona nie jest tą, za którą się podaje!» Coś podobnego! Zgadzam się natomiast, że to nie ona była głównym motorem.

Ludzie z Portobello Market rozpoznali pannę Martindale jako «amerykańską» damę, która kupiła dwa zegary.

Pani McNaughton opowiada teraz, że widziała Dugusclina w furgonetce Blanda, wjeżdżającej do jego garażu. Czy widziała go rzeczywiście?

Nasz przyjaciel Colin ożenił się z tą dziewczyną. Uważam, że jest szalony. Wszystkiego najlepszego.

Pański
Richard Hardcastle"

*NAAFI — Navy, Army and Air Force Institute — Instytut Marynarki, Armii i Lotnictwa

SPIS TREŚCI

Prolog	3
Rozdział pierwszy	7
Relacja Colina Lamba	
I	7
II	10
Rozdział drugi	12
Rozdział trzeci	18
Rozdział czwarty	23
Relacja Colina Lamba	
Rozdział piąty	30
Rozdział szósty	34
Relacja Colina Lamba	
Rozdział siódmy	41
Rozdział ósmy	48
Rozdział dziewiąty	52
Rozdział dziesiąty	57
Rozdział jedenasty	64
Rozdział dwunasty	71
Rozdział trzynasty	80
Relacja Colina Lamba	
Rozdział czternasty	85
Relacja Colina Lamba	
Rozdział piętnasty	95

Rozdział szesnasty	99
Relacja Colina Lamba	
Rozdział siedemnasty	104
Rozdział osiemnasty	108
I	108
II	109
III	111
Rozdział dziewiętnasty	116
Rozdział dwudziesty	120
Relacja Colina Lamba	
Rozdział dwudziesty pierwszy	123
Rozdział dwudziesty drugi	130
Relacja Colina Lamba	
I	130
II	132
Rozdział dwudziesty trzeci	135
Relacja Colina Lamba	
Rozdział dwudziesty czwarty	141
Relacja Colina Lamba	
I	141
II	142
III	144
Rozdział dwudziesty piąty	149
Relacja Colina Lamba	
Rozdział dwudziesty szósty	158
Rozdział dwudziesty siódmy	164
Relacja Colina Lamba	
I	164

II	165
Rozdział dwudziesty ósmy	167
Relacja Colina Lamba	
I	167
II	169
Rozdział dwudziesty dziewiąty	181